BIBLJOTEKA i MUZEUM Z. N. P.

1514-1520 W. DIVISION STREET

WAŻNA UWAGA:

10 PRÓŚB KSIĄŻKI DO CZYTELNIKA

I. Nim zaczniesz czytać — obłóż mnie w papier!
II. Nie dotykaj mnie brudnemi rękami.
III. Nie czytaj mnie przy jedzeniu!
IV. Nie śliń palców przy przewracaniu kartek.
V. Nie mnij kartek i nie zaginaj rogów.
VI. Nie przeginaj mnie przy czytaniu.
VII. Nie kładź mnie rozłamaną, grzbietem do góry!
VIII. Nie umieszczaj mnie w domu na miejscu nieodpowiedniem!
IX. Nie rób na mnie żadnych znaków i dopisków.
X. Nie wyrywaj i nie niszcz obrazków i kartek.

Wymaga się od każdego wypożyczającego książki z Bibljoteki Związku Nar. Pol., aby się zastosował ściśle do powyższych próśb i wogóle należy oddać książkę w takim stanie, w jakim ją wypożyczono, w przeciwnym razie osoba wypożyczająca będzie zmuszona do zapłacenia wartości książki.

DYREKCJA.

347

NOC I DZIEŃ

JAN LEMAŃSKI

NOC I DZIEŃ

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1910

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

MEDITATUS SUM DIE AC NOCTE
SUPER HISCE QVAE VIDERAM,
LEGERAM, AUDIERAM, DIDICERAM.
K. KHUNRATH

EX AMPHITHEATRO
SAPIENTIAE, AETERNAE
P. 146—147

KOŁYSANKA

Przy kołysce siedzi niania, ceruje pończochę i śpiewa:

Aa, kotki dwa,
Szare, bure obydwa.
Jeden bury, drugi szary,
Oba mi się spodobały.

Któż nie zna tej piosenki?

Ile lat usypiały nią nas niańki?

Kto wynalazł tę piosenkę?

Dlaczego stała się narodową?

Jakie jest głębsze znaczenie tego z pozoru niewinnego wierszyka?

Któż zastanawiał się nad temi pytaniami?

Niech panowie filologowie i krytycy nie biorą nam tego za złe, ale obojętność ich w stosunku do tej, tak bardzo narodowej, piosenki wydaje nam się znamieniem nie dość pogłębionego patryotyzmu.

Przeciętny krytyk kulturalny obraziłby się posądzeniem go, przypuśćmy, o niedostateczną gorliwość

w komentowaniu trzeciorzędnego utworu Goethego lub Klejsta, a tymczasem, gdybyśmy powiedzieli mu prosto w oczy: panie, pan nie zadałeś sobie trudu zbadać, co znaczy utwór »Aa, kotki dwa«, — to z pewnością, jak sądzimy, nawetby się nie zarumienił.

A wtedy my zawołać moglibyśmy z oburzeniem:

— Jakto? Więc panu niańka za czasu niemowlęctwa pańskiego ciągle w uszy śpiewała »Aa, kotki dwa, szaro-bure obydwa, jeden bury, drugi szary, oba mi się spodobały«, — a pan do dziś nie raczyłeś się zastanowić, co ta piosenka znaczy? Wstydź się pan! Ażeby siebie nibyto poznać, szperasz w utworach West-Goethe'ów i Ost-Goethe'ów a mając od pieluch już tak potężne źródło samopoznania, jak owa piosenka o dwóch kotkach, toś ani tknął jej? Wstydź się pan! Uczysz się pan wszystkich języków, prócz własnego; tłómaczysz z wszystkich narodów, a wytłómaczyć własnej, polskiej piosenki nie umiesz! Wstydź się i pozwól, abyśmy za ciebie my, aczkolwiek może nie dość uczenie i fachowo, trud ten podjęli.

Aa, kotki dwa.

Przedewszystkiem uderzyć cię powinien tu wybór liczby dwa. Uderzyć, mianowicie, jakąś równowagą, jakiemś skromnem umiarkowaniem, jakąś roztropną pośredniością, jakiemś taktownem oscylowaniem między dwoma krańcami: jedynką i trójką, między egoistycznym

imperyalizmem i altruistycznem trójprzymierzem, między monarchią absolutną a trójdzielnym parlamentaryzmem, między ścisłem jednożeństwem, a zdecydowanym trójkątem małżeńskim, — słowem, uderzyć cię tu powinien ów poszukiwany przez filozofię idealny środek, czyli kamień.

Nie »Aa, kotek jeden«; nie »Aa, kotki trzy«; nie »Aa, kotki cztery«, — jeno właśnie:

Aa, kotki dwa.

Łatwo ci zmiarkować, że duch twój od pieluszek był przyzwyczajany do dualizmu i do wszystkich pochodnych, na dualizmie opartych form życia, jako to: dwulicowość, bigamia, bigoterya i *juste milieu*, czyli sprawiedliwa pośredniość.

Gdyś urósł, przypomnij sobie, coś pchało cię do polowania z dubeltówką na dubelty, jakiś instynkt naglił cię do robienia na bilardzie dubel, i jakaś niezwyciężona potrzeba szeptała ci w duszy nakaz: łącz się w parkę, oczywiście — małżeńską.

Przypomnij sobie: jakim to strachem napełniała cię myśl życia w charakterze j e d n o s t k i niezależnej? Zwarłeś się w parę, sparzyłeś się, i wówczas, przypomnij sobie, jak wstrętną była tobie, mężowi, myśl o tym »trzecim«. Przypomnij sobie, jakiem oburzeniem napełniała cię możliwość tej trójcy w stosunku do ciebie, acz, wyjątkowo, znosiłeś ją u swoich przyjaciół, zwła-

szcza jeżeliś ty był »tym trzecim«? Ale w zasadzie oburzałeś się na to słusznie, zapalczywie i stanowczo, ponieważ niania śpiewywała ci ongi o dwóch tylko kotkach.

I przypomnij sobie też, jak szparki bywałeś do zwad, rozdwojeń i rozterek, bo narodowa piosenka nie śpiewała ci o Jedności. I nie śpiewała ci narodowa piosenka o Trójcy i o Trójprzymierzu. Nie znałeś ich ważności, a skoroś poznał — już było zapóźno.

I pamiętasz, jak znałeś od kolebki tylko dwa stany: pański i chłopski. Stanem trzecim gardziłeś, a od stanu czwartego byłeś tak daleki, jak dwulicowy bożek łaciński dalekim jest od kwadratury koła...

Ach, prawda, i ty znałeś czwórkę — czwórkę koni i cztery maści w kartach, ale to były wyjątki. I trójkę poetów znałeś, ale też jako wyjątek od życia daleki. O poetach, o tych jednostkach, w których się zbawcza tworzy jedność, wogóle miałeś zwyczaj mówić, że im się w głowie troi, ponieważ chcieli wyjść i powychodzili z dualizmu.

A ciebie kołyska życiowa na dwóch biegunach kołysała miluchno, a poczciwa niania nuciła ci:

Aa, kotki dwa.

Wyszedłeś z kołyski, z pieluch wyrosłeś na męża, chodzisz w parze pod rękę z żoną, masz już parkę

dziatek, a wciąż ten narzucony ci, wśpiewany w ciebie ustami Kasi lub Marysi gust do szarości i burości, trzyma cię w szponach... nie — w pieluchach.

Ktoś, poeta oczywiście, użył w rozmowie z tobą wyrażeń takich, jak »woda szmaragdowa«, albo »lazurowa«, to ty zaraz myślisz sobie: oho, temu się w głowie troi: woda jest nie lazurowa, nie szmaragdowa, tylko, panie, szara i bura.

Inny ktoś, malarz, namalował drzewa fioletowe, niebo złote, to ty spojrzawszy na to mówisz: oho — waryat, impresyonista. Gdzie widział takie krajobrazy. Naszego, panie, kraju, obraz jest szary i bury.

Ujrzałeś poezyę, w której zamiast dwóch sakramentalnych rymów jest ich trzy, cztery, albo i więcej, gdzie zamiast o szarych i burych kotkach, śpiewa się o czemś innem, naprzykład o kotkach czerwonych, — to ty zaraz ze swojem: oho — dekadent! zapomniał, że piosenka narodowa powinna być szara i bura. Że tam, panie, Słowacki migał tęczowością, to wyjątek od życia daleki i stanowiący, do pewnego stopnia, zboczenie...

Pamiętasz owe bezkrytyczne, niemowlęce czasy, kiedy twój intelekt wszystek był skierowany na czynność odżywczą? Ssałeś sobie pokarm, miałeś rozkosznie zmrużone powieki i patrzałeś w złocisty, w tęczowo cudny świat, który w duszyczce twej niemowlęcej migotał.

Przy kołysce twej siedzi niania, dłubie w pończosze i śpiewa:

> Jeden bury, drugi szary,
> Oba mi się spodobały.

Wizye cudnego świata w twej duszyczce oplątuje powoli szara i bura nić piosenki, aż oplącze całkiem.

Wyrosłeś, i oto przed tobą, zamiast śnionych cudów — szary i bury kraju obraz: szary wróbel, szara strzecha, szara siermięga, szara wierzba, szarość w oczach, szarość w duszach... swojski, poczciwy szary widok, a jeżeli nie szary to — bury.

I kochasz to, to właśnie, a wszystko inne, jaskrawsze, barwniejsze, czerwieńsze (osobliwie czerwieńsze) wydaje ci się czemś obcem, cudzem, dzikiem i wynarodowionem.

Ale nie!

Ród nianiek, śpiewających szaro-burą dualistyczną dwulicowość wymiera.

Niemowlęta dziś słyszą u kołysek czerwieńsze piosenki.

Migocących im przed oczyma duszy światów tęczowych nie obrudza śpiewanina szarych, w pończochę wpatrzonych, wychowawczyń.

Szarość i burość, jako skrzepły żuzel, pęka od warstw głębinowych żaru.

Idzie czas, kiedy utopie marzycieli, którym się w głowie »troiło«, zadrgają życiem.

Będą nianie śpiewać tęczowe kołysanki.

LODOWIEC

Na wierzchołku pewnej góry spoczywał Lodowiec. Niebo nad nim było tuż — ręką sięgnąć, jak oczy szafirowe i przeczyste. Powietrze miał pachnące balsamem ciszy i zadumy. I z wyżyn swoich widzieć mógł, jak pod nim wokoło na widnokręgach ziemia się zaokrągla. Na dalekiej przestrzeni krańcach nęciły go smugi seledynowe, zawsze, kiedykolwiek na nie spojrzał, różne od nieba. Niebo znał, mając je nad głową i nie ceniąc jego pozornej blizkości. Ale ten seledyn niezmierny — ten ocean: ku niemu się zbliżyć i poznać!

Żył tak sobie Lodowiec, chłodny, milczący, przez całą zimę, i z jedynem tem pragnieniem poznania oceanu.

Aż oto pewnego dnia, wiosną, na Lodowiec przybłąkał się słoneczny Promień, młody, przeszywający żarem. Promienie takie, skoro się rozmai przyroda, włóczą się po górach, w poszukiwaniu czystych i niewinnością zimnych lodowców. Promień, będąc sam niewidzialny, szuka takiego Lodowca, ażeby w jego kry-

szałach mógł tęczowo i oślepiająco migotać, a przez to i samemu swoją świetlanością się radować i Lodowcowi objawić jego własną przejrzystość.

Lodowiec nasz, po zetknięciu się z Promieniem, ujrzał s w o j e, nieznane mu dotąd piękno i uczuł rozkosz. Zaświecił światłem, które uważał za s w o j e, zaczął się swoją nową postacią pysznić i zapragnął sprezentować ją oceanowi, ale jak? — nie widział. Uciecha była w dzień, ale na noc, gdy Promień odchodził, Lodowiec ze smutkiem musiał matowieć.

Nazajutrz Promień zjawiał się znowu i zaczynali się bawić. Obcowanie było im rozkoszą zobopólną: Lodowcowi, bo tylko z nim, z Promieniem, mógł się swojej czystości aureolą cieszyć; Promieniowi — bo w Lodowcowych pryzmach mienił się, tęczował i złocił, nowem, sobie widzialnem żyjąc życiem.

Skoro świtania majowego czas nastawał, Lodowiec, jak panienka, świeżo z rana umyta, spotykała się z Promieniem, niby z kawalerem, w szafirowym nieba namiocie. Ona mu nadstawiała do pocałunku twarzyczkę chłodną i białą; on ją całował, spojrzeniem majowem głaskał, zatapiał się w jej źrenicy przejrzystej, niby w pryzmie, albo w dyamencie, i grał, podczas gdy ona opowiadała mu o swoich marzeniach oceanicznych.

Żyli tak sobie, żyli, aż pewnego, już gorącego dnia, Lodowcowa panienka rzecze Promieniowi, kiedy ją o zachodzie żegnał:

— Dlaczego ty ciągle odchodzisz i odchodzisz? Zostawaj ze mną na noc.

— Głupiutka — rzekł Promień: — W nocy mnie nie widać.

— O, czyż tylko widzeniem się żyje? Ja, nim cię poznałam, nie widziałam siebie, a żyłam. Żyłam leżeniem. Jeżeli mię kochasz... Kochasz mię?

— Kocham...

— Jeżeli mię kochasz, pobądź ze mną w nocy, poleż. W dzień możemy się bawić w przezroczystość, a w nocy będziemy sobie... tak sobie będziemy. Co?

— Kiedy... — wahał się promień.

— Kiedy co?

— Czuję, że to nie jest dobrze.

— Dlaczego?

— Boję się...

— O, jakiś ty głupiutki, jaki ty jesteś głupiutki? I czego się boisz? W nocy nic nie widać.

— Właśnie tego się boję. Niewidzialność moja promieniowa jest gorącem, a gorąco, wiesz, może ci zaszkodzić.

— Zabawny jesteś. Jeżeli ty cały, z twoją widzialną widzialnością i z twojem gorącem niewidzialnem nie szkodzisz mi w dzień, to i w nocy, jako samo tylko gorąco, też mi nie zaszkodzisz...

— Hm?...

— Nie zaszkodzisz, powiadam.

— Mówisz nader rozsądnie, ale...

— Cóż?

— Kiedy muszę i tak odejść, zajść, aby wzejść na drugiej półkuli i inne oświetlać tam lodowce.

— A to po co? Włóczyć się po innej półkuli, kiedy na tej nam dobrze.

— Tak, ale innym lodowcom bez promienia źle. Trzeba i im odkrywać ich świetlaność, aby się i inne cieszyły.

— A co mię inne obchodzą. Kocham cię i nie puszczam. Zostajesz.

— A twoje marzenia oceaniczne? Twój seledyn?

— Tyś mój seledyn.

To mówiąc, Lodowcowa białość, zróżowiona rozmową i zachodem, objęła promień, zamknęła go w swoich pryzmach, i tak zostali.

Póki jeszcze było trochę widno, nic. Ale skoro ostatnie róże świetlane zgasły i tylko gorącem złączeni byli Promień i Lodowiec, to, co było do ziszczenia, ziściło się.

Promień zagasł. Przeistoczył się w żar upalny. Lodowcowa pryzmatyczność zaczęła tajać, tajać, aż roztajała, i kiedy minął Maj, w ziemski stoczyła się padół.

Lodowiec zginął w jakimś potoku skalnym i, jako jego cząstka niewiadoma, staczał się po uzębionych głazach coraz niżej, w dolinę.

W dolinie potok utonął w rzece, i wraz z nią

rozpoczął wędrówkę długą i ciężką. Musiała rzeka obracać młyny, spławiać tratwy, nosić na grzbiecie statki i łodzie i gabary ładowne. Przerzynały ją mosty, jak piły, kawałkowały jak węża, rozcinały jak wstęgę, dusiły ją bulwarki miejskie, tamy i groble. Ściekowe rury miast wyrzygiwały w nią nieczystość, kaziły ją.

— O niepokalaności wyżyn Lodowcowych, jakżeście teraz dalekie! Jakżeście niebotyczne, niedostępne, i jakże za wami tęskno! O mój Promieniu cudny, tęczowy, któryś mię pieścił w górach Majem pachnących!

Wody rzeczne niosły w sobie tę skargę duszy Lodowcowej, niosły, aż oto pewnego dnia rzeka słyszy nieznany szum i czuje, że ją porywa szumiący przestwór w otchłanną jakąś paszczę i wchłania.

Zginęły wody rzeczne w przestworzu bezdennem, bezbrzeżnem, pełnem goryczy żywicznej, kipiącej potęgą, dla której trudów ludzkich ogrom jest nieskończenie małą drobiną, tak małą, jak plażowy krzemyk na proch starty i tak filigranową, jak małży perłowej szkliwo w konch wnętrzu.

Kłębi się oceaniczna potęga sama w sobie, jako otchłań, która powraca czystość, — toń, która pochłonęła w sobie dusze lodowców, upadłych w ziemskość; dusze potoków i kaskad oszalałych z nizinowego popędu, na oślep rzucających się w przepaść; dusze strug, ruczajów, dopływów, rzek powolnych, zgnębionych pracą,

i dusze rzek głównych, pełnowodnych i już wyzwolenia blizkich.

Oto nad oceaniczny rozłóg seledynowy, nad ten wszechpochłon wód ziemskich, weszło słońce, wszechźródło promieni. Podnosi złote rzęsy i olśniewającą źrenicą wypatruje w oceanie dusz lodowcowych, które przebyły już swój ziemski okres pokutny, i wyzwala je, a one, jako czysty pył rośny, fruną w nieskończoność.

Którym duszom jeszcze za niziną tęskno, te, w obłok połączone, spadają na gór wierzchołki i ponownie stają się Lodowcem.

I znowu nad Lodowcem niebo, jak oczy szafirowe i czyste, i znowu rozmarza Lodowiec tęsknota do seledynów dalekiego oceanu, i znów promień majowy, i znowu miłość, — w niziny sprowadzająca miłość.

O, powrocie wiekuisty! O, rytmie fal seledynowych! O, życia łudo promienna!

MAŁŻEŃSTWO

Za czasów chaosu, pierwiastki światłe i ciemne były ze sobą zmieszane i nic ani o sobie, ani wogóle o niczem nie wiedziały.

Aż oto Ktoś wyrzekł: Niech się stanie Światło!...

I stało się Światło.

Ale jednocześnie powstała i antyteza Światła — Ciemność.

Stali się, poznali i już »żyć bez siebie nie mogli«.

Im jaśniej biło Światło, tem Ciemność stawała się zwartszą, a im ciemniejszą była Ciemność, tem jaśniej odbijało od niej Światło. Światło pochłaniało Ciemność, mężniało. Ciemność dawała się pochłaniać, kobieciała.

Żyli tak i to było życie rajskie.

Była to miłość włosów czarnych z białością czoła; miłość sukni czarnej z bielą cielesną; miłość nocy z dniem; miłość żądzy z myślą czystą; miłość kominiarczyka i królewny; miłość dyablicy z aniołem.

Była to miłość niebytu z bytem, miłość śmierci z urodzeniem.

Ta czysta odrębność obojga stanowiła dla nich rozkosz tak wielką, że zapragnęli oboje utrwalić ją przez stosunek małżeński.

Pożenili się.

Zdawało im się, że bez tej sankcyi sakramentalnego *officium*, coś ich może rozdzielić, że Światło może zgasnąć, że Ciemność może się uświetlić, że jedno zapanuje nad drugiem, że, ostatecznie, ich raj dotychczasowy może przepaść.

Zawarli ślub i zrodzili — szarość.

Pół-światłość i pół-ciemność. Szara godzina. Brzask. Zmierzch. Półmrok. *Entre chien et loup* — stosunek psa i wilczycy, suki i wilka.

Zaczęły się psio-wilcze dogryzania, przekąsy, uszczypliwości, poszczekiwania, pomruki, drapanie, — życie pod psem.

Ono, Światło, wyrzucało jej, Ciemności, że mu dała zakosztować z drzewa ciemnej wiedzy. Ona, Ciemność, wytykała jemu, Światłu, że ją zapłodnił wiedzą czystą, abstrakcyjną, śmiertelnie nudną, że ją — płakała — zepsuł, uświadomił, unieszczęśliwił.

Zaczęli rzucać w siebie objektami. I narzucali, każdy w stronę przeciwnika, mnóstwo tych objektów, ranili się, mordowali tą »objektywnością«.

W przerwach, niekiedy, nastawał moment »subjektywnej« pieszczoty, krótki, zabójczy, i znowu powrót do objektów.

Ono, Światło, wymyślało jej, Ciemności, że go wyczerpuje; ona, Ciemność, krzywdowała sobie, że ono, Światło, nie dość ją przenika, nie dość rozwidnia.

Podali się o rozwód.

Ale konsystorz nie ma władzy jednem powiedzeniem »Fiat lux!« oddzielić światło od ciemności. Konsystorz nie mocen rozwieść małżonków tak, aby im wrócić stan pierwotny, — wrócić im młodość, wrócić miłość, wrócić raj.

Tego konsystorz zrobić nie może.

I nie chce.

A nie chce, bo gdyby powiedział: »Niech się stanie światło«, lub: — »Niech się stanie młodość«, albo: — »Niech się stanie miłość«, słowem, gdyby rzekł: — »Niech się odstanie wilczo-pstre piekło, a niech wróci świetlaność raju!« — gdyby to powiedział, i gdyby to miało siłę obowiązującą, to on sam konsystorz, jako już niepotrzebny, musiałby przestać istnieć.

Byłoby aktem samobójczym wyrzec powyższy twórczy, miłosny, świetlany dekret. A samobójstwo jest grzechem przeciwko Duchowi Świętemu.

Dlatego władza duchowna, czyli duch władający, albo duch panujący, duch pański, duch, stojący u steru władzy codziennej, duch codzienny, duch bagatelny, duch objektów, duch drobiazgów, duch detalów, duch powszedniego chleba, duch czarno-biało-bury-szary, — słowem taki duch nie może chcieć oddzielenia Światła

od Ciemności, męża od żony, związanych szarą niechęcią i objektywną nudą.

Władza codzienna jest za szarością, za sprzeczkami, za poszczekiwaniem na siebie psio wilczem, za *Entre chien et loup*, za małżeństwem.

— Niech się czepia Ciemność Światła. Niech Światło nęka i kłuje promieniami Ciemność: rozdzielać ich nie można, bo światby zginął. *Fiat chien et loup!* Zawierajcie śluby i rozmnażajcie szarą objektywność! Niech się mnożą *chiens et loups* — psy i wilczyce, wilki i suki! Rozmnażajcie się, jako szary proch przydrożny. Niemasz innych rajów nad raj przydrożnego prochu. Być deptanym, módz się zamieniać w błoto, wysychać i z wiatrem rozwiewać. *Fiat pulvis! Pulvis es.* Prochem jesteś. Szarzej, próchniej, żyj! Masz pory dnia, pory codzienne, masz pory roczne. Masz świt szary, kiedy zaczyna się przewaga męża (jasności), i masz wieczór, kiedy zwiększa się władza żony (mroku). Zimowe noce są dłuższe, rada żona. Latem dnie dłuższe: mąż dłużej może być poza łóżkiem — rad. Każdy ma swoje. Aby zgodnie, oby po bożemu. Żyjcie!

Ten dekret wydała władza duchowna, niewładna narzucać światu nowych norm, ani zmieniać pór dnia i roku, ani przywracać minionych rajów, ani budować nowych.

Utraconych rajów, kiedy osobno żyło Światło i osobno Ciemność, byli młodzi zdecydowani, silni. Byli

tak różni od siebie, jak różną jest czarna suknia od bieli cielesnej, kobiecej. I tak do siebie lgnęli, jak ta suknia do ciała. I taką stanowili jedność. I było im rozkosznie. Kochali się jak niebyt i byt, jak trumienny kir i biała suknia oblubieńcza.

Byli silni jak śmierć i byli mocni, jak życie.

SZCZEROŚĆ

BAJKA INDYJSKA

Pewnego razu siedział sobie Zając w dżungli, żując koniczynę zajęczą i strzygąc słuchami. Żuł, strzygł i rozważał. Zając bezbronny jest, niemocny, wystawiony na łup wszelakich drapieżników, i dlatego musi żyć nader czujnie i za byle szmerem nastawiać uszu.

— Źle jest na świecie — myślał. — Nic, tylko podstęp, fortel, obłudna napaść... Niema szczerości za grosz. Taki myśliwiec naprzykład? Czy nie powinienby przed polowaniem ogłaszać, kiedy i gdzie ma zamiar urządzić łowy? Powinien. Ale gadaj mu o tem! Maskuje się, czai, wyłazi znienacka. Nasłuchuj tylko, rozglądaj się i strzeż! Mam już wadę serca, cienia własnego się lękam. Do psa z takiem życiem, jeśli nie można darów bożych używać spokojnie! Ach, za bardzo świat kłamliwy, nieszczery. Nic, tylko udanie, sztuka, wybieg! Ale wiem co zrobię. Pójdę i zacznę głosić między zwierzętami ideę bezwzględnej szczerości.

Tu Zając poczuł, że w procesie odżywczym jego organizmu nastąpiła ta chwila, której przebieg raczej skrycie odbywaćby się winien i tak się też zazwyczaj

w dotychczasowem życiu jego zajęczem odbywał; obecnie jednak Zając, w myśl kiełkujących w nim popędów szczerości, zamiast przyzwoicie się w gąszczu odosobnić, wylazł na szczere pole, aby tam, bez żadnej obłudy i ukrywania dać szczery wyraz temu, do czego w danym momencie zniewalała go natura. Jednakże kiedy już się w szczerem polu znalazł, owładnął nim strach, ozwał się instynkt przyzwoitości, i zając czyn w połowie już rozpoczęty przerwał i podsunął się ze szczerego pola, tyłem, pod kierz indyjskiego jałowcu.

Z pól wiał zapach otwartej przestrzeni, która jednak, mimo tę otwartość, ukrywała w sobie jakieś tajemnicze, w dal wlokące niedomówienie.

Wtem, z tyłu zatopionego w błogą naturalność Zająca, cichutko, z pod wiatru wyszedł Lis.

Wyjście było tak chytrze obcesowe, tak sztucznie podstępne, że Zając zdrętwiał, skamieniał niejako w swej pozie śmiesznej i niezbyt tragicznemu położeniu, które go zaskoczyło, odpowiadającej.

— Nieczystość policyjnie karana — rzekł Lis, biorąc winowajcę łapką za jeden ze sterczących słuchów.

— Przepraszam... — wyszeptał Zając.

— To tak? To się pod krzaczkiem? Zamiast wyjść na otwarte pole, żeby i ślad był widoczny i gleba żeby miała pożytek? Ile razy wam powtarzać: nie kryjcie się pod krzakiem! nie konspirujcie! nie chowajcie się po kotlinach! szczerze! jawnie! bez obłudy! swobodnie!

Struchlały Zając bardzo się zawstydził, ponieważ słowa Lisa przypomniały mu jego własny program szczerości, od którego, niestety, zaraz na początku zboczył. A i teraz, wbrew wszelkim programom i ulegając tylko swej naturze lękliwej, rzekł:

— Kiedy w polu, proszę pana, to jakoś nijako. Wszystko widać... Psy mogą...

— Eh, wy serca zajęcze! — krzyknął Lis. — Kładź się!

— Oj nie będę już, nie będę!

— Cicho, głupi. Toć cię nie zjem... Przynajmniej nie od razu.

Zając położył się. Lis przysiadł mu pośladek i przebierając łapą w drżącej turzycy nieszczęśnika, mówił:

— Że też to Zając tak się wszystkiego boi? Chowa się, kryje, ucieka... Tylko pod miedzami, po kątach, norach, kotlinach, a jak potrzeba, to was nie widać. A dlaczego? Bo w was, zającach, niema zaufania, szczerości niema, tego, żeby to jak brat z bratem — niema... Nie, tego w was niema.

Zająca te wyrzuty po prostu chłostały. Jemu to mówić? Toż on właśnie nad odrodzeniem się w szczerości myślał, gdy zaskoczyła go potrzeba, do skrytości wyjątkowo nakłaniająca; do skrytości tej pozwolił się instynktowi zniewolić, i tu właśnie zdybany został przez Lisa... Ach, może to właśnie kara ten Lis — kara za

odstępstwo od programu, za niezgodność czynu z postanowieniem? Byłby sobie kucał w szczerem polu. Lis, wzruszony jego szczerością i zaufaniem, byłby go może przywitał po przyjacielsku, pochwalił i możeby sobie zaraz odszedł... A teraz masz!

Tu Zając nerwowo zaruszał się pod Lisem i miauknął.

— Co mówisz? — spytał Lis, drapiąc ofiarę.

— Ja? Ja nic...

— Nic? Jak śmiesz nic? Mów coś!

— Kiedy się boję.

— Czego? Powiedz szczerze. Choć raz pogadajmy sobie tak serdecznie, otwarcie. Dlaczego się boisz?

— Nie wiem, ale jakoś mi z panem nie swojo. Kiedy mnie pan dotyka, że już nie mówię o siedzeniu na mnie, to czuję się tak, jakbym był zjadany, jakbym się zmniejszał, jakby coś we mnie marło... jakby...

— No? Śmiało!

— Jest to przykre, ale zarazem jakieś takie, jakby... czy ja wiem?... jakby konieczne, jakby inaczej być nie mogło...

— Bo nie może — wtrącił Lis. — Ale mów dalej.

— A jeżeli może, jeżeli to nie konieczne? — miauknął Zając trochę śmielej. — Bo mimo wszystko czuję też, jakby mię coś od pana odpychało...

— Nura chciałoby się dać? He, he... — zaśmiał się Lis i mocniej przysiadł Zająca.

— A wiesz, to dziwne. Mnie bo znów nadzwyczaj dobrze z tobą. Przyciągasz mię wprost. Czuję, że każdy kawałek twego mięsa należy do mnie, zapełnia moją czczość apetytową. Sam twój widoczek jest dla mnie smaczniutki; jeszcze wprzód nim cię jeść zacznę, zżeram cię pożądaniem; każda tobie zadana przykrość podnieca mię i wywołuje napływ miłości ku tobie. Cała nieskończoność mięsna... Ale nie z tobą o tem mówić!

— A ja, — rzecze Zając, ośmielony gadatliwością Lisa, — a ja marzyłem właśnie, żeby tak z panem kiedy szczerze porozmawiać. Niema to rzeczy milszej nad szczerość.

— Jak czyja — rzekł Lis. — Moja szczerość dla ciebie niezawodnie ciekawa, ale ty?... Cóż mi znaczy twoje wyszczerzenie, ty... niewstydniku. Weź mi zaraz i uprzątnij prędko coś nabroił pod krzakiem.

Zając rad, że może zmienić przykrość położenia, wstał i ociągając się trochę, zaczął łapkami zagrzebywać ślady swego, za mało otwartego uczynku.

— A, ładnie! — rzekł Lis z obrzydliwością. — Ładnie cię mama wychowała!...

Zając zaczął płakać.

— Nie lubisz? — drwił Lis. — Przecież to twoje własne. Wszakże ty stanowisz moją własność, a ja, owszem, ja z rozkoszą cię uprzątnę... No, mów!

Zając milczał i płakał.

Lis cichutko wziął go kłami za kark i jął potrząsać w jednę i w drugą stronę.

— Boli?

— Ujujuj... — miauczał Zając, przestępując z nogi na nogę.

— A jakże to cię boli? Jak? Mów szczerze, bo mię nudzisz.

— Niech pan trochę popuści.

Lis popuścił. Zając zebrał się w sobie i rzekł:

— A więc powiem panu wszystko. Nie to mnie boli, że mię pan gryziesz, tylko to, że jesteś ze mną nieszczery. Mówisz, że mię lubisz, a wobec twego postępowania ze mną widzę, że nie...

— Ależ jestem najszczerszym z tobą. Lubię cię, nawet kocham.

— To czemu mię pan zjadasz?

— Właśnie dlatego. Uwalniam cię od ciężaru życia, wcielam do swej istności, uszlachetniam cię, ulisiam, że tak powiem...

Lis skrobnął Zająca pazurem i wpadł w zadumę.

Było niewymownie gorąco. Bambusy, palmy i inne drzewa indyjskie, z całą, na jaką je stać było, szczerością bezwzględną, rosły tu i wyrzucały z siebie nadmiar aromatów, — ale mimo to, czuć było, że coś zatrzymują dla siebie i tają... Może rozkosz istnienia?

— Oj — piszczał Zając — niech mnie pan nie zjada. Jeszczebym chciał pożyć sam. Życie jest takie piękne.

— Jak czyje. Moje — owszem, ale nie twoje. No, cóż ty, nędzoto, czujesz, dajmy na to, dyrdając po lesie?

— Co czuję?... Słucham, jak śpiewają ptaki...

— No i co?

— I trochę się boję, żeby kto na mnie nie napadł i nie obdarł.

— A widzisz. I ty to nazywasz życiem? Daję słowo, robię ci łaskę, zjadając twoje wiatrem podszyte ciało.

Tu Lis na dobre już chciał zapuścić zęby w gardło zajęcze, gdy naraz poczuł, że czyjeś ciężkie łapsko legło mu na ramieniu i gruby głos zawołał:

— A to co za awantury w moim uczą̨stku? a?

Był to Wilk, myszkujący po lesie, w roli starszego kontrolera i dozorcy nad spełnianiem przepisów administracyjnych.

— I za cóżeś tego biedaka turbował?

— Za robienie nieczystości — rzekł Lis, salutując, niby kapral przed kapitanem.

— Gdzie? Nie widzę.

— Bo... bo...

Lis wahał się przyznać Wilkowi do swego zbytniego okrucieństwa względem Zająca i umilkł.

— Co takiego? — krzyknął Wilk. — Kpisz ze mnie, a?

Uderzył Lisa w mordę i mówił dalej:

— Ileż ja to razy wam, bydłu, będę zalecał mówienie prawdy, samej tylko prawdy? a?... Prawda, szczerość, kontrola — oto na czem las stać powinien. Ty mi tu łgarstwa będziesz komponował? Czy łżę ja? Czy ukrywam przed tobą, żeś chytry pies i obłudny huncwot? Ja ci szczerze, prosto z mostu powiadam, żeś hultaj... Kładź się!

— Oj, oj, nie będę, — zawył Lis z udaną pokorą i z podełba zerkając, gdzieby tu można zemknąć.

Ale Wilk ułapił go za kark jedną ręką i trzymał; drugą — przygarnął płaczącego Zająca.

— Ty biedaku — rzekł. — Poranił cię, widzę, ten rozbójnik. I cóżeś to zawinił?

— Nie wiem — płakał Zając. — Może to, żem był zanadto szczery... myślałem...

— Ładna szczerość — przerwał Lis: — chował się pod krzakiem.

— Czy tak? — spytał Wilk z brzmieniem smutku w głosie. — Żeś, jak mówisz, chciał być szczerym, to ci chwalę; ale jeżeli chowałeś się, to bardzo, bardzo źle, mój synu...

Pogłaskał Zająca i widząc na nim krew od udrapań lisich, zaczął ją zlizywać. Polizał, polizał, oczy zapłonęły mu rozkosznie i mówi:

— Chować się, mój kotku, nie powinieneś. Chować się oznacza obawę. A kto się boi, ten źle broi. Szczerość za to bardzo ci będę chwalił. Prawda w sercu

i prawda na ustach, jak u mnie. Kontrola przychodzi i wszystko ma jak na dłoni, aż miło!...

— A ja właśnie — rzekł wzruszony Zając, — ja właśnie pragnę gorąco, żeby każdy mówił szczerze to co myśli, co zamierza robić...

— Ot, to to to — podchwycił Wilk ze zdziwieniem i radością: — ot to... serce jak na dłoni. Tak, ja zawsze mówiłem, że Zając to mądre i lojalne stworzenie. Trzymam ja tu was dwóch, a jak jeden do drugiego nie podobny. Lis, ten tylko kręci i aby obełgać władzę i dlatego nie kocham go... Won stąd!

Wstrząsnął Lisem i odrzucił go o parę kroków, poczem całkowicie już poświęcił uwagę Zającowi.

— A ciebie, Zającu, kocham. Tyś chwat. Naprzód, śmiało, bez przytomności, szczerze, otwarcie, aż miło... Tak cię kocham, że i wyrazić nie sposób.

Tu wywiesił długi, amarantowy język, liznął krwi, która się wciąż sączyła z szyi zajęczej, i rzecze:

— Szczerość, zawsze szczerość! Tak. Ale ot jedna bieda. Czasem, kiedy ci serce rozedmie kochaniem, to chciałbyś, tak jak ja teraz chciałbym powiedzieć, jak cię kocham, a nie można. Choć bij — nie można. Języka mało.

I znów zajął się lizaniem. Krew połknięta rozjątrzała go. Dygotał i zaczął się w ranę wgryzać.

— Możebym już poszedł sobie — zaskomlił nieszczęsny Zając.

— I dokądże ty chcesz, bracie mój, a? Zostań, pogadamy... duszę ci wyleję, choć trudno a sprobuję wylać, protekcyę ci dam, przytulę...

— Oj! — krzyknął Zając i ucichł, bo właśnie paszcza roznamiętnionego Wilka przecięła mu żywot...

Naokoło stały zarośla z drzew bambusowych i innych. Wiatr gorący pełzał od drzewa do drzewa i niby je nakłaniał do wyjawienia tego, co w głębi liście kryły. Ale one wydawały tylko cichy, niezrozumiały szept-szelest; na niektórych krzewach liście poruszały się, jak usta niemych, jeszcze inne sterczały zupełnie twarde i w sobie zamknięte.

W tej samej chwili, kiedy Wilk doduszał Zająca, rozchylił się gąszcz bambusów i lekko, powłóczyście, lecz z groźnie stanowczym pomrukiem, wyszedł Tygrys.

Zaskoczony Wilk, porzucił czemprędzej ofiarę, wyprężył się po wojskowemu i przyłożył rękę do daszka czapki.

Tygrys zwolna, fascynująco podszedł do Wilka, zatopił mu w ślepiach dwie spokojne, jeneralskie źrenice i patrzał, niby się w Wilku doszukując minionych, niższych stanów swojej zwierzęcości. Stał tak nad Wilkiem i, zdawało się, namyślał, czy warto wszczynać rozmowę z tem lichem stworzeniem.

Podczas tej niemej sceny, Lis pocichutku, chyłkiem wczołgał się w gąszcz i zniknął.

Nareszcie, tonem rozkazującym, krótkim i wyniosłym, Tygrys przemówił.

— Raport! Kto śmiał zabić tego kota bez mego rozkazu?

— To... to Lis — rzekł Wilk głosem pełnym uniżoności i kłamstwa.

— Lis? Dawać go tu.

Wilk obejrzał się i pobladł. Lisa nie było już ani śladu.

Międzyocze Tygrysa zbruździł snop zmarszczek.

— Co to? Żarty?... Kładź się!

Wilk padł na kolana i zawył.

— Łaski! Łaski!

Tygrys splunął.

— Wstań, zwierzę.

— Słucham — szczeknął Wilk, powstał, wyprężył się i znów zasalutował.

— Gadaj mi szczerze prawdę! Tyś morderca? Nie wiesz to, że kot to mój daleki powinowaty, zwyrodniały wprawdzie, roślinożerny, ale zawsze wara od niego wam, kobylarzom! Mów!

— Łaski, jenerale! Tak było. Przychodzę w ucząstek, patrzę — Lis obrabia Zająca tego i już go bierze za hals. A ty, taki synu, powiadam. W mordę go raz, drugi. Za co, mówię, dusisz tego kociaka? Za nieczystość, mówi. Gdzie? Żadnej nieczystości nie widać. Znów Lisa w mordę, za kłamstwo, za nieszczerość, i do

Zająca. Za co cię, mówię, poranił? Za to, powiada Zając, że mówiłem szczerze, co myślę. I powiada, że chciałby, żeby wszyscy mówili szczerze, co myślą i chcą robić. Takie zasady u Zająca! Wziął mię za serce, a ja go wziąłem ot tak leciutko za szyję; chciał człek popieścić, pochwalić, nagrodę obiecać... Patrzę, a on już, kociątko, nie dycha. Z upływu krwi...

— Dosyć! — rzekł Tygrys, ruszając niecierpliwie ogonem. Zamyślił się, i po chwili, jakby raczej do siebie mówiąc, niż do Wilka, rzekł:

— Szczerość w Zającu! Zabawne... Chociaż i usprawiedliwione. Kto mniej ma do powiedzenia, temu łatwo być szczerym. Ale kto dużo czuje i myśli...

— O, to to! — wyrwało się Wilkowi.

— Milcz! Nie o tobie mowa.

Wilk zmieszał się i znieruchomiał.

— Tak, tak — ciągnął Tygrys z pomrukiem niezadowolenia. — Szczerość! Zając powiedział: »boję się«, i powiedział wszystko. Ale kto dużo czuje i myśli... Hm... ja, naprzykład? Mógłbym powiedzieć... Co mówisz?

Ale Wilk zalękniony nie mówił nic. Stał tylko i salutował, z czołobitną żenadą.

— Ja — rzekł Tygrys po chwili milczenia — ja mógłbym powiedzieć, że... że nie boję się niczego, tak, nie boję się niczego... Co?

Ale Wilk, raz ofuknięty, nie mógł się zdobyć na śmiałość interlokutora. Milczał.

— Poszedł precz, zwierzę, — ryknął Tygrys, zirytowany jego głupotą i onieśmieleniem.

Wilk skwapliwie skorzystał z rozkazu i skrył się w gęstwinie.

Gęstwina, złożona z drzew bambusowych i innych, prężyła się w słońcu, jakby chciała komuś salutować. Drzewa ruszały liśćmi, niby chcąc okazać szczerość. Niektóre liście nawet były aż przezroczyste, rzekłbyś, z nadmiaru szczerości. Przez gałęzie jednych drzew widać było odmienną zieloność innych. Wszystkie drzewa i krzewy szemrały napozór otwarcie, ale w szemraniu tem było coś ukrytego: jakieś niedomówienie szeleszczące taiło się w drzewach.

Tygrys rzucił okiem na zwłoki Zająca, postąpił ku nim cokolwiek, ale się zawahał i spojrzał w gąszcz. Zdawało mu się, że za temi drzewami, napozór szczeremi, coś się ukrywa, i że to coś zaraz się wysunie.

Poruszyło się w gąszczu. Tygrys drgnął i naprężył mięśnie. Bał się niewiadomego. Ale żadna szczerość nie zniewoliłaby go przyznać się do lęku.

Rozstąpiły się liście, jak poruszone wiatrem, i wyszedł, a raczej zabłysnął na tle zieleni, Jogis [1]). Nagi był całkiem, długowłosy. Kontur jego nagiego ciała rozpraszał się w światłości i nieoznaczenie się jednoczył z tłem trzcin bambusowych. Tylko oczy mu

[1]) Indyjski poskramiacz zwierząt.

okrągliły się w oliwkowej twarzy wyraziście i zniewalająco.

Szedł na Tygrysa, jakby chciał przejść skroś jego wyobrażony przez siebie kształt, ale nie rzeczywisty. Gdy był tuż, zmierzyli się spojrzeniami.

Jogis patrzał Tygrysowi w oczy wzrokiem świadomego dziecka. Wzrok ten gorzał ogarnięciem takiem wszystkich promieni woli miłosnej, — ogarnięciem ta kiem, jakie bywa w soczewkach szklanych, gdzie wszystkie promienie zwierają się w jeden punkt świetlny, palący.

Tygrys, pod działaniem tego wzroku, doznał jakby ukłócia; ruszył ogonem, spuścił oczy i w tył się cofnął.

— Kto jesteś? — mruknął — że nie lękasz się mnie, panującego nad zwierzętami?

Jogis milczał, ale oczy jego mówiły:

— Jestem ten, który panuje nad sobą.

A Tygrys zrozumiał tę mowę oczu, która wypalała w nim wolę oporu. Lecz, nie poddając się, rzekł:

— Panuje nad sobą, kto nie ma siły być sobą.

— Nie jesteś sobą — mówił Jogis oczami. — Korzeń twego istnienia tkwi we mnie. Ty jesteś żądzą pychy, głodu, pragnienia i rui. Pokonałem cię w sobie.

Tygrys przycupnął i ze zdradzieckim buntowniczym mrukiem gotował się do skoku.

— Żądza jest twoją istnością, a władza nad żądzami jest we mnie. Ulegasz niewolniczo temu, co ja pokonałem.

Tygrys skoczył. Ale Jogis wyciągnął rękę i Tygrys, jakby uderzony niewidzialną a potężną siłą, omdlał w stawach i zgasł w ruchu.

Pogromca, milcząc, spuścił rękę i zaczął Tygrysa głaskać. I uczuł zwierz, jak coś niewypowiedzianego, niewymówionego, — to coś, które taiło się w drzewach i liściach, to n i e w i a d o m e przenika całe jego jestestwo, zniewala i obezwładnia słodką mocą. Czuje, że złączony jest z pogromcą tak, że targnąć się na niego znaczyłoby sobie śmierć zadać. Przytulił się do Jogisa i jak kot, zaczął się o jego nagie biodra ocierać.

Tygrys poznał miłość człowieczą.

Był żar niewymowny. Krzewy bambusowe szeptały napozór otwarcie i szczerze, ale było w tem szeptaniu coś niedomówionego. I to coś niedomówionego, niedopowiedzianego snuło się w krzewach i, niby pajęczyna świetlna, łączyło Tygrysa i Pogromcę i krzewy i powietrze w jedną niewypowiedzianą harmonię życia.

Jogis odszedł. Po jego odejściu, w Tygrysa wstąpiła jakaś narkotyczna ospałość i nieznany mu przedtem ból osamotnienia.

Poznał człowieczą tęsknotę i zapragnął śmierci. Wkrótce też stał się łupem innych, nieujarzmionych tygrysów.

MILCZENIE

W pewnem towarzystwie rozmowa toczyła się głośna, szumna i nieprzerwana. Nim skończył mówić jeden, zaczynał drugi; nim wygadali się obaj, podnosił głos trzeci, w to *trio* wpadał ze słowem czwarty, odzywał się piąty i dziesiąty. Każdy miał coś do powiedzenia i pilno mu było to powiedzenie z ust wyrzucić.

Wyrzut słowny jest bądź co bądź uczynkiem, a uczynek to praca, a praca, to przymnożenie społeczeństwu bogactwa, a przymnażanie biednemu społeczeństwu bogactwa — to dobro — dobro tak wysokie, że wobec niego owa osławiona »cnota nad cnotami« — cnota milczenia, jest złem wysoce nizkiem.

Mówiono o znajomych i o nieznajomych, w sposób jak można najprzyjemniejszy, to jest mówiono — źle.

Nie wypada stąd, iż mówić o znajomych i o nieznajomych w sposób najprzyjemniejszy jest rzeczą złą. Wcale nie. Tylko, że o znajomych i o nieznajomych najprzyjemniej jest mówić rzeczy złe. Najprzyjemniej — złorzeczyć.

Dlaczego tak jest, niewiadomo. Ale tak jest. Wszakże w języku nawet mamy »złorzeczyć« — utarty i od wieków prawa obywatelskiego używający czasownik, a natomiast nie posiadamy przeciwnego mu odpowiednika — »dobrorzeczyć«. Nie wskazywałożby to ubocznie, że w ogólności »mówić« (czyli »rzeczyć«) nie tak łatwo kojarzy się z pojęciem dobra, jak z pojęciem zła? że mówienie ma ściślejszy związek ze złem, niż z dobrem?...

Cofnijmy się jednak od tych niemiłych i niepożądanych dla wszelkiego rodzaju mów, jako to: rozmowa, u-mowa, ob-mowa, wy-mowa, na-mowa, podmowa i prze-mowa, językowych badań i wróćmy do samego faktu, że słownik polski, mając tak używane słowo »złorzeczyć«, słowa »dobrorzeczyć« nie posiada. Takie słowo jest u nas nieznane, nieużywane. A czego niema w języku, tego nie może być w obyczaju towarzyskim.

Jest słowo zbliżone do »dobrorzeczyć« dźwiękiem, mianowicie: »dobra życzyć«, »dobrze życzyć«. Ale to słowo ma związek z »dobrem o kimś mówieniu« słaby. Naprzykład mówi się: »Ja mu tam dobrze, jak najlepiej życzę, ale...« I tu następuje szereg właśnie »złorzeczeń«.

W taki to dobro-życzliwy, zło-rzeczący sposób towarzystwo bawiło się szumnie i z ożywieniem, nie wkraczającem jednak w orbitę złego... tonu.

— Czy wiecie państwo, że pani *Alfa* ma córeczkę?

— Czy to ta sama pani *Alfa*, która przed pięcioma miesiącami wyszła za pana *Betę*.

— Ta sama.

— I już córeczka?

— Cóż w tem dziwnego. Córeczka urodziła się na czas, tylko ślub był o cztery miesiące za późno.

— Ha, ha, ha!

— Hi, hi, hi!

— Ja tam życzę tej pani dobrze, jak najlepiej, ale podobno...

— Doprawdy?

— Słowo honoru.

— Ho, ho, ho!

— Hu, hu, hu!

— Hy, hy, hy!

— Panowie! — ktoś zaproponował: — Sprobujmy tak, dla zabawki, dla żartu, dla odmiany mówić o ludziach tylko dobrze, nic tylko dobrze. Dobrze?

Towarzystwo, oszołomione dziwactwem propozycyi, umilkło. Każdy błyskawicznie poszukał w myśli, coby mógł o swoim znajomym powiedzieć dobrego i nie znajdował. Po pewnym jednak czasie, gdy wszyscy ochłonęli ze zdziwienia, projekt, jako coś egzotycznie rzadkiego, niby jakaś nowa odmiana gry w piłkę nożną, został przyjęty.

— Dobrze! — zawołano: — *Va banque!*

— A więc ja zaczynam — rzekł projektodawca: —

Panią *Gammę* państwo znacie? Otóż, stanowczo twierdzę, że pani *Gamma* jest skończonym klejnotem piękna. To prawdziwa gemma.

— Protestuję! — rzekła pani *Delta.* — Pani *Gamma,* ze środkowem »am«, nie może być gemmą, która ma w środku »em«.

— To prawda — wtrącił pan *Epsylon.* — Możemy się bawić w dobre mówienie, ale nie należy mijać się z prawdą. A prawdą jest, iż z całej pani *Gammy* jest piękną tylko jej twarz.

— Pardon! — rzekła pani *Dzeta.* — Nie szafujmy wielkiemi słowami. Twarz! Twarz!... Twarz jest tak sobie, ale naprawdę ładnym, skończenie ładnym w tej twarzy jest tylko — nos.

— Jeżeli go będziemy rozpatrywali bezwzględnie, tak — rzekł pan *Eta.* — Ale gdy porównamy nos ten z nosem *Venus,* choćby Medycejskiej, to musimy przyznać, że w nosie tym naprawdę piękną jest część dolna. Nieprawdaż, pani *Teto?*

— Owszem — rzekła pani *Teta.* — Chociaż, podług mnie, to naprawdę, ale to już naprawdę, to w tej dolnej części są rzeczywiście piękne tylko — dziurki.

— Ha, ha, ha!

— Hu, hu, hu!

— Hy, hy, hy!

— Pozwólcie mi uzupełnić to określenie — zawołał pan *Jota.* — Z tych dwóch dziurek to istotnie

przepyszna, przewspaniała, przebosko piękna jest dziurka jedna — prawa.

— Ho, ho, ho!

— Hi, hi, hi!

— He, he, he!

— Panowie! — rzekł nakoniec zgorszony projektodawca tej nowej zabawy w *football*, czyli w kopanie okrągłej jak *omikron* piłki. — Panowie i Panie! Przyznajecie ślicznej pani *Gammie*, jako *maximum* piękna, jedną, jedyną dziurkę od nosa? Czy wam nie wstyd? To już lepiej bawmy się po dawnemu. Może wówczas się zgodzicie, iż przynajmniej dwie jej dziurki są piękne.

Jak widzimy z tej rozmowy, »dobrorzeczenie« jest rzeczą tak niedobrze odpowiadającą zabawie towarzyskiej, że praktykować go nawet chwilowo, dla odmiany, dla żartu, dla wypoczynku po złorzeczeniach, niepodobna. Dochodzi się do złorzeczeń jeszcze gorszych. Z pięknej damy zostaje tylko jedna dziurka.

— Czem się to dzieje? — niewiadomo, ale tak się dzieje.

Dlaczego jednak tak się dzieje?

Mówić dobrze o bliźnim, to znaczy bliźniego kochać. Ale kochać bliźniego stanowi rzecz dobrą tylko wówczas, kiedy bliźni jest naszą kochanką, co się nie zawsze zdarza. Jest to pojedyńczy wypadek, w którym kochanie (czyli »dobrorzeczenie«) jest zabawą rzeczywi-

ście przyjemną. Poza tem kochanie sprowadza się do rzeczy arcy nudnej — do morału: kochaj bliźniego, jak samego siebie. Morał ten jest nietylko nudny, ale i nie moralny. »K o c h a j bliźniego, jak s a m e g o s i e b i e« — ma za kryteryum, za prawdę niewzruszoną, za podstawę tę myśl, że kochanie samego siebie to — najwyższość, do jakiej może się wznieść człowiek.

Może kiedyś ludziom z kochaniem samego siebie było dobrze. Dziś kochać samego siebie jest egoistycznie i nieuczciwie, jest źle. Zatem, gdybyśmy w podobnie egoistyczny, zły sposób chcieli (jako samego siebie) kochać bliźniego (czyli »dobro« mu »rzeczyć«), byłoby to złem również. Źle byłoby o bliźnim dobrze mówić (czyli »dobrorzeczyć«) według powyższego morału. Kochając bliźniego, jak siebie samego, musimy o nim mówić źle. Wszakże mówienie o sobie samym dobrze jest rzeczą naganną, złą. Nie możemy więc i o bliźnim, o tym naszym *alter-ego* mówić inaczej, jak niedobrze, jak — źle.

Zabawa mówienia dobrze o bliźnim, czyli zabawa kochania bliźniego, nie będącego naszą kochanką, choćby dla odmiany, choćby dla żartu, choćby dla zabawki, byłaby niemoralną zabawą. Pierwiastkiem zabawy moralnej musi być z konieczności zło — (rzeczenie).

Boć pierwiastkiem zabawy wogóle musi być zabawność. A cóż za zabawa (pominąwszy niemoralną stronę rzeczy) w tem, jeżeli mówi ktoś dobrze o bliźnim,

którego kocha, jak siebie samego, albo dobrze mówi o sobie samym, którego kocha, jak bliźniego. Cóż to za zabawa, jeżeli tym bliźnim nie my jesteśmy?

Zdarzało się nam, że ktoś wobec nas poczynał mówić dobrze o sobie samym. Wtedy — przypomnijmy sobie — jaka ogarniała nas — i słusznie — gwałtowna żądza ziewiania i jak radzi bylibyśmy byli wtedy ogłuchnąć, przynajmniej na jedno ucho. Bliźni perorowałby nam o tem, jak to mu się powodzi dobrze, jakie to on ma szczęście do wszystkiego, jaki do wszystkiego talent — a my przerywalibyśmy mu co chwila te nudne zwierzenia szorstkiemi: »jak?...« »co?...« »gdzie?...« »hę?...« »głośniej!...« (wiadomo, że tego rodzaju szarpiące przerywniki rychło gaszą największy dobrego o sobie mówienia zapał).

Dobre mówienie, »dobrorzeczenie« można wogóle usprawiedliwić i oczyścić z zarzutu niemoralności w jedynym tylko wypadku: jeżeli przedmiotem tego »dobrorzeczenia« jesteśmy — my. My, a nie jakiś obcy nam bliźni. O bliźnim wiemy już co trzymać. Dobre mówienie o bliźnim sprowadza się do dobrego mówienia o sobie. A wtedy, jeżeli los nie udarował nas głuchotą, przynajmniej na jedno ucho, bawimy się mniej, niż średnio.

Mówi nam naprzykład taki ktoś o swoim bliźnim:

— Wie pan, co to za dobry, miły człowiek. Pożyczył mi... nie mówię ile, o to mniejsza — pożyczył,

ile potrzebowałem. Złoty, kochany człowiek. Kocham go, jak samego siebie. Czyż mogę siebie więcej, chociażbym chciał, kochać, niż on mnie kocha? Złoty człowiek...

I tak dalej. I tak dalej.

Dobrze, pięknie, ale jakaż to zabawa dla nas? Gdybyśmy wiedzieli, że ten bliźni i namby pożyczył, ile potrzebujemy, i o nasby mówił tak, jak tego pragniemy, to jest dobrze, i nasby jednem słowem, kochał tak, jak my kochamy samych siebie, albo i więcej — to rzecz inna. Ale tak...

Z tych wszystkich względów, towarzystwo nasze, o którem opowiadamy, nie mogło się zabawą dobrego mówienia o bliźnich zabawiać. I rezultat takiej zabawy, jako eksperyment podjętej, musiał być gorszy, niż rezultat zabawy towarzyskiej zwykłej, czyli zabawy złorzeczenia. W pięknej pani Gammie, gdy ją z zamiarem dobrego o niej mówienia zaczęto rozpatrywać, uznano za piękną ledwie jedną od nosa dziurkę. Piękność dziurki drugiej towarzystwo przyzna chyba na drodze złorzeczeń.

Bawmy się i my podobnież. Złorzeczmy!

Co robić jednak w wypadku, jeżeli koniecznie musimy coś dobrego o kimś rzeknąć? Czyż należy brać na siebie tak ciężką winę? Stanowczo nie!

W tym wypadku, t. j. w wypadku, jeżeli nie mamy nic złego do powiedzenia o kimś, najlepiej, najsłuszniej i najmoralniej jest milczeć.

Milczenie zabezpiecza nas od dobrego mówienia

o bliźnim wprawdzie mniej skutecznie, niż złorzeczenie o nim, ale bądź co bądź zabezpiecza.

Masz coś do powiedzenia o bliźnim dobrego i chcesz się od tego »mienia« uwolnić, nie uciekając się do radykalnego złorzeczenia, to najlepiej milcz.

Bywały wypadki, żeś mimowoli wygadał się z czemś dobrem o swoim bliźnim. Wtedy przez kontrast, dla przeciwwagi, musiałeś na tegoż bliźniego tak nazłorzeczyć, ażeby tamto dobre słowo, poprzednio lekkomyślnie wyrzeczone, zatarło się i przepadło.

Źle jest mówić dobrze; niedobrze jest mówić źle. Najlepiej więc zachowywać w towarzystwie milczenie.

O jakiż to byłby ideał towarzyski.

Wchodzisz do salonu. Wszyscy milczą. Zdaje ci się, że jesteś w galeryi Pitti, która ożyła, porusza się, patrzy, pije czarną kawę, gryzie herbatniki i — milczy. Nałóg tak zwanego »przerywania milczenia« podszeptuje ci tyle dobrych, miłych powiedzeń, tyle »dobrorzeczeń«.

Tej pani *Gammie* chciałbyś powiedzieć, że na niej, jak na gamie, wygrałbyś swoją pieśń szczęścia. Tamtej pannie *Becie* chcesz powinszować miłosnego jej analfabetyzmu. W deltę pani *Delty* chciałbyś zawinąć i już nie wyżeglowywać. Pannie *Omikron* szepnąłbyś, że ma śliczną okrągłą, jak świeżutkie »O« twarzyczkę. Na pannę *Mi* chcesz mówić »Mimi«; na pannę *Ni* chcesz wołać »Nini«. Słodkie nazwy panien *Pi, Ksi i Psi* chcesz również zdwajać...

Ale te wszystkie swoje dobre intencye powściągasz i milczysz. Milczysz, bo wiesz, że gdybyś, klęknąwszy przed panną *Mi,* albo przed panną *Ni,* albo przed którą z panien *Pi, Ksi i Psi,* dobrotliwie i miłośnie zdwajając ich nazwiska, chciał której rzec to z dobrych »rzeczeń« najlepsze: »kocham panią nad życie«, to potem przez całe to życie musiałbyś złorzeczyć. Musiałbyś złorzeczyć, aby przez kontrast, dla przeciwwagi, tamto dobre słowo twoje, któreś tak lekkomyślnie wyrzekł, zatarło się i przepadło.

Przeto wolisz teraz milczenie. Milczysz i wszyscy milczą. Widzisz przed oczyma cały alfabet o greckiej, klasycznej piękności, alfabet piękny od stóp do wszystkich nad główkami akcentów i kropek. Układasz sobie z tego alfabetu najmożliwsze kombinacye słowne, bawisz się najmoralniej w świecie i milczysz. I wszyscy milczą. I bawią się, nie złorzecząc.

Nie mówimy źle, a więc nie będziemy musieli, ani dla odmiany, ani dla zabawki, ani dla żartu, mówić dobrze. Nie mówimy dobrze, a więc nie będzie nas nic znaglało do mówienia źle: ani chęć odmiany, ani potrzeba zabawki, ani konieczność żartu. Milczymy. Jeden jest tylko głos najwymowniejszy

— Milczenie.

DWA BIEGUNY

Życie we mnie ożywia martwość rzeczy.

Jest w Himalajach góra uznana za najwyższą. Nazywa się z angielska *Mount Everest* albo *Ever-rest*, czyli góra wiecznego spokoju. Wysokość jej — trzydzieści tysięcy stóp, czyli dziewięć tysięcy sto czterdzieści metrów.

I jest w Oceanie Spokojnym albo Cichym głębia, uważana za najgłębszą. Głębokość tej *Abyss of Pacific* wynosi tyleż prawie, co wysokość Ewerestu.

Jak powstały te dwa największe kontrasty?

Opowiada o tem następująca legenda.

Za dawnych, dawnych czasów żyły na świecie, a może nawet i do dziś żyją, dwa duchy tak do siebie podobne, że aż nawzajem sobie wrogie: jeden nazywa się Wierzchoł, a drugi, a raczej druga, zowie się Prze paścią.

Wierzchoł pragnie się ponad wszystkich i ponad wszystko wznieść, a Przepaść chce, aby w niej wszyscy i wszystko przepadło.

Otóż więc, szanowna ta para żyła ze sobą niegdyś bardzo zgodnie, bardzo blizko i jak brat z bratem: co moje — to twoje, co twoje — to moje.

Ale stosunek ten braterski, ta rajska wzajemność i tożsamość idealna sprzykrzyły się Kobiecie, czyli — *pardon* — Przepaści i zakochała się w męskim Wierzchole.

Zakochała się, czyli postanowiła go w sobie zaprzepaścić.

Bo, niestety, człowiek albo dama, która nas kocha, pragnie posiąść nas, zajeść, zagryźć, jak to mówią, pocałunkami czy czem innem, dopełnić naszą osobą swoje pożądanie, pochłonąć nas. Już daleko lepiej jest, jeżeli kochający nas nienawidzą, ponieważ nienawiść gubi tych, którzy są podlegli temu brzydkiemu, złemu uczuciu. Kochankowi czasem jest miło być zjadanym, jeżeli jest dobrym. Ale Wierzchoł nie był dobrym i być nim nie chciał. Chciał być tylko najwyższym, bo wierzył, że tego chcąc, najbardziej się zbliży do Najwyższego.

I gdy zmiarkował, czem jemu, Wierzchołowi, zagraża kochająca go przepaść, zaczął jej unikać coraz bardziej i bardziej, czyli zaczął się coraz bardziej w górę wznosić.

Dzięki temu Przepaść coraz bardziej zniżała się, upadała, zapadała się, upadlała.

Co powie Wierzchołowi: kocham cię, mój ty naj-

wyższy, mój ty najjaśniejszy, to Wierzchoł zadrze do góry głowy i powiada: przepadnij.

— O bądź moim, o przybądź do mnie! — błaga Przepaść.

— Daj mi święty spokój — powiada Wierzchoł.

— O napełnij mię sobą! — żebrze zakochana.

— Jakże to ja mam cię napełnić i być sobą? — mówi z oburzeniem Wierzchoł. — Jeżeli cię napełnię sobą, to nie będę tem, czem jestem i czem chcę być i za co mię właśnie kochasz.

— Ach, ty okrutny! O gdybyś chciał, zamiast tego wynoszenia się, przeniknąć moją głębię, zniżyć się i utworzyć ze mną równy słodki poziom.

— Co? Poziom? Poziomość? Nigdy! — zawołał Wierzchoł, ale głosem już cichszym, gdyż w miarę nalegań Przepaści, coraz bardziej się od niej w górę oddalał. — Nigdy.

— Błagam.

— Wynoś się.

— Jakże to ja mam się wynosić? Wynosić się znaczyłoby dla mnie zostać t o b ą, a ja pragnę, żebyś ty m n ą został, żebyś m n i e kochał. O zlituj się nade mną, która cię tak kocham. Zapełnij mię sobą! Dopełnij mię!

— Jeszcze raz powiadam — syknął, ku najwyższościom wynoszący się okrutnik: — zostaw mię, daj mi święty spokój!

— Czy to twoje ostatnie słowo?

— Ostatnie — szepnął Wierzchoł i — zlodowaciał.

Osiągnął to, do czego dążył: święty, lodowaty, wieczny spokój — *Everrest*.

A zrozpaczona Przepaść uczuła w sobie wielką, niczem nie zapełnioną pustkę, bezowocność swego obszaru i niepotrzebność swoją na powierzchni ziemskiej, zadowolonej, równo ubitej, na powierzchni, na której libela pokazuje regularny poziom.

Oszalała beznadziejnością i kochająca, ale nie kochana, Przepaść zapadła się w głąb własną tak przepastną, że nic już tam na jej dnie rość nie może i nie może cieszyć się życiem.

I to było jedyną jej pociechą, jedyną zemstą, i jedynie to zupełne, doszczętne wytępienie w sobie życia dało jej również jak i Wierzchołowi głęboki, bardzo głęboki spokój, chociaż nie święty.

Została Przepaść — *Abyss of Pacific* — najgłębszą w Oceanie Spokojnym, trzydziestotysięczno stopową otchłanią.

Ale może przyjdzie czas, że jakiś stworzeniowy kataklizm połączy tych biegunowo sprzecznych sobie kochanków.

ABEL I KAIN

Abel po hebrajsku znaczy: próżność. Czytamy w Biblii, że kurzawa dymu z jego ofiar, w pysznie nadętych kłębach, wzbijała się ku niebu i że za to od Kaina śmierć poniósł.

Musi być w tem podaniu błąd, ponieważ Abel żyje do dziś, spokojnie paląc cygaro, z którego dym w fioletowych pasmach majestatycznie i pogodnie wzbija się pod plafon. Do dziś Abel żyje, i nietylko żyje, ale tak się umocnił, że sam teraz Kaina gnębi, i nietylko gnębi, ale na tak nizkie zepchnął go stanowisko społeczne, że my, którzy to piszemy, z pewnem wahaniem podjęliśmy próbę Kainowej rehabilitacyi.

Abel po hebrajsku znaczy próżność. W tym samym słowniku, w którym to objaśnienie znaleźliśmy [1]), o Kainie równorzędnej wzmianki niema, — fakt wymownie świadczący, że kultura dzisiejsza znajduje się pod zarządem Abla i że widać pierwszą rzeczą, gdy się do władzy dorwał, był akt zemsty, polegający na

[1]) Collins' Dictionary.

wykreśleniu ze słownika tej wrogiej dla niego osobistości.

Bez słownikowych danych, musieliśmy tedy sobie własną o Kainie stworzyć teoryę, mianowicie taką:

Abel znaczy próżność. Zabójcą próżności mogło być tylko coś przeciwnego, więc: pełność, bujność. Ale, prócz pełni i bujności, Kain musiał mieć coś z próżnością, jako jej brat, pokrewnego. Z próżnością najpokrewniejsze jest próżniactwo. Kain tedy był to człowiek pełny, bujny i próżniak. Ale czy Kain, będąc takim, naprawdę musiał zabić Abla? Czy pełny i bujny człowiek, choć próżniak, musi splamić się brato — i wogóle — bójstwem?

Istnieje dziś teorya, zwana etyką panów (Ablów), że człowiek pełny, silny, jest ten, którego siła objawia się, jako przemożenie (nie siebie — broń Boże! — tylko) bliźniego słabszego, i że przemaganie siebie to jest *ressentiment* — moralność niewolników. Masz urazę do brata, nie przemagaj tej urazy, jeno idź i brata zabij; chce ci się poromansować z jego żoną — nie krępuj się: mąż, niewolnik, będzie sobie miał *ressentiment,* a ty użycie — *sentiment.* Wszak użycie to kultura. Raz źle użyłeś, drugi raz poszło ci lepiej, a trzeci raz już jesteś doskonale kulturalny. Pełnyś człowiek, więc pełno w tobie żądzy. Wylej ją, nie przekwaszaj w *ressentiment,* bo to zanieczyszcza, robi z człowieka — pana — niewolnika. Masz w sobie chęć mordu — mor-

duj, wyrzucaj z siebie mord, zabij — nie tę chęć jeno nieprzyjemnego ci bliźniego: zostaniesz jak baranek. Opanowała cię żądza, uzewnętrznij ją, przymnóż nierządu!... Natomiast, jeśli wre w tobie chętka stworzenia czegoś pięknego, spełnienia jakiegoś aktu ofiary z siebie, jakiegoś innym szczęście dającego czynu: wtedy — o, wtedy się hamuj, zmagaj się z sobą, walcz, panuj nad zamiarem tego czynu, stłum go i nie uzewnętrzniaj! Dobro chowaj dla siebie, ciesz się poczuciem, że masz piękne porywy, ale porywać się im nie daj; miej jak najwięcej tego miłego *ressentimentu,* żyj nim! To, co jest dobrego w tobie, rodzi się z ciebie, a zło idzie do ciebie od brzydkiego niewolnika. Zło tedy od siebie niewolnikowi napowrót odrzucaj, a dobra swego mu nie dawaj! Tak czyniąc, będziesz zawsze panem.

Teorya ta opiera się na przeświadczeniu, że porządek świata jest niezmienny i że zawsze będą źli niewolnicy z *ressentimentem,* oraz dostojni panowie z *sentimentem,* panowie nie ujawniający dobra, lecz chowający je, tający, kwaszący, oprocentowujący je i zamykający w kasach ogniotrwałych, a natomiast produkujący na zewnątrz, dla świata niewolników — samowolę, gwałty i mordy.

Jeżeli więc Kain tę teoryę stosował w czynie, to Kain jest panem, panem dostojnym, i należałoby dziś postawić mu, jeżeli nie w Wilnie, to w Warszawie,

pomnik. Ale wszakże teoryę tę wyznaje dziś Abel? Wszakże na jej cześć spala dziś ofiary? Czyżby ukradł ten wynalazek Kainowi? Czyżby dziś Abel był Kainem?

Takie wątpliwości zaczęły nam się nastręczać, gdy oto przypadkiem usłyszeliśmy poniższą o Kainie i Ablu, a raczej o Ablu i Kainie, gdyż Abel synem tu był pierworodnym i do pierwszeństwa prawo mającym, — opowieść.

Abel miał ciało pulchne, okrągłe, był weselutki i lubiący towarzystwo, oczywista wiedząc, że on, Abel, jest pierworodny i że odziedziczy majorat [1]).

Kain był szczupłym, chuderlawym, niegrzecznie zamyślonym, choć nikomu zła nie robiącym dzikusem. Często, na zabawie dziecięcej, Abel, w oczach Kaina, znajome dziewczynki całował z równą łatwością, jakby jadł marcepan. Dziewczynki tajały mu w ustach. A Kainowi myśl całowania tych marcepanów wydawała się czemś tak niesłychanem i tak go widok tych pocałunków wzruszał *(ressentiment)*, że uspokojenie znaleźć mógł tylko w ogromnym, wstrząsającym płaczu.

Abel był posłuszny rodzicom i czegokolwiek sobie życzyli, w lot to wykonywał. Bez przemagań się,

---

[1]) Majorat jest to własność większa (magnus — major — maximus). Niewiadomo jednak, czy dlatego się nazywa majoratem, że jest większa nad własność mniejszą (parvus — minor — minimus) — nad minorat? czy też dlatego, że jest większa ponad sprawiedliwość, bodajby najmniejszą?

czuł instynktem, że każdy, choć najbezmyślniejszy, najbardziej odruchowy uczynek to bądź co bądź przymnożony, darowany życiu fakt, to bogactwo, to nawóz pod dalsze, również łatwoplenne fakty, a dziedzictwo faktów (i to majoratowe dziedzictwo) przypada jemu. Istota faktu, myśl w nim, to nie jego rzecz. On istotnością nie żyje, tylko masą, więc im masa będzie masywniejsza, tem lepiej.

Kain nie. Kain musiał naprzód pomyśleć, czy to, co mu każą rodzice, jemu samemu odpowiada? czy mu się podoba, czy też jest z jego zapatrywaniami sprzeczne? czy jest wogóle koniecznością, aby spełniać rodzicielskie i wogóle czyjekolwiek u- czy rozkazy? Rodzicom tak wprost, nie chcąc czegoś wykonać, tę racyę konieczności podawał. Boże drogi! On, bęben i konieczność! Rodzice się zaśmiewali. Abelek zaś patrzał na Kaina z boku, wzrokiem podejrzliwym i niechętnym, a raz nawet sam, porozumiawszy się oczyma z papą i mamą, pobiegł i przyniósł batog.

Metafizycy utrzymują, że empirya (fakty) to rzecz nieważna, tylko ważne są rozmaite stopnie naszej poznawczości, które stanowią drabinę, czyli teoryę poznania; a że poznanie w stopniu absolutnym jest, człowieczo biorąc, niedostępne, więc sama teorya poznania, stawszy się z kolei, jakby myślową empiryą, daje źródło nowym, bardziej ogólnym, coraz prostszym a potężniejszym duchowo koncepcyom bytu. Ale meta-

fizykom mówić tak wolno, bo żaden w życiu majorat z metafizyką się nie liczy. A nawet gdyby się liczył, to zapatrywanie powyższe wypadłoby mu na korzyść. Bo ażeby stopniowo poznawczość swą rozwijać, należy nie wyzbywać się empiryi, faktów, rzeczy, nieru- i ruchomości, ale owszem, należy je ciągle posiadać, ciągle ich się dotykać; tym bowiem tylko sposobem możemy rozszerzać swój sąd, swoje mniemanie, swoją *Meinung,* czyli swój majątek. Nie oderwaniem się od świata duch się umacnia, jeno raczej zapewnieniem sobie (hipotecznem), żeby ten świat był *mein,* moim, i to jest najlepsza myśl, najlepsza Meinung, czyli najlepszy, że tak powiemy, majątek, albo m n i e m a - jątek.

Rozumiał to Abel i już od niemowlęctwa posiadał skarbonkę, naprzód glinianą, potem w formie szkatułki, która w latach dojrzałego męstwa przeobraziła się w kasę ogniotrwałą. Abel (subjectum) przechowywane w tych ressentimentowych skrytkach objekty często oglądał, liczył, sprawdzał, tworzył sobie o nich mniemanie *(die Meinung)* rozkoszne, i tak do przyszłej karyery obywatelskiej dojrzewał. Rodzice głaskali go po główce, a o Kainie mówili, że będzie bydło pasał. I tak się też stało.

Do szkół oddani, Abel, jako przyszły dziedzic, Kain, jako wyrodek, na którego (w ucho papa dyrektorowi szepnął) batoga i kozy żałować nie należy, — bracia coraz jaskrawiej uwidoczniali swój antagonizm.

Niema skuteczniejszej metody na opanowanie, na posięście młodzieży nad tę właśnie metodę faktów.

Każdy fakt to kółeczko w łańcuszku.

Wołu przywiązuje się do krypy faktem. Gdyby w wołach rozwijać uświadomienie, że są dobrodziejami panów, którym dają pracę, toby to znaczyło obalić fakt ich poddaństwa. Szkoła tak uczyć nie może. Rozwijanie świadomości to nie rzecz szkoły.

Zadaniem szkoły jest ponauczać jak największej ilości dat, cytat, kategoryi, nazwisk, osób, wypadków, teorem, twierdzeń, powiedzeń, rzeczy, przedmiotów — wogóle faktów i tych faktów sprostowań, komentowań i dopełnień.

Przeciwko temu Kain buntował się wszystką swoją naturą kainiczną. On żądał od szkoły, aby w niej myśl swoją mógł ćwiczyć. Ale to nie leżało w zadaniach szkoły. Przeciwnie.

Ilu było Greków przy Termopilach, a ilu Persów? W którym roku Parys uwiódł Helenę? Co to jest porwanie Sabinek? W co się przedzierzgał ordynat Jowisz, odwiedzając swoje poddane ziemianki? Kiedy żył i umarł generał Tochtamysz? Kto z królów powiedział: »królestwo za konia?« Kto pragnął, aby każdy Francuz miał kurę w rosole? Co uchwalił kongres wiedeński? Ile pracy można wytworzyć z chłopa tak, aby dał wszystko i nie padł w zaciągu? Jakie są tajemnice najtańszej produkcyi a najintensywniejszych dochodów?

Ile stronic ma Almanach de Gotha?... Wszystkich tych faktów Abel uczył się na pamięć z rozkoszą, chłonął je, ssał, niby jakieś rodzime, z łona personelu nauczycielskiego tryskające pokarmowe mleko. To też wkrótce ukończył szkoły, w randze prymusa i z tytułem tytularnego radcy rozpoczął karyerę swego nad faktami władztwa.

Kain, mimo przyznawane mu przez profesorów t. zw. zdolności, nie mógł w żaden sposób nagiąć się do tego systemu faktów. Że *perispomenon* może wznieść się na stanowisko *properispomenon'a*, że *oksytonon* awansuje na *paroksytonon* i podskoczyć może, będąc uległe i posłuszne, do wyżyn *proparoksytonon'a,* że akcent *circumfleksus,* wijąc się jak ogon, wieńczy sylabę; że akcent *acutus,* niby ostrze nagany inspektorskiej, przefruwa kłująco z jednej zgłoski na drugą i trzecią: — z tem się godził i ta ruchliwość znaczków wtrącała go nieraz w paroksyzm (niezdrowej) wesołości. Za nic jednak przejmować się nie chciał dostojeństwem tego zjawiska, które stawiał na równi z godnością »tabeli o rangach« i z powagą circumfleksusowo zawiłej genealogii Włodzimierza Monomacha. Tem odszczepieńczem usposobieniem wszystkich nauczycieli klasyków do siebie zraził, tak że stopnie z teoryi poznania faktów miał zazwyczaj niedostateczne, a nawet — »sztyki«.

Ale »sztyk« nie trwożył Kaina. On miał swoją własną jakąś wiedzę, która sprawiała, że koledzy i nau-

czyciele nie-klasycy lubili go nad podziw. W zetknięciu z nim kolega miał poczucie, że z duszy mu spada jakiś ciężar; że wszystkie akcenty ostre i ciężkie; że całe chmary faktów, fakcików, zdarzonek i anegdotek, że całe tumany dat, cytat, lokucyi sławnych i mężnych Tochtamyszów, Montmorency'ch, Fryderyków, Wilhelmów; że cały widmowy legion sztyków, niby rój w kropli błota żerujących wrotek: że to wszystko ginie, a błotnista kropla staje się czystą, przetwarza się w parę, w abstrakcyę i znika.

Do gromadki kolegów rozbawionej tak przez Kaina, uwolnionej od zmory faktów, podchodził czasem Abel i patrzał na nich drwiąco prymusowskiemi oczyma, które mówiły: jedno mię w życiu bawi — »piątka«; jedno mię przeraża — »sztyk«; jedno mię kompromituje — brat Kain.

Gdyby była w cenzurkach szkolnych rubryka: miłość towarzyszy, z niejby mieć Kain musiał już nie piątkę, ale z milion i mógłby niedobór sztykami spowodowany pokryć. Ale niema jeszcze takiej rubryki w cenzurkach szkolnych, dlatego dyrektor, wezwawszy radę pedagogiczną i osądziwszy konduitę Kaina, ze szkoły go wydalił.

Papa Kainowy i mama Kainowa albo umierali ze ś m i e c h u, gdy im dyrektor o konfliktach Kaina z proparoksytonami pisał, albo umierali ze z g r y z o t y, wi-

dząc w cenzurce sztyki. Teraz, po wydaleniu syna, pomarli ze wstydu całkiem.

Kain osiadł u brata i myślał, co ze sobą robić? W cenzurce życia potocznego nie było dla niego rubryki. Były inne. Jedna polegała na cenieniu faktów i wężowem lawirowaniu pomiędzy niemi, niby *accentus circumflexus;* druga zalecała pakować się na sylaby, jako *accentus gravis* i trzymać im nad głową sztylet, niby *accentus acutus.* Żadnej z tych rubryk Kain nie chciał i żył w poszukiwaniu pełnej i bujnej rubryki własnej.

W Ablu teraz pierwiastek pierworodztwa coraz bardziej się rozwielmożniał, coraz szerzej uwypęczniał mu ciało, coraz obficiej namaszczał mu źrenice olejem empirycznego dostojeństwa. Względem Kaina przybierał coraz bardziej ton proparoksytononiczny.

Różnice ich uwidoczniały się coraz bardziej wrogo. Abel strzygł się na jeża, Kain zapuścił kudły; Abel jadł wiele i wybornie, Kain — byle głód zbyć; Abel śpiewywał »Jedź, jedź, jedź do Cythery«, Kain wolał Beethovena, Chopina, Wagnera lub sobie sam coś komponował; Kain żywił dla kobiet wogóle cześć, ale je obrażał, jako osobniczki, niewyróżnianiem żadnej, jako jedyność i wyjątkowość. Abel przeciwnie: jako posiadacz, w kobiecie szukał tylko konkretu, każdą zapewniał, że jest jedyną i wyjątkową, i na swój brutalnie czułostkowy i tkliwo-ojcowsko-klepiący flirt nanizywał tych

konkretów bez końca. Kain przecie kobietom (zresztą nie wszystkim) był milszy, bo każdą swojem duchowem o niej pojęciem, nie wypowiadanem, jeno w zachowaniu się z niemi zaznaczanem, ujmował. Fakt ten był Ablowi nienawistny, jak wszystko, co tylko się z pod jego posiadania śmiało wymykać.

Prócz tych różnic, Abla irytował sposób mówienia Kainowy, w którym był dla niego żart, abstrakcya, a nie było faktów.

— O czem myślisz, Kainie? — pytał: — Czy o tem, że ja pieniędzy nie mam? (Pytać, czy on, Abel, nie ma pieniędzy, wydawało mu się szczytem sarkazmu).

— Myślę — odpierał Kain — że, gdyby pieniądz mieli wszyscy, toby właściwie nie m i a ł go nikt i pieniądz tak jakby przestał istnieć.

— Bajdy! Pieniądz będzie zawsze, bo zawsze będzie pan, który płaci, i sługa, który musi służyć. Pieniądz jest panem absolutnym.

— Czy możesz kazać parobkowi: zabij ojca, dostaniesz tyle a tyle? Czy możesz to, Ablu? Kazać pan może tylko to, co sługa uważa za słuszne. Absolutyzm się przeżył.

— U ciebie się wszystko przeżyło! Wszystko, co stare, co uświęcone przez tradycyę!

— Tak, przeżył się nielogizm. Będzie neologizm — nowe słowo będzie żyło. Zginie pieniądz, bo pieniądz to kupiona wola c u d z a, ale jako cudza, więc ograni-

czona, bo inną być wola człowieka cudzego, zewnętrznego nie może, i im bardziej się ten człowiek zewnętrzny, ten niewolnik rozwija, czyli uwewnętrznia, tem mniej możesz jego wolą rozporządzać. Absolutyzm zewnętrzny, to próchno, które będzie rozwiane tchnieniem żywego ducha. A duch, to człowiek wewnętrzny.

— Cóż to za ryba, człowiek wewnętrzny? Nie znam.

— To ty sam, a raczej twój niewolnik wyzwolony, a który był twoją treścią, którym żyłeś, który żył za ciebie, tworzył twoją kulturę, gdy się tobie zdawało, że to ty ją tworzysz. Kultura ta była niewolnicza, jako kultura, w której niewolnik był koniecznością (pan rzeczą zbędną). Ale przynaglany przez ciebie do pracy, niewolnik doskonalił w sobie myśl, tak że już ona przestaje się z tobą liczyć, jak ze zgrzybiałą otoczką. On, niewolnik, stał się tym człowiekiem wewnętrznym, on tail się, niby w poczwarce, w twojem cielsku poczwarnem i dziś wyfruwa skrzydlaty — skrzydlata myśl. Ten jest największym władcą, kto myśli jest panem, a myśl najwładniejsza — to myśl najsprawiedliwsza, najlogiczniejsza, najczystsza. I taka myśl tworzy kulturę nową. W tej kulturze nowej pan nie będzie jednak przez zemstę uciemiężany, bo pana nie będzie.

— Żartujesz chyba.

— Tak, żartuję. Pan, jako zwierzę absolutyzmu, nie będzie mógł żyć w atmosferze myśli. Usunie się

od życia i zostanie sobie bogiem, bogiem dla siebie, bez wyznawców, ale z resztkami wiernego niewolnictwa.

— Bajki, panie, czcza filozofia. Mój kochany, wstań rano, nakrzycz się, napomstuj na służbę, naroz porządzaj się, wysobacz tego i owego — to będzie lepsza filozofia.

— Biedaku! I ty wymyślanie służbie nazywasz życiem pańskiem, swobodnem! Wół od ciebie swobodniejszy, więc bardziej pański.

— Nie mów, bo mię irytujesz.

Kain umilkł. Wydobył machorkę i zapalił.

— Proszę cię, Kainie, nie zakapcaj mi pokojów. Na, zapal moje cygaro.

— Póki mówisz: m o j e cygaro, nie zapalę. Wolę s w o j ą machorkę.

— Powiadasz: s w o j ą, więc i ty, kotku, uznajesz własność, tylko że t w o j a własność gorsza. Co?

— Masz racyę, przestaję palić.

— Możebyś też przestał wogóle próżnować. Próżniactwo to też twoja »własność«. Hę?

— Będę u ciebie ekonomem. Chcesz?

— Znasz się na ekonomii! Bydło paść, a i to jeszcze...

— Zgoda. Będę u ciebie pastuchem.

I odtąd Kain zaczął paść Ablowe stado. Nauczył się grać na wymyślonej przez siebie ligawce i grał na niej cudnie.

Skoro świt szarzał majowy i zaświegoliło w drzewach nad strzechami ptactwo, już przez wieś, z początku cicho, potem coraz donośniej, dźwięczała pobudka — śpiew ligawki Kainowej. Spracowane woły, którym kark powyżerało jarzmo; krowy-rodzicielki; młódź wiośniana i buhaje srogie — wszystko to wybiegało z zagród, rosło w niezmierne stado i szło za śpiewem Kainowym, jakby ten śpiew budził coś i ożywiał w ich duszach nieświadomych i niemych.

Ablowi nie w smak była ta muzykalność, to muzykalne traktowanie stada. Muzyki nie odczuwał, bo muzykę odczuwa się duszą, a dusza pańska była — w stadzie. Melodya ligawki była stadu orzeźwieniem, a w Ablu, panu stada, poruszała furye.

— Przestań grać bydłu — mówił do Kaina.

— I tej mi uciechy, i tej mi własności żałujesz? Nie widzisz, że od tego stado ma się lepiej?

— Ale się do ciebie przywiązuje zbytecznie, a to karygodna demagogia. Mnie, dziedzicowi, stado obce, a ty...

— Stado wie, że tobie chodzi tylko o korzyść z niego.

— A na cóż mi bydło więcej? Do salonu go nie poproszę. Gospodarstwo, to nie poezya. Bydłu nie przygrywać trzeba, tylko je karmić sieczką, trawą lub wywarem, żywić póki należy, — potem w jarzma, na matki i pod kozik.

Kain milczał. Słowa Ablowe, odtrącone tem milczeniem, zawisły nad głową mówiącego i ponieważ były złe, zaczęły go kłuć, jak żądła.

— Ręka mię na ciebie świerzbi, ty fiksacie!

Abel odprawiłby Kaina dawno, gdyby nie wzgląd na opinię sąsiadów. Im bardziej się Kain w hierarchii dostojeństwa empirycznego zniżał, im bardziej zżywał się ze stadem, tem większą Abel powzinał ku bratu nienawiść *(ressentiment)*. Nienawidził pierwiastku kainicznego. A kainicznością było mu wszystko, czegokolwiek nie umiał sobie wytłómaczyć faktami. Duch, dusza, niewidzialność, niewymowność — to przecież nie są fakta namacalne, materyalne, dające się posiąść dotykiem. Dlaczego stado, jego własność, jego mienie, posłuszne jest ligawce Kainowej? Dlaczego kobieta, którą on, Abel, posiadł empirycznie, woli nie posiadającego jej Kaina? Dlaczego pieniądz, przez Abla czczony, Kainowi jest niczem? Dlaczego dostojność hierarchiczna Ablowa Kainowi jest niczem? Dlaczego pański illogizm Kainowi jest niczem?... Dręczyły go te pytania, zabijał go ten kainiczny pierwiastek życia — życia pełni, bujności i próżniactwa, zabijał jego, Ablową próżność, pychę i pracowitość — cudzą.

Żeby się nie dać opanować żądłom tych myśli, Abel zaczął na gwałt umacniać ten swój pierwiastek pychy, próżności i pracy — cudzej. Ale spotęgowanie próżności jest zabójczą otchłanią; nagromadzenie pracy

cudzej wytwarza piramidy zbrodni, a pycha umocniona wiedzie do obłędu.

Pewnego dnia wydało się Ablowi, że jest Ablem biblijnym i że składa Panu ofiary. Kazał zarznąć najlepszego wołu i spalić go na stosie. Przed służbą upozorował to tem, że wół, jakoby chory na księgosusz, czyli na chorobę książek, musiał, z rozporządzenia władzy wyższej, być zarznięty i spalony.

Za ofiarą pierwszą poszły inne, coraz liczniejsze, gdyż okazało się, że trąd książkowy zagrasował w całej oborze. Przytem Abel z rozkoszą stwierdzał, że Kaina te ofiary przepełniają bólem. A kiedy Kain prosił go o zaniechanie tych ofiar krwawych:

— Nie — odrzekł: — prosiłem cię o zaniechanie gry na ligawce, nie chciałeś, teraz ja nie chcę. Ofiara to zasługa przed Panem, a mnie o pańskość chodzi. Zresztą bydło jest plenne: zarzniemy dziś sto wołów, to zostanie jeszcze stadnik, zostaną matki — napłodzą, narodzą.

Tak rozmawiali bracia przy ognisku całopalennem. Abel, niby arcykapłan, z havaną w wargach, podparty laską o wielkiej złotej gałce, stał i patrzał na dym, który w olbrzymich, potwornie brzuchatych kłębach, wzbijał się prosto ku niebu.

— Muzyka, melodya, wogóle sztuka powinna być — mówił Abel — taka, żeby się nią stado nie mogło wzruszać. Wzruszenie stada źle wpływa na wydajność

mleczną, na pracę roboczą, na dziedzictwo i prawo własności, a to wszystko, zachwiane, może spowodować ruinę społeczeństwa i domowego ogniska.

W Kainie też złość zaczyna się zrywać.

— A ileś ty sam, Ablu, ognisk domowych naburzył, nim ufundowałeś swoje? Toć każda dziewczyna przez ciebie zapalona, to jedno zgaszone domowe ognisko.

— To swoją drogą. Młody byłem, potrzebowałem. Niema o czem gadać. Ale teraz co innego.

— Tak, masz sam dzieci, dbasz o nie, więc zaszczepisz im swoją Ablowską naturę. I będą tak samo chwatcy do burzenia ognisk rodzinnych cudzych i patrzenia na dym ze stosu ofiar. Tfy!

Kain splunął w stronę Abla. Pod ciosem tej obrazy Abel, porwany szałem, uniósł pałkę o ciężkiej gałce złotej i uderzył. Kain padł.

W ofiarnym stosie obsunęły się przepalone szczapy, buchnął płomień, zakłębiły się nowe dymy i, targnięte wiatrem, otoczyły Abla, jak śmiertelnie duszący i kurzem krwi bratniej przepełniony tuman. Niby z tego dymu, niby z otchłani swego sumienia, Abel usłyszał głos ostry, przenikliwy a dźwięczny — głos ligawki pastuszej:

— Ablu, Ablu, coś zrobił z bratem swoim, Kainem?

Zgrozą przejęty, Abel odrzucił pałkę i zaczął biedz. Ale wszędzie, dokądkolwiek się przytułał, wszędzie,

wszędzie niósł w sobie samym bratobójczą otchłań. Z otchłani tej widział wypływający czarnemi kłębami dym, i słyszał z dymu, niby głos przenikliwej i dźwięcznej ligawki pastuszej, wołanie:

— Ablu, Ablu, coś zrobił z bratem swoim, Kainem?

Wreszcie nieszczęsny Abel znalazł się w Berlinie, w sanatoryum dla obłąkanych. Dziwnem zrządzeniem wypadku, leczył Abla doktór Meinung, Niemiec pochodzenia polskiego, który w Polsce zwał się Rozum-nicki, czy też Rozum-niecki, i coś go popchnęło do Niemiec, może to, że rozum-niecki już prawie brzmi jak rozum nie-mie-cki.

Nad łożem szpitalnem Abel miał wypisane na tabliczce: *mania grandiosa.* Przed śmiercią ostatnie słowa szaleńca były:

— Kainie, Kainie, coś zrobił z bratem swoim, Ablem?

MENS SANA IN CORPORE SANO

BAJKA STARO-RZYMSKA

Mens sana in corpore sano. *Mens* po rzymsku znaczy: umysł, duch, to jest człowiek; po polsku *mens* znaczy — mężny (por. — der Mensch). *Corpus* po rzymsku znaczy: ciało; po polsku *corpus* znaczy korpus, np. korpus żołnierzy. *In sano, in sana*[1]) znaczy po rzymsku: w zdrowem (*resp.* — w zdrowym), w zdrowej; po polsku *sano, sana* znaczy: siano, siana.

Interpretacya tedy maksymy łacińskiej, w całkowitem rozwinięciu tak się przedstawia: człowiek (*resp.* — dama), jeżeli chce być zdrowym (*resp.* — zdrową), np. jak stworzenie jedzące siano, musi należeć do korpusu, np. żołnierzy.

A czy nie możnaby tego zdania wytłómaczyć inaczej? Czy nie możnaby powiedzieć tak, przypuśćmy: korpus, ciało, choćby nawet ciało żołnierskie, aby być zdrowem, musi mieć ducha? Czy nie możnaby wogóle

---

[1]) *In sano* znaczy — w zdrowem, a *insanus*, *insaniens* znaczy — szaleniec.

powiedzieć, że aby mogło istnieć ciało, duch jest potrzebny? Nie. Tak mówić nie można, dlatego, że rozejrzawszy się wokoło, widzimy istnienie wielu ciał (korpusów), nie ujawniających potrzeb ducha.

Duch jest, jak wiadomo, niewidzialny. O jego wymiarach — kwadratowych i sześciennych — wnioskujemy na podstawie cielesnej. Wykładnikiem istnienia jest cielesność. Duch, sam w sobie rozpatrywany, nie istnieje, albo też, ściślej biorąc, istnieje jako substancya nieskończenie lotna, bez określonych kształtów, bez przepisanego prawem miejsca osiadłości, — substancya nie-formalna, nie-solidna i, że tak powiemy, — nie-obywatelska.

Formę duchowi nadaje właśnie dopiero ciało. Ciało tedy jest *receptaculum*, zbiornikiem ducha. Stosunek ciała do ducha jest więc ten sam, co stosunek naczynia do zawartej w niem wody [1]). Wodę, albo inną jaką ciecz, ujmuje się, określa, uformalnia kształtami naczynia, i im to naczynie będzie większe, tem i wody będzie więcej. Zatem naczynie jest tu rzeczą główną. Im naczynie (*resp.* — ciało) jest bardziej rozwinięte i w korpusie rozrosłe, tem więcej może zmieścić wody (czyli ducha).

Powszechnie wiadomo, że najwięcej ducha (czyli wody) zawierają ludzie grubi. Dlatego tylko oni mogą

---

[1]) Zamiast wody może być inna jaka ciecz.

sobie pozwolić na zbytkowną chorobę hydrauliczną, czyli wodną puchlinę. Tylko oni, ludzie grubi, mogą zmieścić w sobie najwięcej sprytu, albo i piwa, nie mówiąc o winie. Tylko im wreszcie, ludziom grubym, najwięcej przypada w udziale przestrzeni, a przestrzeń, jako pewien wyraz nieokreśloności, ma z duchem wielkie podobieństwo. Częstokroć można widzieć, że w wagonie pierwszej klasy jedzie tylko jeden gruby człowiek, sam, podczas gdy na końcu ostrza od szpilki, według obliczeń scholastycznych, zmieścić się może duchów siedmdziesiąt siedm tysięcy.

Duch jeden, jak z tego przykładu zmiarkować łatwo, jest siedmdziesięciosiedmio tysięczną drobiną koniuszczka szpilki, czyli jest prawie niczem. Duch sam jeden, rozpatrywany na tych drobinowych krańcach materyalności, może być zarówno atomem metalu, jak atomem wody, albo innej jakiej substancyi, ponieważ każda z tych drobin znaczy tyleż, co atom przestrzeni. Duch — to atom nieskończoności.

Jasnem jest, że dbać o rzecz tak dalece małą nie warto. Główna nasza troska powinna być zwrócona w kierunku ciała. Gdy bowiem ciało już mamy, i mamy je w dostatecznem ukształtowaniu, — duch wlewa się w nie żywiołowo, jak nieskończoność, jak przestrzeń, albo jak woda w ceber. Nam zaś pozostaje tylko utrzymywać ceber w należytem ochędóstwie i uważać, aby jego zawartość nie uległa zepsuciu. Jak zaś ten obywa-

telski nasz obowiązek winien być wykonywany, poucza hygiena, złożona z aforyzmów, rad, zaleceń, maksym i życiorysów.

* * *

Żył na schyłku upadającego cezaratu w Rzymie pewien młodzieniec, który słusznie mniemając, iż gruntem dobrobytu państwowego jest ciało, postanowił, dla dobra ojczyzny, kształcić w sobie korpulentność *(corpus)*, aby duch miał się w niej gdzie mieścić z komfortem.

Dużo jadł, niemało pił, należał do różnych ciał klubowych, był członkiem termów, cyrków i lawn-tennisów, ćwiczył mięśnie *(mens)*, rozrastał się, grubiał, aż w końcu został bardzo zdrowym i bardzo mocnym: tak zdrowym i mocnym, jak tylko może być człowiek, żyjący na schyłku upadającego cezaryzmu.

Otóż, kiedy młodzieniec ów szedł pewnego dnia, zdrowiem kwitnący, szeroki w sobie i o licach, jak pieczeń rzymska świeżo przyrumieniona, — naraz, trzeba trafu, że wół, prawdziwy, zbiegły ze szlachtuza *(bestiarium)* wół, pędząc, wpadł na młodzieńca, obalił go i dotkliwie poturbował.

Przygoda ta zrobiła na młodzieńcu duże wrażenie.

— Jakto! — zawołał — to ja poświęcam życie swoje na to, żeby być zdrowo-mocnym, a teraz widzę, że mnie pod tym względem lada wół przewyższa!...

I to jeszcze jakiś wół nieporządny, jakiś dezerter z bestiariów, jakiś warchoł, opętany duchem buntu! Na Herkulesa! — źle jest! Aby w przyszłości nie doznawać takich upokorzeń, aby się nie dać zmódz wołowi, trzeba mi bodaj samemu zostać wołem, oczywiście wołem nie jakimś tam, jeno porządnym, nie uciekającym z bestiariów wołem... Tak... *Mens sana in corpore sano!* Pod tym względem wół mi bardzo imponuje, oczywiście nie jakiś tam, jeno wół zdrowo myślący. Tak, wół to symbol zdrowia i siły. Co za pierś! co za korpus!... Tak, stanowczo pragnę zostać wołem!

Powziąwszy ten cel, młodzieniec rozszerzył swoje praktyki mięśniowe oraz mięsne *(mens?)*, zaczął spożywać dwa razy więcej dań, uciekł się nadto do potraw z siana *(sano)*, w postaci sałat rzymskich, kapusty, naci, badylów, cebul, kłączy, łodyg i korzeni i — aczkolwiek rzecz ta może się wydawać nieprawdopodobną — został wołem.

Został wołem, ponieważ najgorętsze nasze postulaty i najidealniejsze życzenia, byleby dostateczną mocą energii wewnętrznej karmione, spełniają się. Przemiana ludzi w zwierzęta, bądź dobrowolna, bądź mimowolna, u starożytnych Rzymian była rzeczą dość zwykłą. Przypomnijmy sobie tylko Jowisza, który w postaci wołu podbił Europę. A jeżelibyśmy chcieli przykładu podobnej metamorfozy szukać u innego narodu, to mamy przykład ten w Na-bu-cho-do-no-zo-rze, który, z pospo-

litego, mocno zdrowego króla, na własne, gorąco zaznaczone życzenie, został bydlęciem [1]).

Ale cóż się tedy dzieje dalej?

Młodzieniec, przeistoczony w wołu, musiał oczywiście pójść zaraz pod cudzą władzę, ponieważ wołów wolnych niema. Wół wolny w pracowitem społeczeństwie jest nie do pomyślenia. Wół, gdy chwilowo istnieje w postaci wolnej, pracą nie zajęty, to jedynie na to, żeby być zapędzonym do rzeźni *(bestiarium)*, skąd już wyjście jest tylko do jatek *(carneficium)*.

Jakoż młodzieniec, w nowej swej postaci wolej, znalazł się, jako inwentarz pewnego bydłowładcy, który zaraz go sprzedał pachciarzom, a ci nie omieszkali zapędzić go do szlachtuza.

Młodzieniec, który był sobie roił dziwne z zostania mocnym wołem rozkosze, nie przewidział był wszakże jednej rzeczy. Mianowicie tej, że gdy się znalazł w miejscu, które w postaci swej ludzkiej jeszcze będąc, aprobował i za wyraz porządności obywatelskiej uznawał, teraz, jako wół, patrząc na wszystkie okropności, które się w tej rzeźni działy, zupełnie upadł duchem, aczkol-

[1]) Nazwisko Nabuchodonozora rozczłonkowaliśmy na sylaby, gdyż inaczej trudno je przeczytać. Taka rozłożystość nazwisk odpowiada najczęściej rozwinięciu się nadmiernemu korpusów (żołnierskich), np. von Hoch-hen-zol-lern, von Hoch-hen-sta-uf-fen itp.

wiek duch ten, bądź co bądź, w zdrowem i mocnem znajdował się ciele. Pobudki zaś do jakiegoś szalonego kroku mocny ten i solidnie zdrowy korpus nie dawał. Nie mógł się zdobyć na tyle niezależnego i nielojalnego ducha buntu, ażeby się rozbiegać i z rzeźni umknąć, jak to zrobił tamten wół, ów jego pogromca. I onby rad był może, dla zyskania dowodu swej mocy wolej, zrobić jakąś awanturę, rozbiegać się, rozwalić szlachtuz, potratować jakiego innego młodzieńca, ale jakoś nie mógł. Stał tylko, przywiązany do krypy, żuł siano *(sano)* i drżał w przeczuciu nieuniknionej śmierci. A śmierć, przy obecnym, wołożernym ustroju społecznym, jest rzeczą nieuniknioną. Gdyby ludzie żywili się sianem, to samiby, wołami zostawszy, wołów jeść nie potrzebowali. Ach, kiedyż te czasy nadejdą, — czasy takiej mocy i takiego zdrowia, żeby się ludzie już nie potrzebowali wzmacniać jedzeniem wołów?... Coby jednakże tymczasem robić, aby tej śmierci uniknąć?...

Tak rozmyślał wół, czyli ów młodzieniec, wśród woni nawozu, dymu, swędu, fetoru krwi, poryku zabijanych ofiar, i wśród klątew rzeźniczych.

Aż i nadeszła owa straszna, z lękiem wyczekiwana chwila.

Ku młodzieńcowi podszedł rzeźnik *(carnefactor)*. Był to mężczyzna o silnie rozwiniętych mięśniach, tworzących na ciele fałdy i guzy. Nad gębą, mało co mniejszą od wołowej, rosły mu wąsy szczeciniasto ku górze

sterczące. Brzuch miał duży, palce grube i mięsiste. Z za pasa wysterkał mu szpikulec do ostrzenia noży. W ręku trzymał młot do zabijania.

Wół dygotał ze strachu.

Rzeźnik kazał pachołkom przytwierdzić mu głowę do podłogi, i już, zwyczajem rzeźniczym, chciał mu wbić gwóźdź młotem w czaszkę.

W tej okropnej chwili, młodzieniec, pomimo swego zwierzęcego kształtu, ryknął i przemówił:

— Czekaj! Nie trać mnie, rzeźniku! Na Jowisza zaklinam cię! Weź wszystko: postronek weź, sierć z ogona, rogi sobie weź, gnój mój weź, tylko mi życie zostaw! Na Jowisza!

Głos ten ludzki, dobywający się z wołu, wycisnął z rzeźnika, mimo całą jego zatwardziałość nerwów, pewne zdziwienie. Rzekł:

— Jowisz Jowiszem, ale dlaczegóż to ja mam cię, brachu kochany, nie zabijać? Nie wiem, jak Boga kocham, nie wiem.

— Dlatego, żem jest człowiek — rzekł wół.

— Jeżeliś człowiek, to do cholery ciężkiej nie udawaj bydlęcia, nie stój na czworakach, nie właź mi tu pod żegadło!... Człowiek, powiadasz? Człowiek nie miałby na sobie tyle mięsa.

Rzeźnik, mówiąc o mięsie wołu, nie wiedział, że sam jest gruby i mięsisty; nie wiedział, bo rzeźnicy nie mają samowiedzy.

Młodzieniec trzymał łeb przytwierdzony do podłogi i tylko oczyma, z tego łba ku górze wyłupionemi, błagał kata o litość.

— Zaszlachtować cię muszę — ciągnął rzeźnik: — bom za ciebie zapłacił pieniądze. A kapitał — rzecz święta. Dla kapitału jabym nietylko ciebie, ale rodzonego brata zarzezał, a ty mi tu bajesz. No, szykuj się! Uwaga! Rrrraz!...

— Czekaj! Na miłość Kapitału zaklinam cię! Czekaj!

Rzeźnika wzruszyło.

— No, toś mnie zaklął! Na ojca mnie zaklinaj — nic, na matkę — nic, na Jowisza — nic. Aleś mnie zaklął na Kapitał. Cwano! Nie mogę ci odmówić jakiegoś pofolgowania. Nawet więcej: gotów jestem spełnić przed egzekucyą twoje ostatnie życzenie. Mów, czegobyś chciał?

— I naprawdę to spełnisz?

— Bodajem rubla nie oglądał.

— No, to chciałbym... chcę... życzę sobie przed śmiercią zostać... rzeźnikiem.

— Cha! cha! cha! — zaśmiał się grubo rzeźnik: — A to ci się udało! Być rzeźnikiem, ba — to nie w kij dmuchał! Wyżery — póty...

— E, ja tam nie dlatego.

— Tylko dlaczego?

— Bo, uważasz, człowiek jest mocny, wół mocniejszy, ale rzeźnik, mający taką łatwość zabijania

wołu, jest — przemocny. A cóż jest mocniejszego nad przemoc? Oto, widzisz, ja zawsze dążyłem do tego ideału: to moja gwiazda — przemoc. *Mens sana in corpore sano*...

— Nie rozumiem »parlefranse« — rzekł rzeźnik: — Mów po ludzku, a nie tam jakieś kra-kręmija...

— A więc to znaczy, że zdrowa dusza w zdrowem ciele. Ta idea sprowadziła mnie tu do rzeźni. Bom myślał, że jako wół będę najzdrowszy i najmocniejszy. Ale teraz widzę, że moja moc wolska, wobec twojej przemocy rzeźniczej, znaczy tyle, co nic. Pragnę więc, jak ty, być rzeźnikiem, bo to chyba najwyższość, jaką można osiągnąć pod względem siły i zdrowia? Tak, chcę być rzeźnikiem.

— Dobre to jest, ale tak na mój rozum, to jabym wolał od razu być kapitalistą. Myślisz, brachu?... Worek pełny, to ci dopiero moc, przemoc i wszystko, co chcesz. Względem rzeźnika, nie mówię, żeby nie, i owszem, ale rzeźnik przy kapitaliście to tak, jak przy rzeźniku czeladnik, albo i mniej. Dopiero kapitał, to siła rzetelna.

— Kapitał? Worek? Tak, zapewne, są to siły, ale siły abstrakcyjne...

— Kiedy znowu parlujesz, fik-mik, ni be, ni me...

— Abstrakcyjne, uważasz, znaczy oderwane. *Abstraho, abstrahere* — odrywam, wyrywam, odciągam, wyciągam, naciągam...

— Rozumiem. Więc to niby kapitał?...

— Jest siłą abstrakcyjną, siłą do naciągania idealnego, a ja, uważasz, ja czczę siłę realną, namacalną, taką, co weźmie, przywiąże człowiekowi łeb do podłogi i stoi nad tobą z młotem, że aż cię febra ze strachu trzęsie. Tak, stanowczo, ty imponujesz mi. Chcę, powiadam, zostać rzeźnikiem.

— Ha, jak tam sobie miarkujesz, mój bracie. Tylko, że ja nie potrafię cię przedzierzgnąć.

— No, no, odwiąż mi jeno łeb.

Rzeźnik odwiązał.

Młodzieniec wstrząsnął się, rozprężył, rozkurczył, stanął na tylnych nogach, przednie wyprostowawszy, nakształt rąk, i począł się przeistaczać.

Więc naprzód, w ogólnym kształcie cokolwiek — niewiele, ale cokolwiek — zmalał. Potem zgrubiały mu łydki i bicepsy; powiększył się brzuch; nad mało co zmniejszoną gębą urosły wąsy szczeciniasto ku górze sterczące; ogon zredukował się do kości ogonowej; rogi zagięły się pod brodę, nakształt rzemienia od pikelhauby; zamiast kopyt u rąk, zjawiły się grube, mięsiste palce, a kopyta nożne przybrały kształt palonych butów.

Rzeźnik przyglądał się tej metamorfozie z upodobaniem, a gdy się dokonała, rzucił jeszcze raz okiem i zażenował się. Wszystko było jak się należy, tylko, poza butami, brakło ubrania.

— Hej tam! — krzyknął na czeladź. — A przynieś-no który moje stare spodnie i fartuch!

Młodzieniec, a raczej już teraz rzeźnik, przywdział się, i dwaj rzeźnicy, podawszy sobie mięsiste ręce, ucałowali się i poszli do bufetu na wódkę.

Wypili, zakąsili.

— Będziesz ze mną rzezał i zabijał? — spytał rzeźnik starszy, klepiąc neofitę po brzuchu.

— Będę! — ryknął ochoczo neofita.

Wypili jeszcze.

— Będziesz? — spytał starszy.

— Będę! — rzekł młodszy. — *Je t'aime par ce que tu es fort!*

— No, no, mój brachu, tylko bez »parlefranse«. Pij do mnie po ludzku.

Wypili jeszcze.

PRAWDA

Wiem, że pani lubi prawdę, samą prawdę i tylko prawdę, jak w formularzu przysięgi. Wiem, że panią razi wszelka zmyśloność, wszelka wymyśloność, wszelka wymyślność, wszelka myślność, zmyślność, umyślność i domyślność; że oburza panią wszelkie zamyślanie, pomyślenie, zamysł wszelki i wszelka nakoniec myśl. Życie bez myśli nazywa pani pomyślnem! Pomyślne to pani życie wyzbyte jest ze wszystkich słów, z myślą związanych, prócz jednego: wymyślania na wszystko, co nie jest prawdą, samą prawdą i tylko prawdą, jak w formułce przysięgi sądowej. To, co nie jest prawdą sądową, albo hipoteczną, to, co nie leży w sferze notorycznej i notaryalnej, to wszystko podlega wymyślaniu pani, jako rzecz, przez ogół po-prawny i pomyślny nie przyjęta.

Słyszałem, że, kiedy podobno mąż całuje panią w uszko, pani wymyśla, że jakto można być takim i łamać tak niezbitą prawdę, samą prawdę i tylko prawdę, że uszko jest do słuchania, a nie do tego, iżby je całować. Ta wymyślność powinna być sądownie karana.

Bo, jeżeliby zejść z tej wytkniętej i przyjęiej raz na zawsze i ustalonej drogi ku prawdzie, że uszko jest nie do czego innego, tylko do słuchania, i jeśliby od tej prawdy zboczyć, bądź w lewo, bądź w prawo, bądź w górę, bądź na dół raz, to gdzieżby się ta wymyślność, ta zmyślność, ta zmyśloność, ta bajeczność, ta nieprawdziwość całująca gotowa skończyć?

A może to tylko na panią plotki? Może panią takie zboczenie i taka wymyślność nie razi? Może w tej sferze, w sferze całowania, robi pani dla wymyślności, zmyślności i domyślności też wyjątek? Może w pani życiu pomyślnem chodzi o to właśnie, aby myśl nie dotykała innych sfer ponad tę sferę pocałunkową i nie pogłębiała? Może pani chodzi tylko o to, aby »zmyślanie« tyczyło się jedynie »zmysłów«? Może myśl ma jedynie za cel zmyślanie rzeczy, rozwijających smak podniebieniowy (Boże, broń: podniebny!)? Może myśl obowiązana tylko wykształcać węch do-praw, przy-praw, za-praw, wy-praw i innych objektów prawnych? Może myśl powinna wydelikacać słuch uszu jedynie na to, aby je przerobić w słuchy? Może myśl ma za zadanie wysilać się nie na to, aby oko widziało naokoło, tylko na to, iżby wynajdować ulepszone systemy klap, chroniących ten organ od zbaczania z ubitej, utartej, notorycznej i notaryalnej drogi, po której kroczy prawda, sama prawda i tylko prawda? Może nakoniec myśl ma za cel frasować się o te rzeczy jedynie, które już

objął dotyk?... o te rzeczy, które są dotknięte, wytknięte, zatknięte, zetknięte, utknięte?... o rzeczy, które już utknęły, które już ktoś wytknął, w które już coś ktoś zatknął, w które już ktoś coś wetknął?... Może podług pani myśl zbacza z prawej drogi, jeżeli się zajmuje rzeczami poza dotykiem — rzeczami, których jeszcze nikt nie tknął, których jeszcze tknąć nikt nie śmiał, których jeszcze nic a nic nie dotknęło?... Czy myśl, według pani, ma tkwić w rzeczach już wytkniętych, a rzeczy nowe, rzeczy niesłychane, nie widziane, rzeczy nie wywęszone, rzeczy nie wysmakowane, rzeczy nie tknięte mają być dla myśli naszej nieprawdą? ma po nie myśl nasza nie sięgać? a my mamy czekać, aż ktoś inny, po nie sięgnąwszy, zatknie w nie swoją flagę, wytknie w nich swoje drogi i nam je utkane już i zatkane wetknie? O pani?

Pewnego razu mąż pani, czy bodaj ktoś inny, widząc, że pani czyta bardzo brudną i wyświechtaną książkę z pożyczalni, wyraził się o tem zjawisku żartobliwie, lecz i z pewnem ubolewaniem.

— Niema u nas — mówił — tej przyjętej prawdy, a raczej tych prawd, a mianowicie: *primo,* robiąc coś, dobrze jest mieć ręce czyste (u nas się ma ręce czyste wtedy tylko, gdy się nic nie robi, ponieważ ci, którzy nic nie robią, ci od wszystkiego ręce umywają, ale o to mniejsza); *secundo*, książka po kilkunastokrotnem przeczytaniu przez czytelników, nawet mających ręce

czyste, nie może nie być zbrudzoną, i czytelnik kilkunasty i pierwszy już ją z tym brudem otrzyma i taką musi czytać (myłby sam co pięć stron ręce, czyby nie mył); *tertio*, zamiast takich brudnych z czytelni pożyczonych książek przeczytać dwadzieścia pięć na tydzień {ponieważ się trzeba spieszyć [bo płaci się, a pieniądz drogi (a można zmieniać książki codzień)]} — lepiej, zdrowiej, pożyteczniej a więc i oszczędniej nawet, i nadewszystko dla myśli korzystniej, pomyślniej jest kupić na własność i przeczytać książkę na dwadzieścia pięć dni jedną.

Pamięta pani, jak te mniemane prawdy oburzyły duszyczkę pani? Boć, kupując rzecz, musimy, chcąc, nie chcąc, mieć do czynienia z myślą. Musimy namyślać się, co kupić wogóle? co w szczególe? czy kupić tę książkę, czy tamtą? dlaczego tę, a nie inną? jaka jest książka? co o niej mówią? czy warto, abyśmy my sami wiedzieli, co o niej trzymać? na co nam się przyda zajmowanie się tą książką? co zrobimy z nią, przeczytawszy? czy ją położymy na stole rodzinnym? czy ją wyrzucimy? czy pożyczymy komuś? czy ją dołączymy do klejnotów familijnych i przekażemy synom, córkom i wnukom? czy ta książka zawiera prawdy nam znane, albo też im przeczy i urąga? czy wogóle istnieją prawdy inne oprócz nam znanych? skąd się biorą prawdy? czy prawdy rodzą myśl? czy myśl rodzi prawdy? czy może być prawdziwą myśl wy-

myślająca prawdę nową, która starej przeczy? jak lepiej żyć: czy bez praw ustatkowanych, a z myślą? czy też z prawdami ubitemi (u-b-i-t-e-m-i! p-o-b-i-t-e-m-i z-a-b-i-t-e-m-i!), z uśmierconemi prawdami żyć i bez myśli?... Tych wszystkich pytań namolnych unika człowiek, pardon, unika pani, abonując książki brudne, wyświechtane i czytając ich po dwadzieścia pięć sztuk na tydzień.

Czytać książkę czystą i nową i swoją jest jakoś właśnie »nie swojo«. Człowiek, pardon pani ma wrażenie jakiegoś samotnego pionierstwa, jakiegoś zuchwałego ryzyka, jakiejś wyprawy Kolumbowej ku nieznanym lądom, jakiegoś zrywania z ubitem życiem, utartem i tak smacznie zbrudzonem, a puszczaniu się po czystych, nie dotykanych, nie wysmakowanych, nie wywąchanych, nie wypatrzonych, nie słychanych... stronach!

Ale człowiek... *pardon* — pani woli rozkosze inne. Woli pani smakować i rozsmakowywać się w książkach czytelnianych, przesiąkniętych użyciem, powystrzępianych, z podkreślonemi, podznaczonemi ustępami tłustemi; w książkach, po których tak łatwo przebiegać oczom i ślizgać się w tłuszczu prawdy, samej prawdy i tylko prawdy.

I jak można przeciwko tym tłuszczowym prawdom występować? Jak można na zwyczaj pożyczania i czytania brudnych i tłustych książek, na ten zwyczaj taki nasz i taki kochany powstawać? Wszakże ja, mó-

wiła pani, wypożyczałabym swoje wszystko, wszystko — niech brudzą.

— Czy jednak naprawdę wszystko? — spytał mąż pani.

Na tak znaczące pytanie, na które odpowiedź musiała decydować, o ile teoretyczna pani rozpożyczalność zbliża się ku prawdzie praktycznej, zamyśliła się pani (jednak zamyśliła!) i po namyśle rzekła:

— No, może nie wszystko, ale pewną część.

— Mianowicie?

Tu, zamiast odpowiedzieć: pięć ósmych, sześć dziewiątych, trzy czwarte lub ćwierć, słowem, zamiast odpowiedzieć cośkolwiek określeńszego i podobniejszego do matematycznej, ścisłej prawdy, zakłopotała się pani i zamyśliła (znowu!).

Z tego widać — widocznem to musi stać się i dla pani, że w niektórych wypadkach myśl odpowiada jednak ścisłej prawdzie, skoro się człowiek, *pardon* — skoro się pani tam, gdzie chodzi o odpowiedzenie ścisłej prawdy, namyśla, czy zamyśla, że myśl może być większą prawdą, bliższą prawdzie, niżeli sama rzeczywistość, która już kontrakt z myślą straciła i jest ubita, stratowana, zatłuczona i zatłuszczona.

Zdawien dawna tak bywało, że jeżeli ktoś, z należytą wiarą, powagą i z odpowiednim aplombem, czyli w sposób wierzytelny, jak plomba celna, zapewniał nas że gruszki rosną na gruszce, to spoglądamy na takiego

kogoś przychylniej, aniżeli na tego, kto wbrew oczywistości chce wmówić w nas, że gruszki rosną na wierzbie.

Ponieważ ja nie tylko nie mam intencyi czemśkolwiek pani do siebie zrażać, ale owszem, dużo, prawie wszystko — powiedzmy dla ścisłej prawdy — jedenaście dwunastych — oddałbym za to, aby sobie panią czemś ująć, więc przytoczę pani kilka takich prawd utartych, ubitych — miłych.

Oto one. Żołądek ważniejszy od ducha, bo, nie zaspokoiwszy potrzeb żołądkowych, żyć nie można, zaś wielu ludzi żyje, chociaż duchowych potrzeb nie zaspokaja i nawet ich nie ma. W człowieku tłustym więcej życia, niźli w człowieku chudym, bo nim tłusty schudnie, chudego dyabli wezmą. Lepszy wróbel w ręku, niż cietrzew na sęku, ponieważ ręka daje większą rękojmię prawdy, niżeli wysoki sęk, do którego ręka nie sięga i który przeto można nazwać bezużytecznem zmyśleniem.

Czy pani już dosyć temi prawdami ujęta? Może pani jeszcze prawd pożąda? Owszem.

A więc: od zbytku zdrowia nikt nie umarł, a od zbytku choroby — niejeden. Czy pani z tą prawdą się zgadza? Oczywiście. A zatem: woli pani zdrowia zbytek, Co do mnie, chociażby tylko dlatego, że przez grzeczność muszę pani ustąpić, biorę sobie część drugą prawdy: biorę zbytek choroby. Dla pani więc zbyteczne zdrowie, dla mnie zbyteczna choroba. Pani woli, żeby zdrowia był zbytek, czyli niepotrzebność; ja wolę, żeby

choroba była niepotrzebna. Dla pani zbyteczne wszystko zdrowe, dla mnie zbyteczne wszystko chore. Pani chce wtrącić społeczeństwo w brak zdrowia, ja chcę pozbawić je choroby, czyli uzdrowić.

Przykro mi, że po mojej stronie jest część lepsza. Ale przez grzeczność mogę ją pani odstąpić. Dobrze? Więc tak: bierze pani teraz zbytek choroby, a ja zbytek zdrowia. Teraz pani jest do zbytku chora, ja jestem zdrów do zbytku. Pani zbytek — to choroba: mój zbytek — to zdrowie. Jeżeli pani pozbytkowała, rodzi się stąd choroba, jeżelim ja pozbytkował — zdrowie.

Przykro mi, że znowu sprawa wypadła na niekorzyść pani. Ale przyczyna tej pani krzywdy leży nie we mnie, ani w pani samej, jeno w tej ubitej, utartej i zogólniałej wyżej przytoczonej prawdzie, że od zbytku zdrowia nikt nie poniósł śmierci, a od zbytku choroby poniósł. Tam, gdzie mowa o zbytku, tam musi nastąpić i wyzbycie się. Zbytek zdrowia równa się jego wyzbyciu się. Za bytem idzie niebyt, za życiem — śmierć. To, co żyje do zbytku, od zbytku umiera. I naodwrót, tylko to, co umarło, może wskrzesnąć. Jeżeli prawda stara, prawda ubita mówi nam o życiu, o zdrowiu, o szczęściu, to w prawdzie tej tkwi jadowite żądło śmierci, choroby i niedoli.

Inna jest prawda nowa, ale... Mówmy o czem innem, a raczej o tem samem: o prawdzie.

Jeżeli, dajmy na to, ma pani trzy ruble, przezna-

czone na kupno wiktuałów, a jednocześnie potrzeba pani przeczytać jaką wziętą książkę, na której kupno niema w pani budżecie rubryki, to jak postąpić? Bez wiktuałów żyć nie można, a książkę można sobie od kogoś wziąć i w taki sposób będziemy mieli książkę »wziętą«. Dobrze, ale jeżeli ten ktoś książki pani wziąć nieda, bo jej nie ma, bo sam na wzięcie od kogoś też liczy? W takim razie zwrócimy się do kogoś trzeciego. Ale trzeci również wydał swoje trzy ruble na wiktuały. Ha, zwrócimy się do czwartego, piątego, dziesiątego, dwunastego. I dopiero ten dwunasty, który ponad wiktuały przeniósł książkę, będzie mógł nam jej pożyczyć. Z tego widzi pani, że cały ciężar zasługi kulturalnej leży nie na pani i nie na pani podobnych, dla których każdy wiktuał jest wartością absolutną i obowiązkowo kupowaną, a każda książka jest tylko »wziętą«, lecz że zasługę kulturalną ponosi ta część społeczeństwa, dla której wiktuał jest rzeczą względną, a książka — rzeczą swoją, z którą się trzeba zżyć absolutnie, integralnie i którą trzeba dlatego sobie kupić.

Wiktuał jest to rzecz, podtrzymująca nasze życie. Bierzemy z panią za pewnik, że wiktuał taki to rzecz w życiu najcenniejsza. Tedy, jeżeli ktoś będzie mógł nam dowieść, że gruszki rosną na wierzbie, taki człowiek powinien być dla nas w życiu najcenniejszy. Bez niego wiemy, że gruszki rosną na gruszce, z nim dowiadujemy się, że gruszki mogą rosnąć i na wierzbie.

A la bonheur! — powinniśmy zawołać: — będzie wiktuałów-gruszek więcej!

Czyż dla nas, wiktualistów, nie wszystko jedno, co skąd będziemy spożywali, bylebyśmy tylko spożywać mieli? Czy wiktuał rośnie na gruszce, czy na wierzbie: nie wszystko-ż to nam jedno, nam, dla których główna troska w tem, aby mieć co jeść, a nie w tem, aby coś stworzyć nowego?

O pani, ty zwolenniczko prawd prawdziwych, zdrowego zdrowia i utartego toru, kiedy już zbytek zdrowia i nadmiar wiktuałów spowoduje, że umrzesz, wówczas, po śmiertce, w piekiełku, będą ci dyabełki co chwila mówić do uszu takie prawdy, same prawdy i tylko prawdy:

Ludzie chodzą nogami, słyszą uszami, widzą oczami, jedzą ustami, językiem smakują, dotykiem czują. Gruszki rosną na gruszkach. Dwa razy dwa — cztery.

Tych niezłomnych prawd prawdziwość będzie ci powtarzał raz za razem najstraszniejszy z dyabłów, który się nazywa płaskim, codziennym, banalnym, ubitym i zabijającym komunałem.

Po kilku dniach takiego traktowania cię prawdą, samą prawdą i tylko prawdą zaczniesz się z boleści modlić:

— O Boże, zlituj się, ześlij mi kroplę jakiejś nieprawdy, jakiegoś, z przeproszeniem, kłamstwa, stojącego na głowie, jakiegoś czegoś, co oczyma słucha

albo całuje, jakiegoś czegoś, co... Boże, zlituj się nade mną!

Ale Bóg nie zlituje się nad tobą, ponieważ Bóg nie zna litości! Bóg jest, jak słońce: oświeca i ogrzewa niebo i kwiaty i ziemską nieczystość. Ale nad nikim i nad niczem nie ma litości. Natomiast daje nam dobro najwyższe: możność albo zostania kwiatem, albo nim niezostania. A zostać kwiatem to znaczy uwierzyć w prawdę nową, dziwną i nieprawdopodobną.

Nowa prawda to kwiat, a kwiat czyż nie jest zaprzeczeniem pospolitej łodygi i zwykłego liścia. Nad kwiat niema istoty nieprawdopodobniejszej, wymyślniejszej, zmyślniejszej, bajeczniejszej kolorem, kształtem i zapachem. Kwiat jest zaprzeczeniem komunałowi, kwiat jest niesłychanością, kwiat jest dziewictwem. Kwiat to antyteza brudu, kwiat to wróg nudy, szarzyzny i śmierci. Kwiat to cud życia, kwiat to prawdziwe życie nowe, kwiat to zapowiedź przedłużenia życia w nieskończoność.

OJCZYZNA

W pewnym sklepie spożywczym, na wystawie okiennej stało masło.

Masłu temu sklepikarz, przez patryotyzm, nadał formę piramidy, z wyżłobionym na frontonie napisem:

BOŻE, ZBAW OJCZYZNĘ!

Masło, ściśle biorąc, nie nadaje się do rycia w niem godeł monumentalnych. Na maśle łatwo coś wyryć, ale i zamazać nietrudno. Niejaka twardość w materyale, przeznaczonym na monument, jest nieodzowna. Twardość nawet masłu, jako takiemu, nadaje pewną zaletę, i dlatego wolimy je w formie twardej osełki raczej, niż w kształcie bryły.

Uznając jednak masło za nieodpowiednie na posąg, nie chcemy przez to dyskredytować jego użyteczności pod względem spożywczym i handlowym.

Zresztą nawet, jeśli się to komu podoba, niech sobie utrwala swój patryotyzm i na maśle. Owszem, niech sobie w niem rzeźbi:

BOŻE, ZBAW OJCZYZNĘ!

Każdy wybiera do ujawnienia swych uczuć patryotycznych i innych taki materyał, jaki mu się wydaje najodpowiedniejszym.

Wprawdzie co do nas, wolelibyśmy tę inwokacyę do Boga o zbawienie ojczyzny utrwalić w jakim materyale twardszym, naprzykład w bronzie, w marmurze, w złocie, w spiżu, w granicie, albo w duszy ludzkiej. Lecz trudno. Nie możemy zabronić panom utrzymującym sklepy spożywcze mieć własnych o patryotyzmie i o sztuce rzeźbiarskiej przekonań. Jednemu podobać się może katedra, przypuśćmy, z czystego białego marmuru; inny będzie wolał mieć katedrę z czekolady, ponieważ zjeść ją można, a marmuru nie ugryziesz.

A zresztą, bodaj, że i nie powinno nam znów tak bardzo chodzić o utrwalenie tego napisu:

BOŻE, ZBAW OJCZYZNĘ!

Wszakże nie o to chodzi, żebyśmy się ciągle o zbawienie ojczyzny modlili, tylko o to, żeby ta ojczyzna nareszcie była zbawiona. A wtedy co? Przypuśćmy, że Bóg wysłuchał napisu tego i ojczyznę nam zbawił. Cóż wtedy? Zostanie monument marmurowy z tym napisem:

BOŻE, ZBAW OJCZYZNĘ!

i będzie sterczeć, jako zbyteczny, pusty anachronizm. Co z nim robić, kiedy już ojczyzna zbawiona? Chyba rozbić młotami.

Jeżeli zaś napis ten będziemy ryć (w mądrem przewidywaniu, iż nam Bóg ojczyznę w końcu zbawi) na maśle, to w wypadku, gdy nagle ojczyzna ulegnie zbawieniu, cały pomnik maślany można będzie z radości — zjeść...

BOŻE, ZBAW OJCZYZNĘ!

Ileż to widzimy dziś katedr i innych pomników i rzeźb, w swoim czasie, kiedyśmy się o coś do Boga modlili, potrzebnych, ale dziś, skoro już mamy wszystko, absolutnie wszystko, stojących zbytecznie po placach, ulicach, muzeach i cmentarzach.

Natomiast, jakaż dziś byłaby korzyść spożywcza, jakież byłoby słodkie wesele, gdybyśmy w swoim czasie do budowy tych katedr, pomników i rzeźb użyli byli czekolady lub masła?

Po bokach napisu tego:

BOŻE, ZBAW OJCZYZNĘ!

były przez sklepikarza wyobrażone dwa ptaki, które najniezawodniej miały być, jak to z pewnych oznak, a mianowicie z garbatości dziobów ich sądzić należało, — orłami, ale które nieudolność rysunkowa patryoty i nieodpowiedniość materyału zrobiła podobnemi raczej gęsiom albo jastrzębiom. Do gęsi upodobniał je tułów gruby i tłusty (ile że z masła), a do jastrzębi — krzywizna dziobów.

8*

Bądź co bądź jednak, ptaki te, orło-jastrzębio-gęsiowate, zdawały się gorliwiej może od samych czystych orłów, na piramidzie maślanej krzyczeć:

BOŻE, ZBAW OJCZYZNĘ!

Nie możemy brać za złe sklepikarzowi tej herbowej zagmatwaności i tego niejako sprofanowania orłów, a raczej — ponieważ wyraz profanacya trochę tu brzmiałby za twardo w stosunku do masła — tego orłów zjastrzębienia i tego ich gęsiostwa.

Brać sklepikarzowi za złe tego nie możemy, bo zacna, poczciwa tendencya ujawnienia patryotyzmu na maśle winna go od zbyt surowych naszych zarzutów krytycznych ubezpieczyć.

Ten pomnik maślany co dzień się zmniejszał, ponieważ sklepikarz co dzień — źle mówię: — co godzina, i częściej, odkrawał z niego skibkę masła na sprzedaż.

Więc naprzód znikł z piramidy, zwolna odkrawany, lewy orzeł, czyli gruby i tłusty jastrzębio-gęś o orlim tytule.

Potem, stopniowo, sklepikarz zaczął odkrawać po literze z wyrazu BOŻE, tak że w pewnem stadyum tego rozbiorowego procesu, kiedy została tylko ostatnia litera boska, czytać można było na piramidzie taki napis:

E, ZBAW OJCZYZNĘ!

Później zakupiono i zabrano pajdkę masła z literą E — z tym ostatnim śladem wezwania ku Bogu,

i z literą Z — pierwszą literą od wyrazu ZBAW. Na piramidzie zostało:

BAW OJCZYZNĘ!

Dalej nieugięte wymagania komercyjno-spożywcze pochłonęły wyraz BAW, tak że został tylko sam jeden przypadek czwarty:

OJCZYZNĘ!

Wyglądało to z jednej strony tajemniczo i mistycznie, a z drugiej — miało charakter jakiejś swobody i poniekąd samowoli gramatycznej, ponieważ każdy, kto w danym momencie tę resztkę modlitwy na maśle oglądał, mógł sobie do tego rzeczownika w czwartym przypadku dobierać czasownik, jaki mu się żywnie spodobało, Mógł sobie myśleć: kochaj (OJCZYZNĘ), albo kraj, tnij, rozbieraj, sprzedawaj, top, smaż na maśle i jedz (OJCZYZNĘ). Wogóle rób z nią, co ci się zachce.

Sklepikarz — któż wie? — może i dopowiadał sobie w duszy: kochaj (OJCZYZNĘ)! Na zewnątrz przecież objawiało się to w formie coraz większego i postępowszego, że tak powiemy, jej ukrawania.

W pewnym czasie tego rozkładowego postępu, czyli tego spożywczego postępowania, na piramidzie maślanej widniała jedna tylko litera, ostatnia:

Ę!

Był to niby, z jednej strony, tajemniczy i mistyczny jęk, a z drugiej strony robiło to wrażenie zwykłego, codziennie mówiąc, spożywczego stękania po zjedzeniu trzech czwartych tego patryotycznego monumentu z masła.

Trzech czwartych powiedzieliśmy, bo została jeszcze ostatnia jego ćwiartka, z prawym orłem czyli gęsio-jastrzębiem.

Ale i ta ćwiartka, podobna do tającego w herbacie kawałka cukru, stopniowo malała, malała... Gruby i tłusty orło-jastrzębio-gęś utracił naprzód łeb, potem szyję, potem brzuch, aż wreszcie znikł z powierzchni maślanej całkiem.

Ostatnia, najostatniejsza cząstka piramidy, ta nieostęplowana niczem, zachwiała się też wreszcie, runęła i została sprzedana po cenie zniżonej, jako resztka.

W oknie sklepikowem czas jakiś nie było nic monumentalnego. Ale ten stan apatryotyczny trwał krótko.

Pewnego dnia przechodzień, który stopniowe zmniejszanie się piramidy i jej stanowczy zanik obserwował i który, nie widząc w oknie już nic pomnikowo patryotycznego, ze smętkiem zapytywał siebie: zali w sklepiku wszystek patryotyzm już wyszedł? — miłego doznał wrażenia, ujrzawszy nagle za szkłem sklepikowem:

OGROMNĄ DZIEŻĘ ŚMIETANY!

Na śmietanie tej nie było już niestety ani żadnych godeł patryotycznych, w rodzaju orłów lub choćby gęsi, ani też żadnych modlitewnych ku Bogu wezwań.

Ten brak dawał się, z jednej strony, bardzo pozytywnie i codziennie wytłumaczyć tem, że na śmietanie zgoła nie możebnem jest pisać, ryć lub rysować, i że sztuka w stosunku do śmietany nie ma żadnego zastosowania, zwłaszcza jeśli pisanie lub rysunek mają trwać, choćby króciutko.

Śmietana jest to żywioł smaczny — ale taki, że na nim, przejechawszy palcem, można wprawdzie coś nie coś wyryć, choćby OJCZYZNĘ, na moment; utrwalić jednakże tego wyrazu na śmietanie nie sposób. Trzeba czekać przynajmniej, aż zostanie masłem. Śmietana, nakształt lawy białej, wszelkie, by najkrótsze wyrazy patryotyczne zalewa.

To jeden, pozytywny powód, dla którego śmietana w dzieży nie miała na sobie stempla.

Drugie, mistyczne wytłómaczenie tego mogło być i takie:

Oto prośba o zbawienie ojczyzny na maśle została wysłuchana i jako widomy symbol tego wysłuchania — zjawia się w oknie sklepikowem:

OGROMNA DZIEŻA ŚMIETANY.

Stemple i herby już zbyteczne.

Śmietany białość to z jednej strony (codzienno-

pozytywnej) — białość gęsia, a z drugiej strony (mistycznej) białość orla. I tę śmietaniczną, podwójną białość orlo-gęsią ruchem statecznie okrągłym obejmuje jastrzębio-spożywcza sklepikarska dzieża.

BOŻE, ZBAW OJCZYZNĘ!

ZAPASY

Wnuczka, zdrobniałe Wnusia, od dzieciństwa marzyła o tem, aby mieć coś własnego, coś ze swoją własną cyfrą, własną literką, — i marzenie to nie mogło być urzeczywistnione aż do samej Wnusinej śmierci.

W rodzinie Wnusi panował tradycyjny zwyczaj nagromadzania rzeczy na zapas.

— Kto wie co się może zdarzyć? — mawiał dziad Wnusi: — Lepiej mieć za dużo, niż za mało.

To mawiając, ciułał i ciułał wszelki dobytek.

Dziad ten był to człowiek starej daty. Kładł rękę za pas, miał dobytku zapas, tak że aż się zapasł. Wszystkie swoje rzeczy cyfrował trzema zetami: ZZZ, wyhaftowanemi, albo jeden za drugim, albo na krzyż w postaci sześcioramiennej orderowej gwiazdy. Litery te były też inicyałami wyrazów, stanowiących dewizę rodową: »Zawsze Zbierać — Zabierać!«

— Kto wie, co się może zdarzyć? — mawiała babcia Wnusi: — Lepiej mieć za dużo, niż za mało. Zawsze Zbierać Zabierać!«

To mówiąc, zamęczała dziewki garderobiane szyciem, stebnowaniem, haftowaniem, znaczeniem i zdobieniem wszelkiego przyodziewku.

W szafach babcinych dusiły się, na kształt pokładów geologicznych warstwy prześcieradeł, słoje obrusów i serwet, namuły ręczników, osady spódnic i fartuszków, nasypy wsypek, poszewek i powłoczek, szychty chustek i wszelkiej innej, potrzebnej, choć mniej przyzwoitej bielizny, do której trzeba zaliczyć i pokrowce, używane w oszczędnym domu babcinym nawet na dywany.

Babcia cyfrowała te wszystkie rzeczy dwiema literami OO. Mówiono o babci tak: — O, m a m i e n i e!

Było to jednak prawdziwe O m a m i e n i e.

Wobec tej mnogości materyału, służącego dla ochędóstwa, mogło się zdawać, że nagromadziło go mądre przewidywanie mnogości rodzinnego brudu. Jakoż ilość brudów tego domu była niesłychana, bo pranie rodzinne odbywało się zaledwie raz na rok. Pranie to trwało dwa miesiące do trzech, przyczem kilkanaście dziewek garderobianych ciężko zapadało na zdrowiu.

Tak, było to prawdziwe omamienie, aczkolwiek o babci mówiono: o, ma mienie!

Wnusia w dzieciństwie bawiła się zabawkami, odziedziczonemi po przodkach. Oszczędność nie pozwalała ich, nawet uszkodzonych wyrzucać. Chowano, i przekazywano z pokolenia na pokolenie.

Wnusia nigdy nie miała poczucia zabawek nowych,

świeżych, żywych. Tembardziej nie znała rozkoszy ich psucia.

Skrycie marzyła o tem, ale było to surowo przez tradycyę rodzinną zabronione. Bądź jak bądź, zabawka to kapitał, a kapitał należy szanować i przekazywać dzieciom, wnukom i wnusiom, ażeby dźwigały dalej nasze piętno rodowe, nasze dewizy i nasze dewizki.

Biedna Wnusia ucierała nosek chusteczkami z nie swoim znakiem! Biedna Wnusia chodziła w koszulkach, spódniczkach i reszcie poznaczonej cudzemi inicyałami. Biedna Wnusia!

Tak zeszło jej dzieciństwo.

W okresie zamążpójścia, ukazał się na chwilę Wnusi miraż samodzielnego życia. Ale tylko na chwilę. Ukazał się i prysł, jak bańka z mydła.

Po babci zapisem musiała Wnusia odziedziczyć sto tuzinów prześcieradeł, dwieście tuzinów obrusów, trzysta tuzinów serwet, tysiąc tuzinów powłoczek, dwa tysiące tuzinów chustek i niezliczoną moc tuzinów innej bielizny nieprzyzwoitej, aczkolwiek podtrzymującej czystość.

Po dziadku dostała biedna Wnusia w prezencie trzysta pięćdziesiąt pięć tysięcy funtów stołowego srebra, z przeróżnemi znakami, złożonemi z połowy liter alfabetu, ponieważ zbieraniem i zabieraniem tego mienia zajmowali się liczni protoplaści w różnych rozgałęzieniach pokrewieństwa.

Stryjeczno-cioteczny wuj zapisał Wnusi bibliotekę z dwustu tysięcy starych, zwietrzałych i przez mole nadjedzonych romansów, które dla oszczędności i przez uszanowanie tradycyi, Wnusia musiała czytać. Na książkach było tyle cech, pieczątek, ex-librisów, monogramów, dewiz i innych znaków, że dla biednej Wnusi literek już nie było miejsca.

Słowem, posiadając tyle dobytku, biedna Wnusia nic swojego, nic własnego, nic wedle swojego gustu, nic ze swoją cyfrą mieć nie mogła. Była biedną bogatą strażniczką tradycyjnego piętna.

Aby coś nowego, coś z własnym inicyałem mieć, należało coś własną inicyatywą stworzyć, albo się czegoś starego pozbyć. Ani na jedno, ani na drugie nie pozwalała oszczędność, nie pozwalała dziedziczna mania zapasu — mania właściwa pszczółkom, mróweczkom, sroczkom oraz jastrząbkom.

Ale jednak Wnusia, używając przez oszczędność rzeczy używanych, jednak o rzeczach nowych, świeżych, swoich własnych — marzyła.

O czem wolno jest marzyć Wnusi w okresie zamążpójścia? O mężu.

Mąż!!!

Cóż może być właśniejszego nad własnego męża? Na nim, na mężu wyhaftuje Wnusia swoją własną cyfrę; na nim, na mężu, wytatuuje swe literki; jego, męża, nacechuje Wnusia swoim inicyałem...

Ale to marzenie Wnusi, jak bańka mydlana, prysło.

Biedna Wnusia dostała męża, który był już używany, miał na sobie tradycyjne piętno. Był nacechowany tradycyjnie bliznami, haftami, ex-librisami i monogramami paru kokot, kilku baletnic i mnóstwa innych mniej lub więcej zawodowych niewiast. Złożył się na to prawie cały alfabet (prócz liter Ą, Ę i Ó). Mąż ten był podobny do papierośnicy, ozdobionej monogramami przyjaciół i przyjaciółek w paleniu.

Biedna Wnusia!

Nawet trumienny jej całun był nie jej własną literą znaczony.

Leżała w nim bielutka, z przedwcześnie osiwiałemi włoskami i marzył się jej taki miraż. Oto duszyczkę jej bierze w objęcia anioł, na którego bieliźnie niema żadnej, żadnej cyfry, a ona, Wnusia, haftuje na nim litery s w o j e — nakoniec!

Biedna Wnusia!

ODWIEDZINY

Pewnego razu przyszedł do mnie w odwiedziny Głos Sumienia i powiada tak:

— Chciałbym pana zapytać o jedną rzecz.

— Owszem — odrzekłem: — nawet o trzy.

— A więc proszę mi powiedzieć: czem żyje społeczeństwo?

— Jakto czem? No, chlebem, mięsem, jarzynami, owocami...

— A oprócz tego?

— Oprócz tego?... Mlekiem, winem, kawą białą albo czarną, likierem...

— A jeszcze?

— A jeszcze?... A jeszcze?...

— Jeszcze żyje społeczeństwo po... po... po...

— Ach, zupełnie mi wyszło z głowy! Prawda, społeczeństwo żyje jeszcze polityką.

— Nie to chciałem panu podpowiedzieć. No, co jeszcze zaczyna się od *po* i czem może żyć społeczeństwo? No, po... po...

— Wiem już — pornografią, albo porubstwem.

— I jeszcze nie to. Widzę, iż z pana dobry obywatel, ale nie pomysłowy. Czyż mam panu przypominać, że społeczeństwo żyje — poezyą.

— Poezyą?

— A tak. Społeczeństwo żyje poezyą, sztuką, nauką, bohaterstwem, pięknem, myślą...

— Patrzcie państwo, nie myślałem o tem.

— No to pan myśl. Myśl pan o społeczeństwie. Myśleć o społeczeństwie znaczy stwarzać coś z zakresu poezyi, sztuki, nauki, bohaterstwa, piękna, myśli... Tak, myśl pan o społeczeństwie.

— To sobie dobre. A któż będzie myślał o mojej żonie i o moich dzieciach?

— O tem pomyśli społeczeństwo.

— Dziękuję. Wolę sam. Niech sobie społeczeństwo myśli o sztukach pięknych samo, a ja będę sobie myślał o swojej żonie i o swoich dzieciach sam. Do mojej żony nikomu się wtrącać nie pozwalam. Jeszcze czego? Nie pozwalam wtrącać się nikomu pojedyńczemu, a cóż dopiero społeczeństwu. Tak samo i do dzieci. Sztuki piękne! Jaka sztuka może być piękniejsza od mojej żony i od mego dziecka. Jakie bohaterstwo może być większe od mego ojcowstwa? Jaka myśl od myśli o sobie, czyli o swojej żonie i o swoich dzieciach może być po... po... myślisz pan, iż powiem poetyczniejsza? Nie. Powiem — pożywniejsza...

— Za pozwoleniem. Pozwól pan i mnie, Głosowi Sumienia, przyjść do głosu. Otóż, powiadasz pan, iż nie możesz myśleć o społeczeństwie, bo musisz myśleć o żonie i dzieciach. Bardzo dobrze. Chciałbym tylko zapytać pana jeszcze o jedną rzecz.

— Owszem, nawet o trzy.

— Nie, tylko o jednę.

— O trzy, powiadam. Pytaj pan o trzy.

— Nie, tylko o jednę. A zresztą, aby zapytać o trzy, muszę naprzód zapytać o jedną.

— Pytaj pan.

— Proszę mi powiedzieć: żona pańska, nim została pańską żoną i nim miała dzieci, była czem?

— Jakto czem?

— No, czem była, pytam: poetką? artystką? kobietą nauki? bohaterką? cudem? arcydziełem?

— Nie, panie: była moją narzeczoną.

— Aha. Otóż, jeżelibym wówczas, kiedy pańska żona obecna była narzeczoną pańską i oczywiście bezdzietną, przyszedł był do pana i rzekł: panie, stwórz pan jakie arcydzieło w zakresie poezyi, sztuki, nauki, bohaterstwa, piękna, myśli... Pomyśl pan o społeczeństwie. Gdybym wówczas był tak pana zagadnął, cobyś pan musiał mi odrzec? Tak jak teraz odpowiadasz: nie mogę myśleć o społeczeństwie, bo muszę myśleć o żonie i dzieciach, tak wówczas, gdy pańska żona obecna była tylko narzeczoną pańską, musiałbym odpowiedzieć:

nie mogę myśleć o społeczeństwie, bo muszę myśleć o na...

— O naturalnym biegu spraw ludzkich, czyli o...

— O napełnieniu sobie kieszeni, aby módz z narzeczonej zrobić sobie żonę. Czy tak? A raczej, czy nie tak?

— Niech będzie i tak.

— Nie możesz więc nic zrobić dla społeczeństwa, bo musisz myśleć o narzeczonej, czyli o naturze rzeczy. Społeczeństwo zatem według ciebie jest rzeczą nienaturalną, społeczeństwo jest rzeczą przeciwną naturze. Myśląc nie o społeczeństwie, tylko o narzeczonej, żyjesz wbrew naturze, jesteś wyrodkiem społeczeństwa, jesteś zbrodniarzem, jesteś zdrajcą społecznym, nic wartym nicponiem jesteś...

— Przepraszam, pan się zapominasz! Ja panu przyślę świadków!

— Co? Pojedynek? Pojedynek ze mną, z Głosem Sumienia? A toś się pan wybrał. Czy nie wiesz, iż ja jestem nieśmiertelny? że mnie zabić nie można? że można mnie najwyżej na moment uciszyć? Ale że po momencie znów przyjdę i znów pocznę wołać? Jeżeli pan o tem nie wiesz, to pan widać mało o czem myślisz.

— Myślę o żonie i dzieciach.

— Czyli myślisz o narzeczonej.

— A więc tak. Myślę o narzeczonej, jeżeli to panu nie robi różnicy.

— Przeciwnie, robi mi to różnicę. Gdybyś o żonie i dzieciach, czyli o narzeczonej, nie myślał ty, a myślał o społeczeństwie czyli o poezyi, o nauce, o sztuce, o bohaterstwie, o pięknie, to wówczas nie myślałbym ja, tylko sobie bym się zaręczył z jaką narzeczoną, napełniłbym sobie kieszenie i, naturalnemu biegowi rzeczy ulegając, ożeniłbym się i z naturalną nałożnicą zaznawałbym sobie szczęścia. Tak zaś, gdy szczęśliwym nałożnikiem jesteś ty, ja, bezżenny i bezdzietny Głos Sumienia, muszę o społeczeństwie myśleć, czyli żyć wbrew naturalnemu rzeczy biegowi. Tak, mój panie. A teraz zechciej mi pan jeszcze odpowiedzieć na trzy pytania.

— Nie głupim. Dość tego.

— Bardzo pana proszę. Tylko trzy pytania.

— Nie, najwyżej jedno.

— Trzy?

— Nie, jedno.

— No, niech będzie jedno. Powiedz mi pan: narzeczona pańska, zanim pańską narzeczoną została, czem była?

— Jakto czem?

— No czem? Była po... po...

— Poezyą była.

— Tak, dopóki się nie poznała z panem. Ale zanim nastąpił ten fakt społeczny, była czem? po... po...

— Nie myślisz pan chyba, że pokojówką?

— O, nie. Przeciwnie: nie była pokojówką, była nie-pokojówką twoją. Tak, niepokoiłeś się, patrząc na jej niewinną młodzieńczość. Niepokoiła cię jej uroda, jej zachwyt, jej wrażliwość, jej bujność. Niepokoiły cię jej włosy, jej oczy, jej usta. Niepokoiły cię jej sukienki, jej tiule, jej staniczki, jej buciki, jej wstążki. Niepokoił cię jej uśmiech, jej roztargnienie przy tobie, jej skupiona uwaga przy innych. Niepokoiło cię jej zamyślenie nie o tobie. Niepokoiła cię obawa, że nie ty możesz zostać narzeczonym. Niepokoiły cię sny o niej. Niepokoił cię jej posag... O tak, to była twoja niepokojówka. I pótyś nie zaznał spokoju, aż nareszcie została twoją... pokojówką, czyli — daruj — twoją żoną, twoją naturalną, twoją nałogowo naturalną żoną, która i tobie dała pokój i której ty odjąłeś wszystkie niepokoje, prócz jednego: prócz niepokoju o dobre pokojówki.

— Proszę pana, mój panie. Chyba czas, ażebyś i pan mi już dał święty spokój.

— Tylko jeszcze jedno. Tylko jedna chwila. *Un moment.* Nie odpowiedziałeś mi pan jeszcze na moje pytanie, które miało być ostatniem. Twoja żona, zanim została twoją żoną, była twoją narzeczoną, a zanim była narzeczoną twoją, nie była twoją pokojówką, czyli była twoją niepokojówką. To był jej stan w stosunku do ciebie, że tak powiem, niepokojący, wojenny. Zaś jej stan cywilny był jaki? Był taki że znowu niestety

musimy powrócić do po... po... albowiem była po... po...

— Wykrztuś pan nareszcie. Była — Polką. Tak, mój panie. Tak jest: niepokoiła mię Polka dotąd, dopóki o niej z niepokojem myślałem, aż została moją własną...

— Wykrztuś pan — własną pokojówką. Tak jest, mój panie. Usuwasz się pan od myśli społecznej, wymawiasz się od myśli o społeczeństwie polskiem, ponieważ cała twoja działalność zwrócona jest na to, aby z niepokojącej cię Polki zrobić sobie własną pokojówkę, własną dziewczynę. Ta twoja własna dziewczyna, zanim została twoją, była dziewczyną niczyją, była sobą. Ale ty zwróciłeś na nią swoje zamysły, i przestała być sobą. Oddaliłeś od niej niepokój serdeczny, uspokoiłeś ją, zrobiłeś pokojówką... Daj mi rękę. Oto ją kładę na sobie, który jestem Głosem twego Sumienia, i powiadam tak: Nie myślałeś o tem, żeby stworzyć coś w zakresie tych rzeczy, któremi społeczeństwo rzeczywiście żyje; nie myślałeś o tem, aby coś dać społeczeństwu z siebie pięknego, bohaterskiego, poetycznego; nie myślałeś o społeczeństwie dlatego, że myślałeś wszystką myślą o swojej żonie i dzieciach, dlatego, że myślałeś o swojej narzeczonej, dlatego, że myślałeś o swojej — dziewczynie. Nie umiałeś dla społeczeństwa zrobić nic, dlatego, że całą myślą myślałeś o dziewczynie póty, aż stała się twoją żoną-pokojówką. I zawsze,

kiedykolwiek powiesz: myślę o żonie i dzieciach, zawsze znaczą dla mnie twoje słowa tak: myślę o dziewczynie.

— Czy już skończyłeś, Głosie Sumienia?

— Ucichłem.

— A więc słuchaj. Czy możesz sobie wystawić jakiekolwiek społeczeństwo bez dziewczyn? Czy bez mienia dziewczyny własnej może powstać, może się urodzić społeczeństwo? Odpowiedz, Głosie Sumienia. Milczysz? Ja myślę. Słuchaj: ja myślę, iż największem dobrodziejstwem, większem nad wszelkie poezye, sztuki, bohaterstwa i piękna, jest to, że zniewalam dziewczynę, aby mi to społeczeństwo rodziła. I przyjemny i pożyteczny i wielki to czyn! Przez dziewczynę mam dzieci, mam ludzi, mam naród.

— Masz naród szarańczy, której wszystko jedno, co pożera, byle tego było wiele i byle się można było wiele plenić. Ale pamiętaj, że naród-szarańczę wytępia naród inny, który żyje nie tem, co pochłania, jeno tem, co tworzy.

Tu Głos mój Sumienia zcichł, ponieważ zdawało mu się, że mię temi słowami przekonał. A jakże! O głupie Sumienie — wykrzyknąłem, gdyż oto wbiega do pokoju (przez moją pokojówkę sprzątniętego) moje dziecko, moje cudne, ukochane dziecko. Jest ubrane w buciki rosyjskie, w jedwab francuski, ma w rączce zabawkę niemiecką, w buzi czekoladę szwajcarską i, czy

uwierzycie, w siódmym roku będąc, już umie trzy języczki. Za moją dzieciną kochaną wchodzi do pokoju moja rozkoszna, taka moja-moja, taka już nie-niepokojąca, taka już w stanie uspokojenia i ubłogosławienia moja żona.

KONIEC TRAGEDYI

Poczynając od legendowego Edypa, który uwiódł matkę i popełnił ojcobójstwo, aż do naszego księcia Hamleta, rozmyślającego nad tem: czy zabić? czy nie zabić zabójcę swego rodzica? — tragizm był kołem, kręcącym się na zbrodni, jak na osi, tragizm był kołem występków *(vitium)* — *circulus vitiosus,* a tragedya była skandaliczną, sensacyjną kroniką.

Zdrada, przeniewierstwo, uwiedzenie, kradzież, morderstwo, mężobójstwo, żonobójstwo, samobójstwo, chciwość, łakomstwo, cudzołóstwo, gniew, pycha okrucieństwo, niewola i t. d., i t. d., i t. d. Wszystkie grzechy główne i poboczne stanowiły materyał tragedyi.

Owego zdradziła żona, ową — mąż; tamtemu sprzeniewierzyła się kochanka, tej — kochanek; jednemu zabrano ojczyznę, innemu — trzos; jeden przegrał powierzony mu depozyt: musiał przegrać; drugi sfałszował weksel: musiał; trzeci uwiódł: musiał; czwarty zabił: musiał...

Oto na scenę teatralną, tragiczną, wylewają się,

niby z jakiegoś podziemnego kanału asenizacyjnego, ludzkie obolenia, gnoje i skancerowania, pomieszane z różem i szminką — prawdziwy świat materyalny zepsuty. Prawdziwa z owrzodzeń sącząca się m a t e r y a.

Scena wyrzuca to przed nasze zdrowe i piękna wyglądające oczy: — litujcie się! wzruszajcie się, płaczcie! Scena tragedyi — to żebrak, starający się wzbudzić w nas litość okazywaniem swych ran i owrzodzeń, — żebrak porażony przez Fatum.

W czasach, kiedy Bóg żył na zewnątrz człowieka i stanowił rządzący jego losami fatalny imperatyw, tragedya miała grozę i podniosłość i stanowiła piękno.

Oto człowiek, dobry z natury, a jednak popełnił kazirodztwo i ojcobójstwo. Chce inaczej, a jednak musi robić okropności, ponieważ *sic fata tulerunt* — tak chciał Bóg. Można płakać nad tem, że z jednej strony istota dobra (człowiek) postępuje niegodziwie, a z drugiej strony, że istota doskonała (Bóg) jest »machinatorem«, sprawcą złego.

Ale dziś czasy inne. Tyleśmy lat uprawiali kult boskiego Fatum, że nakoniec ten *Deus ex machina* przeistoczył się w krew i w ciało swoich czcicieli. *Deus* zewnętrzny, *deus* — imperator, *deus* — Fatum stał się wewnętrzną naszą istotą. Fatum weszło w nas. My jesteśmy fatalni. My stanowimy o swojej doli, o swoim losie.

A skoro tak, to już naszą jest rzeczą, aby ten

Bóg w nas mieszkający nie był dostarczycielem jeno skandalicznych tragizmów.

Skoro my sami jesteśmy odpowiedzialni za nasze uczynki, wtedy cała świętobliwość, cała boskość tragizmu załamuje się, powszednieje. Zamiast tragizmu jest dziennik.

Wszakże my sami ustanawiamy podłoże naszych uczynków. Jeżeli te uczynki są złe, widać, żeśmy złe ustanowili podłoże. Zmieńmy je i nie upatrujmy w tem tragedyi.

* * *

Dla czasów, składających odpowiedzialność za swoje postępki na Fatum; dla epoki, uznającej fatalną niewolność woli, czyli korzącej się przed niewolą, cały byt — to albo ślepa bachanalia, albo ślepa tragedya. Ale w czasach, dla których fatalizmu niema, byłoby trwanie w więzach absurdem. Jeżeli kogoś więżą *par force*, to może być tragiczne. Ale gdy ktoś dobrowolnie siedzi w lochu i z onego nie chce się ruszać, to staje się farsą.

Żona, którą dawniej, wobec wiary w fatalną niezłomność pęt małżeńskich, w pożyciu z głupim i tyrańskim mężem skazywał ten fatalizm na mękę, tragiczną być mogła. Ale dziś żona, która, uznając »tyrańskość« męża i zwąc go za to »poganinem«, jednocześnie takiemu mężowi »pogańskiemu« nie chce odmówić współ-

działania, gdy ją »*pour faire un chrétien*« zniewoli: żona taka cierpiąc ten »chrystyanizm«, tragiczną, pardon, nie jest...

Jeżeli do kobiety ma większe prawo ten, kto się z nią pierwej poznał; jeżeli ten fatalny, chronologiczny autorytet jest podłożem naszego życia, to zdrada tej kobiety dla zdradzonego jest tragedyą. Ale jeżeli o sympatyi nie decyduje chronologia, tylko coś innego — tragizm nie ma gruntu, na którym mógłby się krzewić. Fatum czasowe stało się bezkreślną wolnością. Łzy przeistoczyły się w uśmiech, gnój — w kwiaty. Zatęchłość materyalna — w duchowy aromat.

Człowiek ranny, chory, kaleki mógł mieć tragizm, gdy nie można go było niczem uleczyć. Ale gdy tenże człowiek, mając balsam na niedolę skuteczny, trwa w onej i rozgrzebuje swoje rany, aby w nas litość wywołać, taki człowiek jest... żebrakiem.

Artysta, którego żądz fatalizm skazywał na wyjałowienie, mógł być tragicznym, ale dobra wola usprawiedliwiająca swoje twórcze lenistwo zbytkiem temperamentu jest... motywem operetki.

Abraham, zabijający Izaaka, mógł być tragicznym, ponieważ ofiarę tę spełniał na rozkaz okrutnego Boga. Dziś Abraham byłby zwyczajnym, sądownie, a nie scenicznie, rozpatrywanym synobójcą.

Patryota, którego fatum zmusiło do pobytu zdala od ziemi rodzinnej, mógł mieć w sobie tragizm. Ale

tenże patryota, skoro ma wszelką możność powrotu do »ukochanej ojczyzny« i pracowania dla niej, a mimo to siedzi za granicą, podchorowując dla rozrywki na nostalgię i gwałtem uważając się za ofiarę złego losu, lub skarżąc się obcym narodom na swoją niedolę — taki patryota jest... *sit ei patria levis!*

*
* *

Tragizm występku, tragizm zbrodniczy, tragizm fatalny, tragizm materyi dziś już się zagoił.

W czem innem leży dziś piękna tragizmu istota.

Wiemy jak łatwo jest wogóle przedstawiać ludzką wadę, ludzki grzech, ludzki występek, ludzkie kalectwo — ujemność słowem. Dlatego łatwo, że materyału jest nadmiar. Sięgnąć tylko ręką, napomknąć — wszyscy wiemy, o co chodzi.

— A! — wołamy — to takie prawdziwe! takie podpatrzone! (autor musi koniecznie podpatrywać przez dziurkę od klucza!) — to takie z życia wzięte!

— I takie ujemne! — powiedzmy.

Niestety, z życia wzięte rzeczy są ujemne!

Ujemnych rzeczy w życiu jest tak dużo, tak tragicznie dużo.

Nadmiar rzeczy ujemnych, z życia wziętych, jest dzisiejszym tragizmem.

Tyle jest rzeczy z życia wziętych, tyle się z ży-

cia bierze i brać z życia będzie i niema pewności, że się to branie z życia, to babranie się w życiu kiedyś skończy, że się te ujemne, brane, babrane z życia rzeczy kiedyś wyczerpią.

I to jest dziś tragizmem. To jest dzisiejszy *circulus vitiosus*. Im więcej się rzeczy »z życia bierze«, tem ich, tych rzeczy życiowych ujemnych, nie tylko że nie ubywa, ale na odwrót: przybywa ich. Kto zło bierze z życia, ten zło życiu przymnaża.

I to jest naszym tragizmem.

Dzisiejszą tragedyą jest przemoc ujemności, babranych z życia i branych i nieprzebranych.

Tragizmem dziś jest rzadkość dodatnich rzeczy — rzeczy nie branych z życia, ale życiu d a w a n y c h.

Dodatniość — to rzecz tak obca, tak trudna, tak wyjątkowa, tak nieludzka, tak »nie z życia wzięta«, tak nadżyciowa, tak nadludzka!

Tak piękna!

Tragizmem dzisiejszym jest to, że trudno żyć człowiekowi nie z życia wziętemu, nie zabójczemu, nie przeniewierczemu, nie żebrzącemu litości, nie ubabranemu w »materyę« skancerowań społecznych.

Tragedyą mogło być zabójstwo w kraju pogodnego nieba, w kraju ciszy i słońca, w kraju ducha. Zabójstwo w kraju zbójeckim jest farsą. A tragedyą w takim kraju staje się egzotyzm, rzadkość człowieka, nie zabójczego ani z własnej woli, ani z rozkazu kacykowego fatum.

Tak jak ongi to Fatum, zniewalające do złego, było na zewnątrz człowieka, tak że człowiek złym był tylko przypadkiem (fatalnym): tak dziś dobrym można być tylko przypadkiem (wyjątkowym), tak dziś *To Ono*, skłaniające ku dobru, jeszcze jest poza nami, jeszcze nie zagościło w nas samych.

Ale kiedy przebędziemy ten trudny proces inkorporacyjny, kiedy przeżyjemy tę tragedyę uistnienia się w nas dobra, wówczas zaczniemy żyć na nowem podłożu pięknego beztragicznego życia.

Nie będziemy nic »z życia brali«: będziemy wszystko »życiu dawali«.

Nie będziemy silni tem, co bierzemy, jeno tem będziemy potężni, co dajemy.

Tragedya, jak zła zaraza, przeminie.

Sztuka, jako wyraz mocy radosnej, wyzwoli się od pierwiastków tragizmu: boleści i męki.

Poeta-tragik, który »za milion« cierpiał, będzie się »za milion« radował.

Tragedya — to ciemna, burzliwa, *fatalna noc*. Ale po nocy tej nastanie dzień jasny, promienny, biały, czysty, *wolny dzień*.

DZIEŃ I NOC

Dzień i Noc — to przeciwieństwa różniące się tak, jak się różni dzień od nocy.

W Dzień jest widno, a w Nocy — ciemno. Prawda ta, na pozór każdemu znana, kryje w sobie, niby strąk, ziarna prawd innych.

Dzień, jeżeli jest pogodny, słoneczny i przejrzysty, człowiekby patrzał i patrzał, i dwóch mu oczu do patrzenia za mało. A w nocy oczu prawie że nie potrzeba: choć je wykol.

I rzecz dziwna. W Nocy, o jeden zmysł, o wzrok mniej posiadając, człowiek staje się zmysłowszy, i daje posłuch ciemnym zachceniom, które za dnia milczą.

W dzień panuje widzenie, a w Nocy — przywidzenie. W Dzień — moc, a w Nocy — przemoc.

Dzień jest jawny, otwarty i wolny: można wszędzie chodzić śmiało i o nic nie trzeba się potykać. A Noc jest potajemna, tajna, pełna wart, kryjówek,

zasadzek, ciemnic i ostrogów; dlatego w Nocy trzeba chodzić ostrożnie, z wyciągniętymi przed się lub nad się *(hands up)* rękami i omackiem.

Dzień — to obszar swobodnej myśli i twórczego promieniowania. Noc — to otchłań lepkich, oślizgłych i moczarowo-zdradliwych sentymentaliów.

Chociaż dnie bywają też niepogodne i pochmurne, jednak najchmurniejszy Dzień jeszcze widoczniejszy od najoświeceńszej Nocy.

Są to wszystko prawdy jasne jak dzień, jak przestrzeń oczywiste, i każdemu, kto wstał rano, do stępne.

Więc, żeśmy te prawdy odkryli, nie wymagamy za to ani podziwu, ani pochwały, ani pochlebstwa, ani posłuszeństwa, ani wierno-poddańczości. I ktoby w te prawdy nie wierzył, nie będziemy go za to pakowali do ciemnicy, ani do ostroga, ani do innej tajnej kryjówki.

Jest Dzień i jest Noc. Kto woli być dniem, niech sobie będzie dniem, a kto miłuje noc, niech sobie będzie nocą. Ów lubi słońce, a tamten chroni się od niego pod parasol. Nam to wszystko jedno: nikogo na tę lub inną drogę nie namawiamy i nie wciągniemy za rękaw gwałtem. Pozwalamy każdemu otworzyć, ile tylko ma oczu i patrzeć.

Jest Dzień i jest Noc.

Dzień jest twórczem życiem ludzi mających do

czynienia z barwą, z igraniem linii, ze światłem białem, w którem się, niby w melodyę duszy, siedm kolorów splata.

Noc jest żerowiskiem istot mrocznych, nietoperzowatych, sowich, omaczniczych, wampirowych i hyenicznych.

Noc — to smutek i melancholia, która pożąda hulaszczych, pijanych, w niepamięć wtrącających uciech, aby czarność swoją rozproszyć.

Dzień — to bóg słoneczny, który z bezwzględną dziecięco-naiwną bezobłudnością ujawnia szminkę starczej rozpusty nocnej. Dzień wystawia pod pręgierz wszelką sztuczność, wszelką mętność, wszelką farbowaność lisią, wszelką borsuczą ponurość i zasklepioność, wszelką chytrość i wszelki faryzeizm twarzy zbrużdżonych, zasłanych sieciami zmarszczek.

Dzień — to niebo szafirowe, to obłoków złocistych kędziory, to wodna przezroczość, to szmaragd liści.

W Dzień bawią się po ogrodach zielonych i kwiecistych dzieci, strzeżone przez bony. *Bona* — to istota dobra. Wogóle Dzień jest życiem ludzkiej połowy dobrej. Nie chcemy przez to mówić, że bona w nocy nie żyje, tylko że bona w nocy przestaje być boną, ponieważ w nocy dzieci śpią.

Czuwają zaś w nocy panowie Nocy, posiadający dobra *(bona)*, lubo sami nie będący dobrem.

Tak, Noc przeżuwa, przetrawia, asymiluje w kanałach pokarmowych, w przewodach kiszkowych i w odwłokach żer zdobyty, złupiony i wydarty pracującemu Dniowi słonecznemu.

Smuciłoby nas to i zasępiało, jak nocne niebo na nowiu, gdybyśmy nie wierzyli w nieustanną, odradzającą się nieskończenie, moc dzienną!

Noc rzuca się, niby czarna puma, na Dzień białorunny, zatapia w niego szpony czarne i z niebieskich jego oczu jasnych życie wydziera. Wydarła i połyskując fosforem swych ślepi brunatnych, łupieżczych, delektuje się żerem. Ale Dzień nie ginie. Nazajutrz powstaje niepamiętny krzywd, promieniujący, twórczy i dobry.

Jeszcze noc rozpościera czarną, niby kir trumienny, płachtę żałobną; jeszcze seciny hyen nie zdążyły pochować w kryjówkach odwłoków żerem napęczniałych; jeszcze nie pierzchła wilgło-kazamatowa woń nocna: ale już na wschodzie powstał Dzień i powiewa czerwono-zorzanym, na świetle grającym sztandarem wolności.

Wszystko, co młode i do życia zdolne, wykwita w radość; a wszystko, co spróchniałe, co ma w sobie zaród śmierci, wszystko, co mroczne — przepada.

Oto władzę swoją utwierdza życiotwórczość, ofiarność, entuzyazm, miłość, wyrzeczenie się wszystkiego, czyli świetlane wszech-ogarnięcie.

I rodzi się Dzień, jak rumieniec na białych licach dziewczęcych, jak smuga włosów złotych, złoto-lnianych, złotolitych włosów na czole jasnem, rozżarzonem myślą beznienawistną, bezżądną, przenikliwą myślą. Staje się Dzień, staje się Światło.

MYŚL

Zamożny dom obywatelski. Meble w stylu wszystkich Ludwików: i świętych, i sprawiedliwych, i grzesznych, i małych, i wielkich. Wszystkie style w zamożnym domu obywatelskim, przechowującym święcie instytut własności, są, ale niema jednego stylu — własnego. Daleko wygodniej styl sobie kupić i mieć, aniżeli go wymyślić. To też garną się w zamożny dom obywatelski rzeczy kupne. Jest ich kupa. Te przyemigrowały z Francyi, tamte z Anglii, z Włoch, z Holandyi, owe z Rosyi, z Japonii, z Mongolii, z Syamu i z Indyi. Nawet z państwa Niebieskiego są rzeczy, ale niema żadnej z kraju prawdziwego Nieba — z kraju obłoków, światła, gwiazd, słońc i przestrzeni bezbrzeżnej, czyli wyobraźni. Niema w zamożnym domu obywatelskim rzeczy, którejby własna myśl była stylem.

W takim domu zamożnym, pełnym stylów wszystkich, prócz własnego, siedział obywatel i wyjątkowo myślał.

Jeżeli mówimy: obywatel myślał, to nie dlatego, abyśmy czytelnikowi, który jest może sam zamożnym

obywatelem, chcieli insynuować potrzebę myślenia. Bynajmniej. Stwierdzamy tylko fakt wyjątkowy, że pewien zamożny obywatel myślał, i nic więcej. A od czytelnika żądamy jedynie czytania. Myśleć obowiązany jest autor. Czytelnik dlatego właśnie tak się nazywa, że tylko czyta.

Myśl, jak wiadomo, jest zanikiem »życia« i wszelkiego obywatelskiego ruchu. Czy może myśleć człowiek, jedząc, pijąc, spacerując, tańcząc, wygłaszając mowy na wiecach, uczęszczając do teatrów warszawskich i agitując na wyborach, czyli żyjąc wyborowo? Nie może, to pewna. Życie jest ruchem. Przy jedzeniu porusza człowiek wargami; pijąc, porusza grdyką (szybkość — jedno poruszenie na sekundę); chodząc i tańcząc, rusza nogami; mówiąc, ustami (szybkość głosu — 340 metrów na sekundę); siedząc w teatrze, porusza człowiek lornetką, głową, oczami i dłońmi (przy oklaskach); w czasie wyborów poruszają się namiętności, pieniądze i pięści. To jest tempo życia obywatelskiego dość szybkie. Prócz tych wymienionych form życia, są jeszcze takie: jazda konno i kolejowo, jazda okrętem, automobilem i balonem, aż wreszcie dochodzi obywatel do maksymalnego ruchu życia: do ruchu kuli rewolwerowej, karabinowej lub armatniej. To szczyt obywatelskości. Dalej zaczyna się już kraina myśli, czyli niebyt. Ale czy tu się kończy ruch? Czy myśl nie jest ruchem także? Sądzimy, że owszem, ale ruch myśli z pod praw obywatelskich się wymyka. Bo jakżeż określić ruch myśli?

Ruch, jako życie, rozumimy do pewnych tylko granic, mianowicie do granic kuli, to jest do granic kulistości, czyli do granic ziemskich, bo kulistość jest granicą ziemską, kresem życia ziemskiego. Poza tym kresem zaczyna się niebo, przestrzeń niezrozumiała i dla zmysłów niepojmowalna, a więc — niebyt. Jakże zrozumieć szybkość chociażby tylko światła, przebiegającego na sekundę trzysta tysięcy kilometrów? Dość sobie tę szybkość uprzytomnić, aby zadrżeć z oburzenia na tak waryacką ruchliwość. Szczyt ruchu obywatelskiego to — ruch kuli, a wszystek inny ruch poza tem — to absurd. Nie jesteśmy w stanie pojąć takiego ruchu, a wszystko, czego nie pojmujemy, uważać musimy za nonsens.

To o świetle. A cóż dopiero mówić o myśli, która niewątpliwie miliony razy jest szybsza od światła. Są gwiazdy, których światło, aby do nas na ziemię obywatelską przyjechać, zużyło, jadąc z szybkością kilometrów trzystu tysięcy na sekundę, lat tysiąc i więcej. A myślą możemy taką gwiazdę pomyśleć w tej chwili, zaraz, bez czekania. No, czyż więc myśl nie jest czemś potwornem, czemś niepojętem, nieuchwytnem, nieuległem i nie karnem, a więc karygodnem? Czyż myśl nie jest rozprzężeniem, rozedrganiem się swobody, rozpustą, zbytkiem i nadużyciem przestrzeni, wrogiem obywatelstwu? — Tak. Jest.

Jeśli więc miłe nam życie obywatelskie, nie myślmy!

Ale czytajmy!

Ślińmy palec, poruszajmy nim od ust ku książce z szybkością ślimaczej wędrówki i czytajmy. Stronica za stronicą, niech karty szeleszczą. Rozdział za rozdziałem, niech przepełza nam przed oczyma, niby krajobraz oglądany z okien szlafwagonu. Czytajmy! Niech książka za książką wypada z rąk naszych na kanapę Lui Katorza. Niech pokojówka w stylu Pompadour sprząta ją z kanapy i kładzie do szafki w stylu Lui Kęza, między grzbiety złocone w stylu Ampiru, obok posążku, sprowadzonego z Chin, tuż przy stalorycie angielskim, w sąsiedztwie niemieckiego słownika, i niech to wszystko ogarnie japoński... parawan!

Czytajmy! Uczmy analfabetów, zakładajmy czytelnie, biblioteki i wypożyczalnie i czytajmy! Czytajmy szybko, ale bez przesady, po obywatelsku. Oko czyta stronicę, powiedzmy, przez minutę, co czyni na godzinę stronic sześćdziesiąt. Ponieważ stronica ma przeciętnie ćwierć łokcia długości, to sześćdziesiąt stronic da łokci piętnaście. Na przemaszerowanie tej przestrzeni za pomocą nóg zużylibyśmy najwyżej sekund piętnaście. Czytanie więc jest pewnego rodzaju ruchomem życiem, daleko wolniejszem od chodu na piechotę, — wolniejszem ($60 \times 60 : 15 =$) 240 razy. To życia obywatelskiego drugi biegun. To ruchu godziwe *minimum,* to prawie nieruchomość (hypoteczna), poza której obrębem leży również niebyt.

Tak więc, obywatelskość leży pomiędzy czytaniem a strzelaniem z rewolwerów, karabinów albo armat. Czytajmy!

Siedząc przy samowarze z Tuły, pijąc herbatę z Kiachty, przegryzając biszkoptem angielskim od Włocha Lardelli'ego i paląc papieros turecki wyrobu Szaposznikowa z Moskwy, siedźmy i czytajmy ostatnie spolszczenie powieści Conan-Doyla, z szybkością łokci piętnastu na godzinę. Jest to proces życia powolny, ale za to pewny i bezpieczny.

Poza tem życie to — analfabetyzm lub waryactwo, ciemnota lub oczom szkodliwa jarzącość. Czytajmy!

Tych, którzy pragną żyć światłem; tych, którzy waryacką myślą wybiegać chcą w przestrzenie — zguba czeka. Twarde prawo obywatelskie, prawo bezwładu zgasza ich i unieruchomia w ciemnicach.

My czytajmy!

SŁUGA I PAN

Żył sobie Pan i żył Sługa. O Słudze nie można powiedzieć: żył sobie, bo Sługi życie należało do Pana.

Sługa był szczupły i chuchro: Pan — gruby, korpulentny i postawny. Pan panował nad Sługą, a służył tylko swoim upodobaniom: Sługa służył Panu, a panować umiał tylko nad sobą. Pan lubował się w koniach, psach, kobietach, w jadle, w piciu i w innych tym podobnych darach Stwórcy: Sługa z zamiłowaniem uprawiał twórczość.

Pana i Sługę wiązał najidealniejszy stosunek odbiorcy z producentem. Sługa tworzył a pan używał.

Sługa umiał wykonywać wszystkie możebne w życiu ludzkiem prace: warzył jadło, sprzątał pokój, tkał sukno i płótno, garbował skóry, szył ubranie i buty, i splatał batog, którym bywał przez Pana bijany. Karabelę, wino, mody i inne rzeczy, tyczące się splendoru, Pan sprowadzał sobie z zagranicy.

Poza tem Sługa nawet Pana uczył, ale że mu przy tej nauce nie było wolno używać batoga, pański

stanowiącego przywilej, więc Pan ledwie że umiał czytać z elementarza, również napisanego przez Sługę.

Sługa wszystkie usługi umiał wykonywać. Jednej tylko rzeczy nie potrafił: chcieć.

Chcenie było rzeczą pańską. Cokolwiek się Panu zachce, Pan bierze za batog i bije, a Sługa natęża siły dotąd, aż pożądaną usługę spełni.

A Pan od Sługi chciał wszystkiego.

— Napisz mi, Sługo, list do miłośnicy — chce Pan.

I Sługa pisze Panu list do miłośnicy.

— Daj mi swoją żonę — chce Pan.

I Sługa daje Panu żonę.

— Daj za mnie życie — chce Pan.

I Sługa daje życie za Pana.

I jednemu dobrze i drugiemu dobrze. Sługa rad, że może rozwijać swoje zdolności twórcze, swoją ofiarność i swoje poświęcenie. Pan kontent, że ma na kim wywierać swoje chęci. Sługa zadowolony, że może ćwiczyć się w kunsztach: Pan — że może ćwiczyć się w ćwiczeniu Sługi i ulepszać swoje własne pańskie chęci. Pan formował swoją wolność i użycie, Sługa kształcił w sobie posłuszeństwo i twórczość.

Pan, najadłszy się i napiwszy, kładł się, rozkazywał słudze zzuwać mu buty, łaskotać się w pięty. Sługa łaskotał, a pan sobie zwolna zasypiał. Z ręki, snem sparaliżowanej, wysuwał mu się batog, a z otwartej jamy ustnej wypływało chrapanie—rzetelne, zdrowe, pańskie chrapanie.

Sługa miał wówczas wolność odejść i zająć się robotą.

Przebudziwszy się, Pan, który ani chwili nie mógł wytrwać bez kogoś sobie podwładnego, natychmiast dzwonił na sługę, aby z nim pogawędzić.

— Sługo, a wiesz ty, com wczoraj u sąsiada wypił? Gąsior, panie dobrodzieju, węgrzyna. Co? Dziwisz się?

Sługa dziwi się, ale widać nie na tyle, aby pan mógł czuć się bardzo pochlebionym.

— Pójdź-no tu sam.

Sługa podchodzi bliżej. Pan bierze go za kudły, targa i w dodatku przemierza mu grzbiet batogiem.

— Masz oto, żebyś lepiej pamiętał, co ci mówię.

Sługa zaczyna płakać.

— Płaczesz, gudłaju? No, pocałuj mię w rękę, przeproś mię za to, żem się na ciebie, jucho, uniósł. I niech będzie zgoda. Dziękuj, szelmo, Bogu, że mnie masz za pana... Patrz-no tu: zrobiła mi się na pysku wrzodzianka. Wyciśnij materyę. Lekko, psia... cię!... Oj, boli, boli!... Lekko, mówię, bo batem... No. Więc, uważasz, węgrzyn był przedni, z takim kwaskowato-goryczkowatym smakiem... Ale ty... szkoda tobie o tem mówić, bo się nie znasz. Bo naprzykład jaki smak dla ciebie najlepszy?

— Czy ja wiem?... Słodki?

— Cha, cha, cha! Słodki! O biedoto! A kwaśne

ogórki? a ser gnojony? a rydzyki? a korniszonki?... A żebyś ty, słodkolubie, skisł. Chodź tu bliżej, wezmę cię na egzamin. Jakie wino najlepsze?

— Wino?... Słodkie.

— Nie bluźnij! Sąć wprawdzie słodkie wina z cukrem i z rodzynkami i z innem świństwem dla białogłów, aleś ty chłop. Pijesz, jucho, gorzałkę?

— Ja ślubowałem nie pić.

— Patrzcie-no się, widzicie go. Ślub? Ja tobie dam ślub. To do biczowników się zapisałeś u kolki? Czekaj, ja cię tu pobiczuję. Pójdź sam bliżej.

Sługa podchodzi bliżej. Pan zdziela go parę razy batogiem. Następnie idzie do kredensu, wlewa w kielich mocnego węgrzyna i rozkazuje słudze wypić.

— Pij, jucho, za moje zdrowie, a nie — to w dyby i do lochu.

Sługa pije, ksztusi się i spluwa. Pan spogląda na to z obrzydzeniem.

— Matko Boska, a to cap! Oj, prawdę powiadają: guzik chłopu nie zegarek. No, powiedz mi teraz: jaki koń najlepszy?

Sługa, sądząc, że wszystkie konie jedzące obrok polski są polskie, powiada:

— Koń polski najlepszy.

— Łżesz, bo arabski. A powiedz: jaka szynka najsmaczniejsza?

— Arabska.

— Waryat! Polska szynka najlepsza — litewska. Co zaś do samych świń to najlepsze są w Niemczech. No, a powiedz teraz: jaki naród ma najtęższą głowę?

— Polski.

— Głupiś. Angielski. A kto ma najwytrzymalszy żołądek?

— Niemiec.

— Nieprawda, bo Polak. Żołądek to podstawa szczęścia. Dlatego Polak, uważasz, wszystko, co inne narody wymyślą, spożytkowuje i asymiluje, i to mu idzie na zdrowie. A powiedz mi teraz: jaka kobieta najlepsza?

— Polka, bo jest uczciwa i ładna.

— Ba, a najgłówniejszej rzeczy nie wiesz. Najlepsza kobieta to kobieta z temperamentem, z pieprzykiem, z kwaskowatą goryczką, z korniszonkiem, uważasz... Ale ty tego nie rozumiesz. Kobieta najlepsza, uważasz, taka co toby umarłego na nogi postawiła... Pamiętam, raz miałem taką. Gęba tak sobie, ale co za temperament!... Gryzła! Co?

Sługa dziwi się, ale trudno mu zrozumieć, że największą zaletą kobiety jest własność psa — gryzienie.

— Takie kobiety, uważasz capie, ma tylko Francya i Hiszpania, no i kraje Afrykańskie. Nie posiadasz, mój bracie, kultury. Oj biedny, biedny nasz lud. Kiedy toto wyjdzie na ludzi? Zapal no mi fajkę.

Sługa odnajduje koniec długiego, długiego cybucha i tam zapala Panu tytoń.

Pan rozciąga się na sofie, pali, pali, nareszcie po trochu zasypia.

Tak sobie żyli szczęśliwie Pan ze Sługą. Pan interesował się tylko rzeczami dotyczącemi jadła, picia, kobiecości i splendoru. Wiedział jaki kraj ma najlepsze konie i psy, potrawy, kurtyzany. To znał dobrze. Ale gdzie byli najlepsi ludzie? O czem ci najlepsi ludzie myśleli? co robili? w jakim kierunku wogóle postępowało, to, co się ani jadłem, ani piciem, ani pieprzykiem nie mierzy? — o to Pan się nie frasował.

Sługa, bity batogiem, rozwinął w sobie zalety moralne takie jak: cierpliwość, posłuszeństwo, wytrzymałość na ból, pracowitość. Ale w rzeczach kultury nie mógł Panu dogodzić. Prócz własnych szynek i własnego żołądka, wszelka inna rzecz była Panu milsza, sprowadzona albo od Niemców, albo od Francuzów, albo od Anglików, albo z krajów Afrykańskich lub Azyatyckich.

Więc Niemcy, Francuzi, Azyaci i inne nacye pomyślały sobie tak: jeżeli Pan Polski, o swoje nie dbając, sprowadza sobie od nas i modę, i naukę, i handel, i sztukę i religię, to pójdźmy i my do niego we własnych osobach, a będzie nam tam dobrze.

Jakoż przyszli, zabrali Panu kraj, osiedlili się w pańskim pałacu, a samego Pana, odebrawszy mu karabelę i batog, i zostawiwszy mu tylko fajkę, wraz ze sługą zamknęli do lochów.

I zaczęła się ekspiacya — okres pokutny.

Pan cierpiał za to, że, nie panując nad sobą, opanował Sługę; Sługa cierpiał za to, że, panując nad sobą, nie umiał zapanować nad Panem.

W niewoli, Sługa, dla rozrywki pańskiej, przemycał gorzałkę, pozwalał się targać za kudły i kopać; łaskotał Pana w pięty, wyciskał mu z wrzodzianek ropę i układał mu pańskie patryotyczne śpiewy.

Pan pił gorzałkę, palił fajkę, klął swoich ciemiężycieli setkami tysięcy piorunów i przyśpiewywał sobie taki śpiew:

Żem cierpiał wiele,
Boże mi przywróć
Bat i karabelę.

Ułożył Panu tę piosenkę Sługa. Kochając swego tyrana w szczęściu, nie przestawał kochać go i w niedoli, wiernie i poddańczo.

Siedzą sobie tak Pan i Sługa w kozie i siedzą.

— A powiedz no mi — zagadywał Pan — jakie żelazo jest najlepsze?

— Polskie.

— Eh ty, Sługo, Sługo! U ciebie zaraz wszystko co najlepsze to polskie. Polsce żelaza dostarczają Niemcy. Ta krata, co tu widzisz, to z niemieckiego żelaza. A powiedz mi, jakie pilniki najlepsze?

— Może... niemieckie?

— A toś trafił! Angielskie, uważasz. Angielska stal piłuje żelazo niemieckie, jak masło. Powiedz mi teraz: jaki wogóle z metalów najszlachetniejszy?

— Polski.

— Co? ty znowu swoje? Polski i polski! Najszlachetniejszy metal — złoty.

— Polski, mówię. Toć się zawsze mówi: złoty polski, a nie złoty niemiecki.

— Mój bracie, złoto *Germaniae natum*, *Poloniae educatum*.

— Bo jeno edukacya polska robi ze złota dukat. A niech mi teraz i wielmożny Pan coś-nie-coś odpowie. Ten *loch* niemiecki, czyli ta nasza polska dziura, albo *koza* jakiego jest rodzaju?

— No, żeńskiego. A co?

— A jak od koza rodzaj męski?

— No... kozak... te — kozieł.

— Dobrze. Więc od żeńskiej kozy jest mocniejszy męski kozieł. A co mocniejsze od kozła?

— Co? Nie wiem.

— Polski kozik. O, widzi wielmożny Pan, ten oto kozik, co go trzymam i com go sobie z polskiej kosy ukuł. Widzi Pan?

— Widzę, widzę. I cóż z tego?

— A nic.

— No mów, jucho, pókim dobry.

— A nic.

I Sługa zamilkł i, mimo targania za kudły, nic Panu nie mówił.

Ale po nocach kozikiem swoim kratę więzienną piłował i piłował, aż po wielu trudach, po pracach usilnych, po przebyciu trwóg licznych, po wielkich natężeniach energii, Słudze udało się kratę przepiłować.

— Czy widzi wielmożny Pan ten kozik? — rzekł wówczas, pokazując Panu wytarte do połowy osterko.

— Widzę — rzekł Pan: — I cóż z tego?

— A to, iż polska energia przepiłowała niemiecką kratę nie gorzej od angielskiego pilnika. Kozik mocniejszy od kozy. Chodźmy na wolność.

— Łatwo ci mówić. Ale ja nie władam sobą. Polska gorzałka odjęła mi nogi. Jak myślisz: czyja pedogra jest najlepsza?

Widząc taki upadek swojego władcy, teraz niemal bezwładnego, sługa rozpłakał się.

— Oj, co jak co, ale bieda polska chyba jest największa. I już chyba dychtowniejszej biedy nie musi mieć ani Niemiec, ani Francuz, ani żaden Anglik. Ale toć ja mam jeszcze dość polskiej mocy. Siadaj mi, wielmożny Panie, na barana.

Pan siadł Słudze na kark, do czego był od dawna wprawny, i pozwolił się nieść.

— Jeno trza być cicho — zalecał Sługa: — Milczeć, póki nie będziemy na swobodzie zupełnej.

To mówiąc, wylazł z Panem za kratę i zaczął z nim na karku iść.

Idą, idą... Ale Pan, jako stworzenie do panowania nad sobą nie przywykłe, nie umiał się powstrzymać i nim jeszcze wyszli poza obręb więzienia, jął na całe gardło śpiewać:

Żem cierpiał wiele,
Bóg mi przywróci
Bat i karabelę.

Usłyszała to straż, przybiegła i uciekinierów zapakowała do lochu na nowo.

MIŁOSIERDZIE

Jeśli od dobroczynności
W życiu coraz więcej złości,
Gdy nic lepiej się nie dzieje,
Niech przepadną dobrodzieje!

V. D. J. A.

I. — Człowiek, aby się dobrze czuł, musi myśleć o sobie, jeżeli nie najlepiej, to w każdym razie nie najgorzej. Myśleć o sobie dobrze można wówczas, gdy się coś dobrego robi. Dobrym uczynkiem jest dawać jałmużnę. Dzięki więc dobremu uczynkowi groszowemu zyskujemy o sobie dobre mniemanie. Dając żebrakowi groszy dziesięć, dojść możemy do stanu samouwielbienia. Żebrak zatem dla spraw naszych dusznych jest wielce potrzebny. Daleko potrzebniejszy, niż bogacz. Bogacza nie możemy tak, jak żebraka, zadowolić kilku groszami. Nawet dziesiątkiem rubli trudno bogacza uszczęśliwić. Nawet gdybyśmy bogaczowi oddali cały nasz majątek, to i tego byłoby mu nie dosyć. Bogacz, któremu nie możemy świadczyć dobra, psuje nas. Żebrak, któremu świadczyć dobro możemy, ulepsza nas.

II. — Zebrak wyciąga dłoń w kierunku naszych dwóch groszy, pożąda ich. To pożądanie żebracze może nam służyć za skalę oceny naszego mienia. Jeżeli, powiadamy sobie, ów nędzarz, to stworzenie, bądź co bądź, podobnie nam człowiecze, dwóch groszy tak pożąda i tak go one uszczęśliwiają, to my, którzy tych dwugroszniaków mamy bez liku, możemy się pod względem szczęśliwości uważać za bogów. Uważamy się i w tem boskiem samouważaniu wracamy do swojej kamienicy, która wydaje nam się stokroć milszą, bo wartościowszą. Zaś po zetknięciu się z bogaczem — przypomnijmy sobie — splendor całej naszej chudoby maleje, i czujemy się jakby od losu skrzywdzeni. Bogacz, choć mu nie dajemy groszy, dóbr nam uszczupla: żebrak, choć mu dajemy grosze, dóbr nam przysparza.

III. — Żebrak, — to istota nędznie ubrana, istota schorzała, kaleka, słaba i ledwie tyle mająca sił, aby wyciągnąć rękę po dwugroszniak, schować go do woreczka i na podziękowanie odmówić zdrowaśkę. W zestawieniu z takim nędzarzem, nasze ciało wypieszczone, zdrowe, krzepkie, eleganckie i kwitnące wydaje nam się godnem, jeżeli nie czci bałwochwalczej, to przynajmniej wartem jakiegoś mile ukołysującego samorespektu. Żebrak napełnia nas dobrem przeświadczeniem o naszych siłach i zdrowiu, podczas, gdy stykając się z kimś nie żebrzącym, z kimś krzepkim, eleganckim, zdrowym i pieszczonym, narażeni jesteśmy na upokorzenie.

IV. — Nawet dla ludzi nie bogatych i nie pieszczonych od losu, żebrak jest potrzebny. Jakiś rzemieślnik, jakiś wyrobnik, jakaś służąca religijna, dając jałmużnę, ćwiczy się w pamiętaniu o duszach zmarłych krewnych, powinowatych, lub znajomych. Taki dobroczyńca nabożny wymaga od żebraka zdrowaśki na intencyę dusz. Uczy się więc tu rzemieślnik i uczy się tu służąca za tani grosz wiary w dusze, wiary w skuteczność zdrowasiek, odklepanych za grosze, które też, po pewnym krótszym lub dłuższym czasie, zazwyczaj wpływają do składów ze sprytami, czyli, na upartego — z duchami *(spiritus)*. Pobożna intencya za dusze zmarłych wyparowuje z odorem spirytualiów, mniej lub więcej czystych, tam, dokąd ją przesłać życzono, to jest — do czyśćca.

V. — Znamy następującą sztuczkę z psem. Kładzie się psu na nos, przypuśćmy, kęs chleba, i każe się psu, aby ten kęs na nosie trzymał; zjeść go nie wolno mu, aż dopiero za naszym rozkazem. Wskutek tego, z jednej strony, psiej, wdrażamy w zwierzęciu wstrzemięźliwość, posłuszeństwo i poczucie obowiązku, a z drugiej strony — naszej, ludzkiej, my sami ćwiczymy się w rozkazywaniu, w drażnieniu i w potęgowaniu głodu cudzego, wogóle — w rządzeniu. Tę korzyść moralną, którą nam pies daje, mieć możemy zapewnioną i ze strony żebraka. Umieszczamy mu na dłoni grosz i zmuszamy go z tym groszem wyczekiwać póty, aż mu przybędzie grosz

drugi, i dopiero za to będzie mógł sobie kupić kęs chleba, albo i bułkę, i zjeść, jak pies, po długiem wyczekaniu.

VI. — Ażeby zrobić majątek, litość jest zbyteczna, powiedzmy — szkodliwa. Ale majątek już zrobiwszy, litość mieć musimy. Litość jest jakby kwiatem majątku, zrobionego bezlitośnie, — kwiatem, który barwami tęczówek każe nam zapomnieć o nie tęczowej glebie, z której wyrósł. Litość — to jakby orchidea bezlitosnego groszoróbstwa. Litość ażeby w sobie módz wykształcić, należy mieć kogoś litość wzbudzającego. Misyę tę spełnia żebrak. Im go więcej, tem bardziej my, litując się, szlachetniejemy, łagodniejemy, kształcimy w sobie dobroć społeczną. Od nas, od filantropów, zależą losy ducha społecznego, a raczej dusz, którym przez żebraków wysyłamy za grób zdrowie w postaci »zdrowasiek«. Ci, którzy nie byli zdrowi za życia, dzięki nam, mają zapewnione zdrowie po śmierci.

VII. — Żebrak dłoń po jałmużnę wyciąga w kierunku ludzi jakich? W kierunku ludzi dobrze ubranych i, podług niego, bogatszych, a szczególnie zwraca oczy na tych, którzy robią nań wrażenie szczęśliwych. Ludzie nędznie ubrani, przybici, stroskani, lub płaczący — żebrakowi na nic, bo od nich datku się nie spodziewa. On pragnąłby widzieć naokoło siebie jaknajwięcej przechodniów o kieszeni pełnej grosza i z sercem pełnem filantropii. Żebrak więc pożądaniami swojemi stwarza chę-

dogo wyglądających, zamożnych i litościwie usposobionych obywateli. Na innych żebrak patrzeć nie chce, nie chce ich na oczy oglądać i najchętniejby ich usunął, nie tylko z przed kościoła, gdzie mu robią konkurencyę, ale wymiótłby ich z powierzchni ziemi całkiem. Tedy im więcej żebraków, tem bardziej ziemia byłaby od nędzy, od płaczu i od stroskania wolną.

VIII. — Bogacz wyciąga rękę w kierunku ludzi jakich: W kierunku ludzi źle ubranych, biednych, szczególniej tych, którzy wydają się nieszczęśliwsi, a więc za mniejszy lon pracować gotowsi. Bogacz więc pragnąłby widzieć naokoło siebie jaknajwięcej ludzi biednych, przybitych, stroskanych lub płaczących, — ludzi z kieszenią pustą i z sercem wyzbytem ze wszystkiego prócz uszanowania dla groszy, nad którymi władzę ma on, bogacz. Onby rad każdego innego człowieka, dostatnio się mającego, szczęśliwego i niezależnego usunąć z powierzchni ziemi, jeżeli nie całkowicie to przynajmniej ulokować go pod kościół. Wszakże on, bogacz, musi mieć na kim kształcić najwyższe dobro społeczne — litość. I skoroby wszyscy byli szczęśliwi, on, bogacz, najniezawodniej żyćby nie mógł. Tedy im go, bogacza, jest więcej, tem więcej na ziemi nędzy.

IX. — Uprowidowany w torbę żebrak, zająwszy swój posterunek uliczny lub podkościelny, wzdycha ku Opatrzności, aby mu zesłała na drogę jaknajwięcej lu ludzi z pełną kabzą. A bogacz? Bogacz, zasiadłszy przy

swojem biurku mahoniowem, albo tronując w sali giełdowej, aspiruje ku ludziom nie-opatrznym, aby ich mieniem kabzę swą nabiwszy, ich samych puścić z torbami. Żebrak pogląda ku ludziom szczęśliwym, szuka ich, wypatruje, czeka. Bogacz przymnaża światu biednych, rad widzieć ich jaknajwięcej, rozfilantropizuje świat, rozuboża, rozżebracza. Żebrak i bogacz — to stwarzające się nawzajem antytezy: dolina i góra; brak i wybryk; mizerya i otyłość; chleb suchy i kołdun litewski; pusta gęba i rozpusta; byt za pusty i zapusty; głód i obżarstwo; pokora i pycha; łachman i brokatel; ofiara i łupiezca; lód i piec, lud i kupiec; da i giełda; biedować i giełdować.

X. — Żebrak, to człowiek oswobodzony od wszelkiego mienia: nawet litości mieć nad nikim nie może, jako że sam najbiedniejszy. Nie ma nic, prócz swobody od wszystkiego. Bogacz ma, prócz swobody — wszystko. Bogacz ma wszelkiego rodzaju mienie, a więc: ma litość nad tymi, których doprowadził do nie-mienia; ma lęk o swoje własne mienie — lęk nie-mienia; ma strach o swoje zdrowie; ma trwogę o wierność żony, kochanki lub utrzymanki; ma »pietra« o kurs giełdowy; ma obawę o wzrost majątku współzawodnika; ma »boja« o swoją ambicyę, o swoją opinię, o swój autorytet; przeraża go trzęsienie ziemi, wybuch wulkanu i wyrzut sumienia; straszy go dżuma, cholera, mór, wojna, głód, ogień, zmiana rządu i nagła a niespodziewana śmierć,

przed bilansem a nawet i po bilansie i wyprowadzeniu salda.

XI. — Gdyby nie było bogaczów, nie miałby się kto lękać ani dżumy, ani powietrza, ani głodu, wojny, ognia, ani chorób; nie byłoby strachu o utratę żony, kochanki lub nałożnicy; nie byłoby drżenia o wzrost majątku współzawodnika, lub o zmianę rządu; nie byłoby obawy o trzęsienie ziemi, ani o jakąkolwiek inną katastrofę; nie byłoby dygotania przed nagłą a niespodziewane śmiercią. Nie byłoby nędzy. Gdyby nie było bogaczów... Ale my, którzy jesteśmy z bogactwem, na skasowanie nędzy przystać nie możemy. Nie chcemy zniesienia kalek, ponieważ bez nich zmarnowałby się nam lek po aptekach. Nie chcemy usunięcia garbatych, ponieważ bez nich nasza prostość zeszłaby na rzecz zwykłą. Nie chcemy wzniesienia dolin, ponieważ bez nich pozbawieni bylibyśmy gór widoku.

XII. — Gdyby dolinom zachciało się wynieść, musiałyby się w nie poobalać góry. Ziemia przybrałaby nudnie, matematycznie równą, bez urozmaiconych profilów formę. Gdyby nędza miała nie istnieć, musiałoby przestać żyć wyniosłe, pyszne, szczytne, o orlim, jastrzębim, sowim, sępim, kruczym, krogulczym, papuzim profilu bogactwo. Ludzie mieliby nosy bez malowniczych krzywizn i wkląśnięć; nie byłoby podbródków rozłożystych; brzuchów i pośladków, zarysowujących się jak Świnice i Giewonty; nie byłoby czaszek, jak Łysa Góra;

nie byłoby kłów ostrych, jak *pic'i;* nie byłoby oblicz od dobrobytu lśniących, jak *Alpenglühen.* I jeżeli nam miłe wszystkie te wyżynowe perspektywy, powinniśmy być za tworzeniem się nizin. Albowiem tam, gdzie kopie się dół, tam usypuje się góra, jako odpowiednik. Dobra kto kraju chce, niech nędzę tworzy, bogactwo samo się złoży, — urośnie, jak przy nizinie góra.

ZMOWA

Pewnego razu wszyscy żebracy zmówili się i urządzili bezrobocie.

Od dziś postanowili jałmużny nie przyjmować: zdechnąć, a nie brać: tak postanowiono:

Cokolwiekby ktoś litościwy dawał, żebrak spojrzy na dar z pogardą, odwróci się i odchodzi. A litościwa osoba zostaje przy swoim datku w dłoni, zbita z tropu, zmaltretowana, skrzywdzona, biedna i litość — ona teraz — litość wzbudzająca. Z miłosierdziem swojem cóż ma obecnie począć?

Każde napięcie sentymentalne musi mieć swoje odpięcie; każdy napływ uczuć musi być regulowany przez ich odpływ; każdy wybryk dopełnia się przez pewien brak. A że brak w danym wypadku postanowił przestać być brakiem, czyli dopełnieniem wybryku, więc wybryk, nie mogąc brykać do pełna, jął doznawać przykrych tego wyjątkowego stanu następstw.

Pewien bogaty akcyonaryusz, czyli działacz (ponieważ akcya znaczy dział albo działanie) — zjadłszy

wyborny obiad, uczuł coś w rodzaju litosnego ku ludowi popędu.

I zapragnął mieć przed oczyma kogoś, co byłby niezmiernie biedny, ale to tak biedny, że już nie można więcej. I tego biedaka on, akcyonaryusz, czyli działacz, chciał serdecznie, ale to tak serdecznie, że już nie można więcej, do serca przycisnąć, uściskać i dać mu... dać mu?... sto — powiedzmy — dwugroszniaków.

Tak nastrojony akcyonaryusz wyszedł na miasto, patrzy, ale nędzarza choć ze świecą szukaj — nie znajdziesz.

— Cóż to znów do stu dyabłów znaczy? Tam, gdzie ja działam, miałożby nie być nędzarzów? A to figiel.

Wydobył rubla, upatrzył sobie najgorzej odzianego przechodnia i rzecze:

— Naści, bierz!

— Co to? — oburzył się przechodzień: — Jałmużna? Niech pan da na kościół. Ja nie biorę.

Waryat, czy co? Idzie do drugiego.

— Na, bierz!

— Co? Jałmużna? Niech pan się każe za to wypchać.

Akcyonaryusz podchodzi do trzeciego.

— Na, masz, bierz! Darmo — bierz!

— Darmo? Niema głupich. Niech pan sobie to schowa na trumnę.

I tak jeden za drugim, nikt nie chciał ukoić litosnej żądzy działacza.

Co robić? Jest dobry, tkliwy, miłosierny, a tu nikt jakoś nie chce tego faktu ratyfikować, stwierdzić. Dowód własnej dobroci jest potrzebny. Jak żyć bez tego dowodu? Niema rady. Woła stójkowego.

— Tak i tak. Jest nędzarz, a jałmużny brać nie chce. Lud jest dziś jak prawdziwy lód: zimny i twardy i wyślizgujący się z rąk.

— Co? Jak? A ty suki synu! Bierz zaraz, kiedy ci jego błagorodie żałuje [1]). Bierz!

— Nie, nie biorę.

— Nie bierzesz? Ja ci tu zaraz... Ssssssiiiiiii! Stróż! Odprowadź go do cyrkułu. Tam ty, brat, weźmiesz.

Tam — wziął.

A działacz, rzuciwszy czyli »pożałowawszy« wzgardzonego rubla stójkowemu, powrócił do swych komnat, rozgoryczony i z kłóciem w wątrobie. A to awantura arabska! I bądź tu dobrym na świecie, kiedy twojem dobrodziejstwem gardzą. Dokąd dążymy? Ojczyzna się rozkłada! *Caveant consules!*

Tak stać rzeczy długo nie mogły.

Rada zarządzająca akcyonaryuszów zwołuje posie-

---

[1]) Po rosyjsku, jeżeli się coś daje, to się mówi, że się »żałuje«; po polsku naodwrót: gdy się coś daje, to się nie żałuje.

dzenie nadzwyczajne i uchwala wysłać do żebraczego plebsu konsula, Meneniusza Agryppę.

Meneniusz Agryppa z wyrazów płynnych, słodkich i roztropnych ułożył sobie mowę i rzekł:

— Panowie nędzarze! Wszyscy się na to zgadzamy, że wogóle w życiu musi być jakiś ideał. Ideał ten jest tem lepszy, im jest ogólniejszy. Najogólniejszym takim ideałem życiowym jest, jak wiadomo — pieniądz. Gdybyśmy, w samolubstwie zaklęśnięci, nie dawali wam, żebrakom, jałmużny wcale i gdybyście wy, również z samolubnej ambicyi pobudek brać nie chcieli, to musiałoby w społeczeństwie przyjść do smutnego rozdwojenia. Z jednej strony utworzyłaby się klasa ludzi bezpieniężnych i pieniędzmi gardzących, a z drugiej — dla nas samych, nasz pieniądz, jako przez was niepożądany, straciłby wartość. Ideał najogólniejszy runąłby. Panowie! Ideał grosza przestałby obowiązywać powszechnie. Co za upadek! Co za ruina! Co za anarchia! Łącznik pomiędzy bogactwem i nędzą pękłby. Nam, bogaczom, majątki nasze zaczęłyby ciężyć, jako niepotrzebne brzemię. Chcielibyśmy się może nawet ich pozbyć, ale któżby nas od nich uwolnił, skoro wy, nędzarze, brać ich byście nie chcieli? Pomyślcie: niktby nie chciał majątku, majątkiby upadły, a z upadkiem majątków upadłby i ogólny dobrobyt! Organizmowi świata groziłby kataklizm. My, bogacze my — żołądek świata, przez was nie napełniony karmią zazdrości i zawiści, począłby, poczęlibyśmy cho-

rzeć. Poczęlibyśmy trawić się sami z nudów i pustki, poczęlibyśmy się psuć, a zepsuty żołądek, to organizmu zguba. Natomiast panowie nędzarze — wy kończyny społeczne! Jeżeli wy będziecie z pożądliwością brali to, co my z umiarkowaniem będziemy wam dawali, to łącznik idealny pomiędzy bogactwem i nędzą, pomiędzy zbytkiem i niedostatkiem, pomiędzy tucznością a głodem będzie się utrzymywał zawsze i zawsze będzie się podpierała wiara we wszechwładztwo, wszechpożądaność i wszechszacowność grosza, jako społecznej, najogólniej obowiązującej idei życia! Panowie! Jeżeli nie umiem nakłonić was do tego najogólniejszego ideału, rozumując, niech was ku niemu nakłonię odwołaniem się do waszego serca. Bo choć żebracy, choć nędzarze, ale wszakże obywatelami jesteście! A w obywalelu żyć winna współczująca z dobrem ogólnem litość. Panowie żebracy! Zlitujcie się i żebrzcie! Dla ogólnego dobra, dla dobra ojczyzny — żebrzcie!

Tak mówił orator, konsul Meneniusz Agryppa, ale niestety, mówił napróżno, bo w nędzarzach litość zamarła.

Żeby się módz litować, trzeba, jak bogacze, widywać czasem kogoś biedniejszego od siebie. A któż jest od najbiedniejszego biedniejszy?

— Ha, kiedy nie chcecie jałmużny brać po dobremu — rzekli rozgoryczeni akcyonaryusze — to zechcecie po niewoli. Kiedy tak, to tak.

Każda akcya musi mieć swoją reakcyę; każdy akcyonaryusz musi być w pewnym momencie reakcyonaryuszem.

I zaczęli ci reakcyonaryusze mówić inaczej. Mowa ich składała się już nie z płynnych i zaprawnych miodem, ale z samych liter świszczącychi kłujących: z samych »s« i z samych »i«, wyciągniętych w szereg, jak wojsko!

Gdziekolwiek się rozległa ta świszcząco-kłująca mowa: »ssssssiiiiii«, tam wszędzie nie chcący jałmużny brać żebracy — brali.

Ż e - b r a ć nie chcieli, brać musieli.

O PIĘKNIE I BRZYDOCIE

BAJKI

O PIĘKNIE I O BRZYDOCIE.

Żyło sobie raz Piękno i ze zbytku dobroci pozwalało się długi czas wyzyskiwać Brzydocie. Aż pewnego dnia powiada sobie: dość tego. Wybudowało z wyobraźni przybytek i tam sobie zaczęło samotnie mieszkać.

Brzydota czas jakiś udawała, że też może sobie wystarczyć i że o Piękno nie dba. Założyła sobie dziennik, całkiem przemilczający o rzeczach pięknych i notujący z uszanowaniem wszystko co brzydkie, i tak sobie czytaniem tem żyła. Ale co spojrzy w lustro, to w lustrze aż brzydko. Źle, myśli sobie, trzeba wrócić do Piękna.

Co tu robić? Wysyła Brzydota do Piękna deputacyę społeczną, prosząc, żeby Piękno ze swoich wyobrażeniowych zamków na lodzie zechciało ku realności wrócić i panować, bo już jej, Brzydocie, dokuczyła własna, w lustrze codzień oglądana, niepiękna postać.

Piękno wysłuchało deputacyi i rzekło:

— Mogę do was powrócić, ale pod jednym warunkiem. Trzeba, żebyście mieli cośkolwiek pięknego, co niebądź, najmniejszą jaką rzecz piękną, abym się mogła uczepić tego i przyjąć u was i rozkrzewić.

— A bez tego czy nie można?

— Nie, bo ognia bez materyału palnego, choćby tylko drzazgi małej, nie roznieci się. Prawda, otóż, czy została u was jeszcze bodaj ta odrobina, to minimum piękna?

Deputaci smętnie westchnęli.

— Nie, niema nic, wszystko przepaskudzilim.

— Może kruszyna? Może coś, o coby się można zahaczyć? Pomyślcie.

Deputaci kiwali głowami przecząco, aż wreszcie jeden z nich powiada:

— Jest! Mamy. Mamy dziennik.

— A cóż to jest dziennik? (Pięknu rzecz ta była nieznana).

— Dziennik? A to, gdy się stanie coś brzydkiego, to się zaraz opisuje, i to jest dziennik.

— I to ma być pięknem? A niechże was!

— Jest to piękne, bo to się robi z dobrą tendencyą.

— Cóż to znowu — tendencya? Nie znam.

— Tendencya to jest robienie rzeczy dla dobra ogółu.

— A sama rzecz, którą się robi?

— Rzecz sama może być i zwykle bywa brzydka, bo oczywiście my ją sami robimy.

— Tak? Na nic, na nic. I cóż jeszcze macie?

— Jest samo dobro ogólne.

— A cóż nazywacie dobrem ogólnem?

— Dobro ogólne to jest tendencya, iżby wszystkim było dobrze.

— Dobrze. Ale cóż nazywacie dobrem?

— Dobrem jest używanie piękna.

— Czyli piękne używanie. A to ładna rzecz. Żeby wszyscy używali, to któżby tworzył?

— Niewolnicy. Nałożyłoby się na pięknych niewolników i na piękne niewolnice kajdanki i kazanoby się im tworzyć.

— Nie! to bezczelne! — zawołało Piękno, nie mogąc pohamować oburzenia. — Więc chcecie, żebym szło do was w niewolę? Nie, wiedzcież, iż Piękno w niewoli umiera. Poszli precz!

Deputacya zabierała się do odejścia. Ten klął, tamten spluwał, aż jeden zawrócił się jeszcze i powiada:

— Jest! Znalazłem. Mamy piękną poezję okolicznościową.

— Cóż to znów za figiel?

— To jest taki zwyczaj w dzienniku, że gdy nastaje jaka pora, to ją się opisuje.

— A dlaczego nie kiedyindziej?

— Bo gdy w innej porze poeta żyje, to już tamtej ubiegłej pory nie pamięta.

— Czyż nie może jej sobie wyobrazić?

— A to dobre! Byłoby to już nie prawdziwe, a my chcemy prawdy realnej, nie wyobraźni.

Tu Piękno jeszcze raz zawrzało gniewem i mówi:

— Wiedzcież, panowie deputacya, że ja, Piękno, jestem samą wyobraźnią, niczem innem. Podajecie mi za rzecz piękna jakiś system odtwórczy, naśladowczy, kopistowski, jakieś liche powtarzanie tego, co już stworzone... Jeszcze raz powiadam: poszli precz!

Deputaci zabrali się do odejścia na dobre. Ale prezes deputacyi rzekł na odchodnem:

— To niech Piękno z łaski swej da nam choćby nadzieję, iż do nas kiedy wróci.

— Da wam nie nadzieję, tylko ot — macie tu — atom piękna. Zanieście go do swego brzydkiego miasta i po drodze nie zużyjcie. Może wam potem coś z tego wyrość.

Deputacya, rada-nie-rada, wzięła atom piękna i odeszła. Ale w drodze, prezes deputacyi, jako największy nałogowiec, nie mógł wytrzymać i ów atom zećpał.

I tak została na świecie realnym Brzydota bez odrobiny piękna, i wkrótce zbrzydła do ostatka, roz-

tyła się, rozdziennikarzyła, rozplotkowała, zaczęła sobie farbować włosy na kolor młodzieńczy, ale i to nie pomogło, aż wreszcie ze wstrętu do własnej ohydy rozchorowała się i zdechła.

A wtedy wszędzie na świecie zaczęło być pięknie.

ŁZY CEBULOWE.

Żył sobie ubogi izraelita, nazwiskiem Mizerak, i żywił się jedną cebulą na dzień. Obłupywał z niej liście, jak koperty z zegarka i zjadał.

Żył też zamożny chrześcijanin, Obetkała, któremu to w głowie nie mogło się pomieścić, aby tak małem, jak cebula, zielskiem wyżywić się było podobna tak długo.

Rozpamiętując to, Obetkała obtykał się jadłem, rozrzewniał się nad Mizeraka chudością i czytywał o jego mizeryi pisane nowele przez litość, czyli mizernie.

A Mizerak tymczasem, we wszystkiem innem wstrzemięźliwy, prócz w zbieraniu grosza, zbierał go, zbierał i zbierał. Udrze cebuli kopertę jedną i zje — oszczędzony obiad; udrze drugą — oszczędzona kolacya; udrze trzecią, czwartą — aby aby do Szabasu dociągnąć, aby coś do zebranej już zbieraniny dołożyć.

Widział to Obetkała i płakał. Płakał, obtykał się i płakał.

Aż pewnego razu Mizerak gdy już zebrał dosyć, powiada:

— Kiedy ty, Obetkała, tak się nademną litował i litujesz, to ja tobie za to założę całą »górę litości«.

I Mizerak założył *Mont de Piété* na ulicy Ober Obetkałkowskiej w Wrarszawie, pod firmą »Mizerakowski i S-ka«.

Instytucya ta, ta »góra litosna«, poczęła się w górę dźwigać, a Obetkała przez ten czas, wetkawszy w brzuch cały swój majątek, tak, że już wtykać nie miał za co — upadał.

Upadał, aż doszedł do tego, że z całej świetności została mu jedna jedyna złota pamiątkowa, herbowa — »cebula«.

Płacząc, tym razem już nad sobą, cebulę tę w »górze litości« zastawił i żyć tą cebulą musiał długo.

Obetkałów jest rodzina liczna. I wszyscy, przetkawszy swoje majątki, zastawiają u ex-Mizeraka swoje familijne pamiątkowe cebule. Mizerak Mizerakowski ma obecnie do żywienia się nie jedną cebulę, jak przedtem, na dzień, nawet nie jedną cebulę na godzinę, ale co jakieś pół godziny taksuje cebul pęczek i z tego sobie dostatnio się wyżywia. Litość i cebula należą do najpożywniejszych jarzyn.

Za cebule daje się Obetkałom czwartą część war-

tości, a za to się pobiera: procentu zasadniczego — 12; za przechowanie — 12; za zabezpieczenie od moli — 12; za zabezpieczenie od złodziei — 12; za zabezpieczenie od bandytów — 12; dodatkowej asekuracyi — 12; Razem 12×6=72%. Cebulę Mizerak przez wdzięczność tak wiernie, tak dbale i tak szacownie przechowuje, że ani mowy o tem, żeby zginęła. Obetkała może być pewny, że jego drogocenna pamiątka, ten herbowy, opłakiwany zabytek rodzinny nie zginie. Przytłacza go wysoka na 72 procenty góra litosna — *Mont de Piété*, pod firmą »Mizerakowski i S-ka«.

Litość i cebula należą do najpożywniejszych jarzyn.

Cebula ma tę właściwość, że na surowo jedzona, łzy z oczu jedzącego a nawet z blizka patrzącego na nią wyciska. Jeżeli cebula jest zegarkiem, to nawet i w tej postaci do łez pobudza: zastawiający ją w »górze litości« Obetkała (nad sobą) — płacze.

Tak więc jarzyna ta — cebula — słusznie może być litości — symbolem i należy ją malować na szyldach lombardów, jako godło.

AUTOR I CZYTELNICA.

Pewna czytelnica spotkała pewnego autora i powiada słodko:

— Proszę pana, czytałam pańskie dzieło. Ach!...

Autor milczał.

Po niejakim czasie czytelnica znowu spotyka autora i mówi słodziej, aczkolwiek z lekkim przekąsem:

— Proszę pana, ja czytałam pańskie dzieło. Ach! Ach!...

Autor milczał.

Jeszcze w parę dni czytelnica przydybała autora i rzecze najsłodziej, aczkolwiek z odrobiną zniecierpliwienia w głosie:

— Ja czytałam, proszę pana, pańskie dzieło. Ach! Ach! Ach!

Wtedy nakoniec autor odpowiada:

— Proszę pani! Czy moja książka była aż tak dalece zła, że czytać ją mogła pani?

— Co też pan wygaduje. Książka wyborna. Czytanie jej sprawia mi rozkosz.

— Proszę pani! Sprawiła pani sobie rozkosz. Dobrze. Ale cóż ta pani osobista rozkosz ma za znaczenie dla mnie? Cóż to za fakt dla mnie tak ważny, że aż go pani musi mnie oznajmić? Wszakże powiada pani, że książka była dobra. Więc chwali się pani przedemną, że pożywiła się pani mojem dobrem sercem. I cóż stąd? Chce mi pani okazać swoją wdzięczność? Wszakże nie pisałem dla pani osobiście.

— Alboż nie jestem czytelnicą?

— Nie, pani jest osobą, która pragnie oznajmić autorowi, że sprawiła sobie osobistą rozkosz i żąda za to od autora pewnych względów. Czytelnica, to osobistość abstrakcyjna. Skąd pani wie, że autor żąda ucieleśnienia tej postaci w pani?

— Ależ, proszę pana...

— Wszakże książka była dobra?

— Tak, bardzo dobra.

— Zatem autor dał pani siebie. Proszę używać na zdrowie, ale mnie o tem używaniu nie ogłaszać. Czy pani sądzi, że autor powinien żywić osobliwszą czułość dla kogoś, co raczy sobie zrobić osobistą rozkosz, spożywając jego dobre owoce?

— Ależ panie...

— Co innego proszę pani, gdyby książka była zła. Wtedy rzeczywiście, autor winien byłby pani wdzię-

czność za jej przeczytanie — za przeczytanie złej książki, za zgorszenie się jego dziełem. Powinienby za to być dla pani nadskakującym. — Powinienby się nawet za to w pani zakochać. — Niestety proszę pani, moja książka była dobra.

— Ach, jaka szkoda!

— W takim razie mogę napisać dla pani, osobiście dla pani, złą książkę, ażeby się pani mogła nią otruć. Jakże wtedy byłbym pani wdzięczny!

PAS, PAZA, PAN.

(WSZYSTEK, WSZYSTKA, WSZYSTKO).

I.

Bajka znana, bardzo znana, ale jeszcze raz jej posłuchać warto.

Pastuszka grecka, imieniem Paza, tknięta zielonością łąk, pól złotem, lasów szumem, wód falowaniem i nieba szafirowem lśnieniem, zakochała się w bożku greckim, którego wołają Pan.

Oczy zakochanej pastuszki zaświeciły ogniem, lica jej zakwitły liliami, a usteczka jej rozchylały się raz wraz krzykiem zachwytu:

— O Panie!... Jakże kocham Pana!

Tuż obok pastuszki Pazy, pasł gromadkę kóz pastuch, nazwiskiem Pas i słowa pastuszki: »Jakże kocham Pana« — wziął pod swoim adresem.

— Do usług! — rzekł: — Ty, Pazo, jesteś moją Panią. Masz w oczach zieloność łąk, a czasem i szafiry

nieba. Masz ciało złoto-białe, jak zboże pól. Masz włosy gęste, bujne jak las, i duszę masz falującą, jak ta woda. Kocham cię, Pazo. Bądź moją.

— Ja kocham Pana.

— Kochaj mnie raczej, niż Pana. Rozkosz pańskości tylko przeze mnie możesz poznać. Będziemy razem, co prawda, nie panowali, tylko paśli, ale właśnie przez to...

Pastuszkę Pazę ujęły i zaciekawiły te słowa. Niewiele myśląc, oddała swój dziewiczy zachwyt pastuchowi, na którego wołano Pas.

I zaczęli się kochać.

Kochali się i wśród łąk zielonych, i wśród pól złotych, i wśród lasów szumiących, i koło wód rozfalowanych, pod niebem szafirowem.

Paza napłodziła Pasowi paziąt pastusząt, niby kóz gromadkę, ale za to utraciła oczów szafirowość, z zielonym odcieniem; jej złote ciało zrobiło się podobnem do gliny; jej włosów las upodobnił się do wyszczypanej od kóz zarośli, a duszy jej woda czysta zmąciła się i zamuliła.

Ach, bo Paza wyszła za pastucha, na którego wołano Pas. Upasła się. Pas także się upasł. Rozpaśli się oboje. A rozpaść się znaczy rozpadać się i ostatecznie się rozpaść.

Zaś Ten, którego wołano Pan, zielonością łąk, pól złotem, lasów poszumem, wód czystych falowaniem

14*

i nieba szafirami czarował i, jak zawsze, młode, skłonne do zachwytu, dziewicze pastuszki w sobie rozmiłowywał.

II.

Był sobie pan, który w twórczości swojej zamknął wszystko, i w tej wszystkości był panem — panował; dla życia zaś nie zostawił sobie nic a nic.

I był też pewien pastuch, który na twórczość nie poświęciwszy nic a nic, w życiu, czyli w pasieniu kóz, był wszystek.

I była też pewna pastuszka, jak łąk zieleń, jak pól złoto, jak szum lasu, jak wód falowanie, jak niebo, tak zachwycająca — wszystka.

Ale niźli z panem twórczo panować, wolała z pastuchem życiowo się rozpaść.

Inaczej czyżby była pastuszką?

Pan (bóg) po grecku to rodzaj nijaki, znaczy — wszystko.

Pas (pastuch) to rodzaj męski, znaczy — wszystek.

Pasa (czyli wszystka) ma inklinacyę ku pasowej opasłości.

Od Pan pochodzi panować; od Pas — paść.

Paść znaczy też upaść.

Czy upaść, aby się upaść, nie jest dla pięknych,

jak łąka, i cielistych, jak złote zboże, pastuszek — wszystkiem (pan)?

III.

Pastuszka czyta książkę z poezyami:

— Ach, jakie to cudne! jakie cudne! — szepczą jej różowe ustka: — O jakże tego poetę kocham! Jakbym go chciała upieścić, ucałować!

Tuż obok pastuszki stoi pastuch i mówi:

— Do usług.

Pastuszka jest na przedstawieniu w teatrze.

— Ach, jak śliczna operetka! — mówią jej rozróżowione usteczka: — Takbym chciała kogoś ukochać, upieścić, ucałować!

Tuż obok siedzi pastuch i mówi:

— Do usług.

Pastuszka jest nad brzegiem wód morskich, szumiących jak las, pod niebem szafirowem i kąpie swoje ciało, jak zboże pól złote.

— Ach! — szepcą jej usteczka, z zachwytu różowe: — Takam radosna! Takbym chciała kogoś ukochać, upieścić, uszczęśliwić!

Tuż obok pływa, jak delfin, pastuch i jurnie podszeptuje:

— Do usług.

Usługi się przyjmują. Muzyka fal zamienia się w swarliwy pomruk; szum lasu przechodzi w chrobot zeschłego liścia; łąk zieloność spopiela się od żaru; złoto ciała przeistacza się w glinę, a w ołów szmaragd nieba i szafiry oczów.

BAJECZKI O PSACH I O LUDZIACH

I.

Wśród ludzi dobrym człowiekiem jest człowiek dobry, a złym — zły. Z psami jest na odwrót: dobrym psem jest pies zły, a pies dobry jest psem złym, jest psa nie wart, jest na nic.

Ludzie są dobrzy prawie wszyscy, z wyjątkiem niewielkiego odsetka ludzi złych, którzy jednak przeważnie siedzą po więzieniach i innych przytułkach dobroczynnych[1]. Psy złe są prawie wszystkie, z wyjątkiem niewielkiego odsetka psów dobrych, które się, jako szkodliwych życiu darmozjadów, tępi.

Otóż był sobie pewien człowiek nadzwyczajnie

[1]) Powiedzieliśmy: w przytułkach dobroczynnych. Więzienie, rozpatrywane, jako przytułek dobroczynny, powinno się raczej nazywać przytułkiem »złoczynnym«, ponieważ siedzą w nim »złoczyńcy«. Albo też, dla uzgodnienia nazwy z treścią, powinno się w tym przytułku dobroczynnym zamknąć dobroczyńców. Inaczej jest *contradictio in adjecto*. Papiernia wyrabia papier, piekarnia — pieczywo, drukarnia — druki, wojsko — wojaków. A przytułek dobroczynny wytwarza — złoczyńców? Musimy go nazwać albo złoczynnym przytułkiem, albo uznać, że ci, którzy w nim zamykają (dobroczyńcy), i ci, którzy w nim siedzą (złoczyńcy) — to jedno.

dobry, a raczej dobry zwyczajnie, ponieważ ludzie są dobrzy zazwyczaj. I, będąc tak dobrym zwyczajnie, dobry ten człowiek nadzwyczajnie kochał złe psy.

Trzymał je u siebie przy drzwiach na łańcuchu. I ktokolwiek do tego dobrego człowieka przychodził z interesem lub w odwiedziny, psom złym wolno było rzucać się nań i gryźć szatę dolną, z uchwytem łydki lub bez uchwytu, a jeżeli nie gryźć, to przynajmniej, o ile ten ktoś umknął się na czas, mniejszego lub większego napędzać mu stracha.

Dobremu człowiekowi, na widok tego stosunku psów swych złych (a raczej dobrych) do swoich gości dobrych (a może i złych?), twarz przedzielała się na dwoje. Połowa jedna twarzy uzmysłowiała serdeczną litościwość i współczujące zakłopotanie a na drugiej połowie twarzy lekko drgał uśmieszek.

Patrząc na tę twarz, przepołowioną dualistycznie, czułeś, że człowiek, twarz tę posiadający, do najgłębszych głębin swoich jest przepełniony dobrocią i wyrozumiałością... dla swoich psów złych.

A psy złe odczuwały tę dobroć i przez miłość dla niej gryzły interesantów oraz znajomych swego dobrego pana — niezle.

Cóż jednak winien dobry człowiek, że natura w psach umieściła taką nieludzkość, że ta nieludzkość jest właśnie psów najlepszą cechą i że ze złymi psami dobremu człowiekowi tak dobrze?

Ach, im bardziej mamy złego psa, tem bardziej możemy być dobrzy sami; im bardziej za nas czuwa pies, tem bardziej możemy sami spać bezpiecznie; im bardziej pies wgryzie się naszym znajomym w rzeczy spodnie, tem bardziej miło i łatwo nam samym wgryzać się w rzeczy górne.

II.

Pewien pan miał u siebie psa, z którym urządzał następującą sztukę. A mianowicie: kładł psu na koniuszek nosa kęs, przypuśćmy, bułki z masłem, lub ogryzek mięsny. Pies miał obowiązek póty ów kęs na końcu nosa w równowadze trzymać, póki pan nie skinął zezwalająco Wtedy pies podrzucał nosem i kęs zębami — chaps — chwytał.

Sztuka ta, po tysiąc razy widziana przez nas, a nawet i praktykowana, bynajmniej nie należy do kategoryi zjawisk, z którychby, przy pewnem nieco ściślejszem zastanowieniu, nie można było wydobyć na jaw rzetelnych, kształcących i umoralniających wskazań.

Z jednej strony, z psiej, osiąga się zapomocą tej sztuczki przejaw posłuszeństwa, zdania się na wolę pańską i przywiązania do pana; następnie wytwarza się fakt wstrzemięźliwości i powściągnięcia się od pokus;

nakoniec otrzymuje się fenomen wytrwałości, panowania nad głodem i nad żądzą łakomstwa.

Widok tych wszystkich pięknych i cnotliwych objawów zawdzięczamy niewinnemu figlowi z psem. Jeżeli zdarza się nam wpaść w melancholię, ponieważ nie widzimy naokoło siebie, wśród ludzi, przykładów męskiego zaparcia się swojej natury i ponieważ brak nam przykładów cnotliwej, bohaterskiej wstrzemięźliwości i władania swojemi żądzami, wówczas dość jest urządzić sobie z psem wyżej opisaną sztukę, a melancholia nasza i nasza zwątpiałość (chwilowa) o cnocie bohaterskiej dzielnie się skrzepi.

Pies napełnia nas wiarą w możliwość cnót i w możliwość panowania nad swoimi popędami, nawet nad najmocniejszym z nich — nad głodem. Jeżeli — mówimy o sobie — z psa można takie objawy podniosłe wydębić, to i z człowieka, do psa starego, możnaby też coś wykrzesać.

I kiedy tak sobie człowiek pomyśli i westchnie, łatwo już wpada na stwierdzenie następującego przejawu swojej człowieczej dodatniości. Toż on właśnie, on — człowiek, a nie pies, wymyślił cnotę, którą dziś oto pies praktykuje. Toż on, człowiek, z drugiej strony właśnie — l u d z k i e j — tą sztuczką, o której mowa, z psem, ćwiczy w sobie nie już jakąś tam cnótkę samozaparcia, poskromienia żądz i powściągnięcia łaknień, ale daleko ważniejszą w sobie rzecz wykształca: władzę

rozkazywania, przypuśćmy, tylko psu, jednakże władzę, należącą do najwyższych.

Rozkazać coś sobie — głupstwo, ponieważ zawsze, cokolwiekbyśmy kazali sobie, możemy mieć pewność, że to wykonamy, nie dziś, to jutro, nie jutro, to za rok, nie za rok, to za sto lat, ale zawsze wykonamy. Tymczasem każmy coś komuś. Mamy li pewność, że to będzie zrobione kiedykolwiek?

Wydając rozkaz psu i widząc, że ten rozkaz wypełniony jest ściśle i z należną nam ze strony psa pańsko-bojnością, przekonywamy się, że władza rozkazywania w nas jest jeszcze, że pańskość w nas jeszcze nie zaginęła i że, gdy los wezwie nas do rządów jakichkolwiek, będziemy gotowi.

Powiadają, że rozkazywać ten nie umie, kto nie umie słuchać. Jest to błędne, pies potrafi słuchać wzorowo, aż do zaparcia się głodu i łakomstwa, a komuż pies rozkazać coś potrafi?

Zresztą, na upartego i my, ludzie, musimy słuchać: słuchać siebie. Dewiza nasza: słuchaj siebie, a rozkazuj innym, bodajby psom. Tak. A cnotę: »słuchaj innych, a rozkazuj tylko sobie«, zostawiamy psom do praktykowania.

III.

Pewien pan miał dwa psy niezmiernie mu oddane i wierne i kochające. Gdy zachodziła potrzeba

wyświadczyć panu przysługę jaką, naprzykład gdy trzeba było przyaportować ustrzeloną zdobycz, pies jeden przez drugiego biegł, jak to powiadają, na wyścigi.

Wyścigowość ta miała jednakże i złą stronę. Oto, gdy jeden z psów zębami już aport chwytał, drugi pies, w rozżaleniu i zawiści, imał pierwszego psa za kark lub za inne miejsce tułowia, i dalejże go szarpać. Nie doniesiony aport w połowie drogi leży, psy się żrą, a pan darmo czeka.

Co tu robić? Złości do psów mieć nie może, ponieważ obaj go kochają. Ale żaden nie chce się zrzec przyniesienia panu zdobyczy osobiście. O-s-o-b-i-ś-c-i-e! O honor uszczęśliwienia pana psy walczą tak, że aż pan zostaje bez aportu unieszczęśliwiony.

Wziął pan i dokupił sobie psa trzeciego.

Trzeci pies był z rasy psów o bardzo długiej nazwie i nawet nie angielskiej, jeno łacińskiej: *duobus litigantibus tertius gaudet.*

Ten trzeci pies, gdy pierwsze dwa biły się, korzystał, chwytał aport, któremuś tamtemu z pyska wypadły, i panu odnosił.

Ale i taki stan rzeczy nie można było nazwać idealnym. Aport bądź co bądź dostawał się panu poszarpany, posusfalony i potetłany.

Widząc to, pan zgromadził swoje trzy psy i rzekł do nich:

— Psy moje miłe! Czy ten, czy ów, czy tamten pies odniesie mi zdobycz, to rzecz dla mnie obojętna. Mnie chodzi tylko o to, aby ją dostać w całości i jak najprędzej. Zrozumcie to! Owszem, możecie biedz na wyścigi, ale, gdy który z was już zdobycz ułapie, dwaj inni wara mu jej z pyska wydzierać. I wara mi gryźć się pomiędzy sobą z zawiści. Pamiętajcie, psy, że nie chodzi tu o wasze ambicye pieskie, tylko chodzi o moją korzyść ludzką. *Allez!*

CZERWONE I CZARNE

W matowym pogwarze rozmów zadźwięczał, wykwitł jaskrawy głos pobudki: — *Messieurs, faites vos jeux!* — Pogwar ścichł do półszeptu. — *Les jeux sont faits!* — Półszept umilkł i nastaje cisza. — *Rien ne va plus!* — dzwoni głos, i w tej samej chwili rozlega się stuk, twardy jak konieczność, suchy, kostnicowy, groźny. Spełniło się.

Patrz, oto rzędami siedzą gracze. Są gorączkowi i zimni; rozważni i bezładni; spokojni i trwożni; pewni i lękliwi; beznadziejni i ufni.

Jedni mają system i żyją wiarą w jego nieomylność; inni liczą na Boga, inni na Szatana, a jeszcze inni na nieprzeniknioną, ale i na nieuniknioną i na bezboską ale i bezszatańską fatalność.

Jedni mówią sobie: wszystko przegrać albo wszystko wygrać, siadają, kładą stawkę i przegrywają wszystko; ci nie chcą nic wygrać i wszystko wygrali; inni chcieli, dla odczepnego, przegrać cośkolwiek i odejść, ale, nadspodziewanie wygrawszy, stawiają dalej: wtedy los szyderczo odwraca kartę. Przegrali.

I są gracze, którzy, zdawałoby się, już cel swoich pożądań mają zdobyty, a grają jeszcze, bo wciąż łakomi aktu nieomylnego zgadywania, bo jeszcze obchodzą święto zdobycia ukochanej, która nie odkryła im jeszcze swej tajemnicy — ostatniej.

Jedni, obrawszy sobie liczbę, stawiają raz po raz — napróżno; potem, zdjęci trwogą, robią przerwę i właśnie wtedy liczba, na którą tyle razy liczyli daremnie, teraz wygrywa. Z wściekłością rzucają się za nią na oślep, ale ona, tuż koło nosa im brzęcząc, jak mucha, i barwami złota migotając im, jak motyl, ucieka nielitościwa i wpada pod szczęśliwe nogi temu, kto na nią przypadkiem nastąpił.

Dla tamtych los jest istotą żyjącą, oczyma obdarzoną, ale głuchą dla nich, nieusprawiedliwione wybryki łubiącą i okrutną. Innym służy ten sam los, jak niewolnica pokorna, skinieniu posłuszna, wszystko bez szemrania znieść gotowa, sama wybrykom i sprzecznym zachciankom uległa, proch całująca... Aż nagle, kiedy wszystko jest do spodziewania, tylko nie to: zdradza swego władcę i pogardliwem zdziwieniem spotyka jego żądania. Płacze nieszczęśnik, teraz on potulny i wszystko obiecać gotowy: ale niewolnica zbuntowana już się nie upokorzy i nie wyjaśni nawet, czemu ta zmiana.

Jedni rozmawiają z losem, jak z duchem w nich zamkniętym; okłamują go mniemanym chłodem, udają, że im wszystko jedno; usiłują myśleć o czem innem,

niż o tem, że ważą się ich szale, starają się wpatrywać w cudze szanse i życzyć im wygranej... Ale w głębi ich serc, choć przyduszona i ściśnięta za gardło, chuć samolubna wyje głucho i wyszarpuje się z duszących ją więzów i gryzie serce. A los to widzi. Uśmiechnięty ironicznie i dla żądzy zduszanej bezlitosny.

A inni ledwie siąść zdążyli za stołem, aliści już wał złota narósł przed ich twarzą, blaskiem wygranej promienną. Zgadli. Zdobyli pieszczotę losu. Otwarł się im Sezam. Weszli w powinowactwo z cudem, dla reszty niedostępnym, bo jedynym. Zawarli ślub z tem, co inni czczą jeno zdala.

Nad darninowym stołem zielonym pochylone, na łodygach wiotkich i sztywnych, grubych i szczupłych, młodych i zgrzybiałych — siedzą lilie i narcyzy, piwonie i kaktusy, malwy i słoneczniki, przytulistki i tulipany, małgorzatki i pochutniki, siostrzyczki i bratki, storczyki i powoje, dzwonki i wąsatki, piołuny i lukrecye, ruty i mleczyki. A za kwiatami, które grają w słońcu tysiącami barw i tchną zapachem zmieszanych perfum, stoi żywopłot widzów, zwarty, strzyżony lub wichrowaty, niedbale rozczapierzający gałązki, albo równo przycięty, — i rzuca na grające kwiaty cień pożądań, oczekiwań, niechęci, oburzenia, zazdrości i opieki. A za żywopłotem szemrzą starce siwobrode, samotne, z burzami żądz otrzaskane, na grę życia jednako i na grom burzy obojętne.

Taniec. Orkiestra — bankierzy. Poniterują — tancerze i tancerki — liczby. Oto idą parami, jedna niewiadomsza od drugiej i jedna przez drugą coś obiecująca. Ale nie znać w której się żądło tai zdrady. Tańczą. Wibruje melodya złotych podźwięków, brzmi komenda taneczna: — *Faites vos jeux!...* Jedni gracze, zmęczeni, odchodzą z koła, inni nadciągają, pełni ochoty, rzeźwi, wyzywający, żądni ruchu i w wirze toną... Aż oto nastaje cisza. To wiruje los w kole solo: tnie hołubce, przechyla się, przeważa to w prawo, to w lewo, w tył się przegina, już, już ma upaść, waha się, kołysze, niby namyślając, podobny do omdlewającej w ruchu frygi dziecięcej — i pada. *Rouge gagne!* Brawo! — Wybucha aplauz szczęśliwców. Tylko milczą posępnie widzowie czarni, upośledzeni, zawistni, pozbawieni tanecznego wdzięku, nieudolni w ruchu, śmieszni, nieumiejący skier krzesać, upośledzeni, biedni.

Bitwa. Naczelnym dowódcą — kapitał. Sztab generalny, to kapitaliści — bankierzy — krupierzy, a podkomendni, to — gracze, zwyciężyć mający, lub — przegrać. Oto grzmi komenda: — *Messieurs, faites vox ieux!* — i tysiące tysięcy sypią się do ataku... — *Les jeux sont faits!* — i działa zatoczone, zajęte placówki, oszańcowane pozycye... — *Rien ne va plus!* — Każdy wojownik z biciem serca czeka... szeleszczą karty, jak liście na drzewach, gorący oddech biega po twarzach... w spojrzeniach lśnią myśli o zwycięstwie... Kto wygra?

kto padnie? *Rouge perd!* Bledną czerwoni... Krew ich przelana daremnie, stacza się do twierdz banku... Czarni płoną rumieńcami... drżą palce łup zgrabujące... z ust sfruwają okrzyki wesela. *Vive le Noir!* Niech żyje Czarność! *Rouge perd!*

Morze nocą. Kłębi się i kotłuje czarna otchłań, groźna, nieświadoma, prądami żądz rozkołysywana, pełna wirów nieobliczalnych, zagładą ziejąc, przewala się, ciska i miota w ciemnościach, jak ślepy zamysł mordu, jak rozuzdana żywiołowa przemoc. Natęża kłęby, gotowa swój zamysł, nim świt zaświta, wykonać. Ale oto już promieni wiązka zarannych utkwiła w cielsku bestyi. Zapurpurowił się krwawemi smugami odmęt i, onieśmielony pobłyskiem światła, przycichł i wahająco pełza ku wschodowi. Łasząc się, legł cichy nad brzegiem, nad którym wzeszła już poskromicielka mroków — Zorza. *Rouge gagne!*

WODA ŻYCIA

(UWAGI SPIRYTUALISTYCZNE)

Ćwierć wiadra spirytusu czystego kosztuje ru bli pięć.

Ale takiego spirytusu ani pić, ani palić nie mogę, bo za drogi.

Państwo uwzględnia mój kłopot i daje mi spirytus siedm razy tańszy, ale zdenaturowany.

Ćwierć wiadra zdenaturowanego na urząd, czyli urzędownie znieprawionego spirytusu kosztuje siedmdziesiąt siedm, licząc z butelką, kopiejek, t. j. siedm razy mniej, niż takaż ilość spirytusu czystego.

Ćwierć wiadra spirytusu za siedmdziesiąt siedm kopiejek!

Tanio.

Ale niewielka to dla mnie pociecha. Ten tani spirytus jest przez *calihipermanganicum* zatruty.

Pić go nie mogę, mogę tylko go palić.

Państwo, nieufne co do mojej trzeźwości, wodę życia zaprawia mi trucizną o barwie niebieskiej, hipermanganicznej, dezinfekcyjnej.

Ażebym się nie rozpił.

Wdzięczny byłbym państwu za opiekę, gdyby ona nie była tak zatruwającą mi czystość wody życia.

Wdzięczny byłbym państwu, gdyby mi oddawało po cenie najtańszej spirytus czysty i gdyby zostawiało memu uznaniu: czy będę go pił, czy palił.

Ale państwo mnie za człowieka rozsądnego uznać nie chce i opodatkowuje moją niewstrzemięźliwość.

Im ta moja niewstrzemięźliwość jest większa, tem państwo ma większy dochód.

W interesie państwa chciałbym swoją niewstrzemięźliwość powiększyć, ale nie mogę, bo państwo sprzedaje mi spirytus czysty, zdatny do picia, za drogo.

Jest li to ze strony państwa rozsądne?

A gdybym pić przestał całkiem?

Państwoby zginęło, oczywiście — państwo niebieskie hipermanganiczne.

Chciałoby mi może oddawać spirytus za bezcen, za cenę fabrykacyi, t. j. po dwadzieścia kopiejek za wiadro, bylem pił.

Ale jabym odpowiedział wówczas:

— Dziękuję. Jestem anti-alkoholikiem.

Państwu nie pozostawałoby nic innego, jak rzucić monopol i zająć się innym procederem.

Moja niewstrzemięźliwość jest państwu konieczna.

Czyli, iż państwo, w swoim własnym interesie, nie powinnoby się tak ze spirytusem, zdatnym do picia, teraz, pókim się jeszcze do anti-alkoholików nie zapisał,

drożyć. Owszem, powinnoby mi ułatwić picie, dając mi spirytus czysty w takiej samej cenie, w jakiej daje mi zdenaturowany.

Państwo, wbrew swojemu własnemu interesowi, cenę ze mnie za spirytus czysty jak największą ciągnie, pije.

Państwo pije.

Państwo pije, bo wierzy w moją wieczną nie wstrzemięźliwość.

Państwo, radosne tą wiarą, pije siedm razy więcej, niż potrzeba.

Dlatego od państwa do pijaństwa blizko, bo tylko o dwie małe wąziutkie literki: »i j«. P—aństwo i Pij—aństwo.

I tylko pijaństwem można wytłómaczyć zapomnienie państwa o swoim własnym interesie.

Państwo, pijane samo, ufa, że i ja będę zawsze alkoholu pożądał.

A ja właśnie mogę pić przestać.

Państwo, robiąc mi wodę życia czystego niedostępną, zmusza mię samo do abstynencyi, do wyrzeczenia się wody życia całkiem, czyli do uszczuplenia państwowych dochodów.

Państwo, sprzedające ćwierć wiadra spirytusu za pięć rubli, tem samem opiera się tylko na tych konsumentach, którzy mogą tę cenę płacić, t. j. na bogaczach.

A jakież to oparcie?

To tak, jak gdyby ktoś chciał stale opierać się i chodzić na rękach.

Ręka (bogacz) służy raczej do chwytania, niż do oparcia i chodzenia.

Państwo, opierające się na bogaczach, to państwo pijane i chodzące na rękach.

Gdyby państwo oparło się na mnie i nie zatruwało mi wody życia, wtedy z uciechy zacząłbym pić ja sam i tylebym spirytusu spotrzebował, żeby to państwo zaraz postawiło na pewne nogi.

Ale państwo woli samo siedm razy więcej, niż potrzeba, pić i chodzić na rękach.

Tedy ja, pić alkoholu, dla drożyzny, nie mogąc, zamyślam się trzeźwą myślą póty, aż się nią zaczynam upajać.

I szukam jakiejś dla siebie pociechy w spirytualnych nadużyciach państwa.

Siedmkroć większy, niż potrzeba, spirytualizm państwowy ma na celu dobre chęci, skierowane niby ku mojemu dobru.

Państwo, chcąc mię uchronić od przepicia alkoholicznego, samo się przepija alkoholem, spirytusem się przesyca.

Państwo, siedm razy więcej ode mnie pochłaniające spirytusu, z czasem tak nim przesiąknie, tak się przespirytualizuje, że pewnego dnia przeistoczy się w *l'esprit pur* — w czystego ducha, przeduchowi się.

I dopiero wówczas, gdy państwo stanie się duchem, wówczas dopiero ja będę mógł pić czysty, nie zatruty spirytus, *l'esprit pur.*

Będę mógł taki czysty spirytus nie tylko pić, ale i palić, słowem przestanę żyć zdenaturowanie, a zacznę żyć zgodnie z naturą.

Ale to dopiero wówczas, gdy państwo samo się zdenaturuje, czyli zostanie czystym duchem — duchem, który wcale nie pije, czyli żyje wbrew naturze, zdenaturowany.

Aqua vitae, woda życia, zostanie wówczas dopiero dla mnie dostępną, gdy państwo stanie się duchem, czyli istotą mego poczucia sprawiedliwości nie obrażającą, lecz przeciwnie: istotą jedynie wyobrażalną, nie materyalną, duchową, istotą, która mi pozwoli żyć siedm razy lepiej, niż obecnie, istotą, którąbym za to siedm razy więcej błogosławił, niż błogosławią.

Państwo, które mię zniewala do życia spirytusem zdenaturowanym, państwo, które mi znieprawia wodę życia, jest państwem nie-błogosławionem.

A bez stanu błogosławionego nic takie państwo urodzić nie może.

Tylko państwo, gdzie panuje duch czysty, jest państwem błogosławionem.

A takie państwo, pozwalające mi na *l'esprit pur,* na duch czysty, państwo, ufające mi, państwo, zostawiające memu uznaniu upijać się, lub być trzeźwym,

państwo, które samo siedm razy więcej nad słuszność nie pije, takiem państwem jest chyba to państwo, gdzie niema spirytusowego monopolu.

Gdzie niema monopolu ducha i monopolu życia.

Monopol, czyli jednopolowy system, jednopolówka — toć to stan ekonomicznie, no i spirytualistycznie biorąc — najniższy.

W gospodarstwach nie państwowych istnieje — od kiedy już! — system płodozmienny. W państwie trzyma się jeszcze wyniszczająca kraj, barbarzyńska jednopolówka, monopolówka.

W takiem państwie jednopolowem stać mię tylko na wodę życia zdenaturowaną, zatrutą, stać mię tylko na duch, ledwo do palenia zdatny, nie do picia.

Czystej wody życia muszę daremnie łaknąć i muszę w końcu wyrzec się jej, zostać anti-alkoholikiem, czyli obniżyć dochód państwa, rujnować je.

Ale do tego zmusza mię samo państwo jednopolowe, zatruwające mi spirytus czysty.

O jakże długo żyłem tą zdenaturowaną wodą życia! Jakże długo żyłem tym duchem, znieprawionym mi na urząd, urzędownie, czyli na urzędach! Jakże długo żyłem tym duchem i w szkołach, i w salonach, i w restauracyach, i w cukierniach, i w knajpach, i w kościołach — wszędzie, gdzie się s p i r y t u s pali albo pije! Jakże długo żyłem tym duchem zatrutym i w pismach, i w książkach, i w sztukach! Wszędzie umizgała się do

mnie, kokietowała mię i mizdrzyła się do mnie jego moralno-dezinfekcyjna, kalihipermanganiczna barwa niebieska, barwa niebieskiego państwa!

O przyjdź dniu, kiedy prawdziwy, nieskażony, czysty duch, przeczysta woda życia, spirytus, *l'esprit pur* będzie moim udziałem! Kiedy niebiesko-błękitnej barwy pozbawiony, przezroczysty, biały, królewski Duch mój, prawdziwy Duch zamigoce mi, jak promienne, jednakowo dostępne dla wszystkich, nie-zdenaturowane, rozlewające żar istnienia — słońce.

RZECZYWISTOŚĆ

I.

Był człowiek, który po przyjściu na świat złym losem taką spotkał prawdę życiową:

»Licz się z rzeczywistością, żyj tem, co jest, a nie myśl o tem, co być może i co będzie«.

I zaczął ten człowiek liczyć się z rzeczywistością. Podporządkował się temu wszystkiemu, co stworzyli inni, nauczył się tego na pamięć, i już zdawało mu się, że będzie sobie mógł żyć lekko i swobodnie, bez trudu.

Ale, niestety, zamiast żyć, musiał podporządkowywać się i uczyć nieustannie, ponieważ codzień ktoś stwarzał coś nowego. A ten ktoś to był człowiek inny, któremu dobry los dał taki aksyomat:

»Życie jest nie tem, co stworzone, jeno tem, co się tworzy. Ten tylko żyje naprawdę, kto życie stwarza«.

II.

Był naród, który po przyjściu na świat powiedział sobie: Nie myślmy o niebieskich migdałach i używajmy

życia; nie chciejmy rzeczy nie istniejących, używajmy życia; nie pragnijmy szybek z okna i gwiazdek z nieba, pozbądźmy się mżonek i używajmy życia!

Tymczasem inne narody mówiły sobie tak: wszystko, czego się pragnie, można osiągnąć, zależy to tylko od mocy naszych pragnień.

I zapragnąwszy, osiągnęli i szybki z okna, i gwiazdki z nieba, i żywe obrazy, i maszyny latające. Z tego wszystkiego zrobili sobie rzeczywistość i narzucili ją narodom gnuśnym i tylko życia używającym. Naród podobny, przyjmując życie sobie narzucone, staje się życia tego niewolnikiem — używa.

III.

Była sobie ludzkość, której przodujące jednostki mówiły sobie tak: Niema bogów, oprócz tych, których nie znamy. Bogowie są tylko ci, których niema. Tych bogów, których znamy, zniszczyliśmy swojem poznaniem, staliśmy się nimi. Bogiem jest nieznane — *deus ignotus*. Bogiem jest góra niedostępna, morze nieprzepłynione, przestrzeń nieprzefrunięta, myśl niedościgła, sen niewyśniony, marzenie nieziszczone, możliwość nieurzeczywistniona, niebyt. To jest Bóg. Bogiem jest to, czego niema.

Hej, wstępujmy na szczyty, przepłyńmy morza, przebądźmy bezkres, urzeczywistnijmy niebywałość, wy-

myślmy nieprawdopodobną rzecz, wyśnijmy cudowność, zdobądźmy swego Boga!

Tak mówiąc, zaczęli ci ludzie szaleni biedz, fruwać, przebywać, przezwyciężać swój bezwład, przełamywać ciążenie, zwalczać niewiarę, osiągać ufność, dościgać pewność, chcieć, śmieć, zdobywać ocean życia.

I to dążenie w bezkres, w bezmiar, w przestrzeń — to była ludzkości dusza. I to dążenie było dla niej wszystkiem.

A ciało ludzkie, ludzkości *arrière garde*, ludzkości *arrière pensée* — używała życia i nazywała to użycie rzeczywistością.

IV.

Rzeczywistość, rzeczy wistość, jak widać z samego wyrazu, jest rzeczy-widzeniem. Rzeczywistością jest to, co się widzi. A ponieważ jednakowego wzroku nie ma każdy, a więc rzeczywistość jest rzeczą bardzo względną. Czyj wzrok nie sięga dalej, dla tego rzeczywistością jest to, co widzieć się daje blizko. Kto patrzeć umie w przeszłość i w przyszłość, dla tego rzeczywistością jest czas przeszły i przyszły. Człowiek o krótkim promieniu wzrokowym nazywa rzeczywistością to tylko, co stworzyli inni. Kto zaś patrzy dalej, kto tworzy, kto myśli, dla tego rzeczywistością jest to, co stwarza on sam, co on sam zamyśla, co on sam zamierza. Przeci

wnie, człowiek krótkowzroczny dostosowuje się do tego, co jest, do tego, co zrobili przed nim inni, sam ponad to nic nie dając. Człowiek, daleko widzący, człowiek o myśli przenikliwej tę rzeczywistość przetwarza i ustanawia rzeczywistość nową.

ALLEGORYE
I PRZYPOWIEŚCI

KWIAT.

Był sobie pewien kwiat, który posiadł swojej kwietności samowiedzę. W dniu słonecznym, wykwitło jakby z niego poczucie, że jest pięknym, wonnym, barwistym, przecudem wiosny.

I zapragnął ten kwiat pozostać już tak na zawsze kwiatem.

Aby uchronić od zniszczenia swoją kwietność, bronił przystępu do siebie motylom, pszczołom i innym łupiezcom, zwierając o ile można najnieżyczliwiej swoje płatki.

Aby oszczędzić sił swoich twórczych, wydawał pyłu aromatycznego ilość jaknajmniejszą, jaknajskąpszą.

Ze strachu, aby mu od słońca nie spłowiały barwy, sam poumniejszał, poprzytłumiał ich żywość

A z trwogi, aby go deszcz nie przybił nadto do ziemi, sam ku niej zaczął się pochylać.

I tak, w nieustannym lęku, w obawie, w trwodze i w trosce o swoją kwietność żyjąc, kwiat nietylko że

bytu swojego kwietnego nie przedłużył, ale rychlej jeszcze, niż inne kwiaty, uwiądł i zamarł.

Uwiądł i zamarł skąpy, trwożny, bezowocny, bezpłodny.

A inne kwiaty?

A inne kwiaty, upojone miłością słodyczolubnych motyli, syte blasków słonecznych i żarów nasieniorodnych, wniebowzięte powietrznych strug pieszczotą, rzeźwione głaskaniem fal deszczowych, radosne, zupełnie na wolę przeznaczenia oddane, kornie w życiowej mocy niepamiętne: — kwitły bez troski i bez lęku, i poumierały, gdy nastał czas, gdy uformował się zalążek ich owocu, tej rękojmi kwitnienia i odradzania się w nieskończoność.

A jednak...

A jednak pocóż się odradzać, jeżeli zawsze, zawsze będzie się tylko rodzącym owoc kwiatem, lub tylko owocem, wydającym zawsze te same kwiaty w nieskończoność? I które z pragnień ma większą słuszność: czy wiekuiście odradzać się w tej samej postaci kwiatu? czy pozostać tym kwiatem na zawsze? Czy nieustanne odradzanie się kwiatu znamionuje twórczy zamiar wyjścia z tej kwietnej formy? czy też zamiar utrwalenia jej na zawsze?

MIKROKOSMOS.

Ustała nawałnica. Ale jeszcze ze strzechy z dachu, formując krople, zsącza się reszta deszczu.

Krople, zaokrągliwszy się do ostatecznych wymiarów swoich, przerywają nić, wiążącą je z dachem rodzinnym i spadają w ziemię.

Zawiązek, wzrost i upadek kropel — to dzieje człowieczego życia.

Woda — to żywioł ludzki, przywarty, przylgnięty do pochyłej równi dachu — do strzechy rodzinnej przypłaszczony i spełzający ku dołowi, ku ziemi.

Na samej krawędzi dachu, tam gdzie kończy się podstawa i racya przywartości, tworzą się krople — istnienia.

Z początku mała gruzełka wodna, nieśmiała, dziecinna, rosnąca.

Rośnie to, rośnie, okrągleje, uforemnia się, zaczyna jaśnieć na słońcu, tęczować.

Oto już zaokrąglony kształt, synteza doskonała,

osiągnięcie celu pewnego — mikrokosmos lśni, migoce, podobny do przezroczystej oka źrenicy, podobny do brylantu, o graniach w mnogości nieskończonej, — podobny do ludzkiego życia.

I kiedy tak okrągle i przejrzyście połyskujący, tak ludzkiemu żywotowi podobny stwór ten, to ciążenia walczącego ze spoistością molekuł arcydzieło, nad ziemią wykwitło, patrz: oto nagle niby kwiat uwiędły, niby owoc, który dojrzał, odrywa się od krawędzi macierzystej, odczepia ostatni punkt ze strzechą rodzinną styczny i — glob harmonii pełen — sam w sobie skończony, na wolę siły ciążenia, niby gwiazda w przestrzeń pchnięta, kornie oddany — spada w ziemię i przepada, jak żywot człowieka.

Ale z tych oderwanych od strzechy rodzinnej i przepadłych istnień tworzą się podziemne zródła, ze źródeł — rzeki, z rzek — morza, z mórz — obłoki i chmury — mgławice nowych mikrokosmicznych istnień.

HERAKLES-ORFEJ.

Herakles roztrzaskał setny łeb hydrze. Spojrzy, a tu jej odrasta łeb setny i pierwszy. Gdy i ten jej roztłukł, pojawia się łeb setny i drugi.

Wsparł się bożek na maczudze i tak do Zeusa westchnął:

— O, gromowładny! Pókiż mi każesz walczyć z daremnością? Oto tam życie wyciąga miłosne ramiona do mnie, który muszę być hydry tępicielem.

Ulitował się Zeus nad Heraklesem. Odjął mu hydrę i dał natomiast pięknych cór królewskich sto za żony.

I ukochał je siłacz jedną po drugiej.

Ale gdy skończył z setną, spojrzy, a tu, niby głowa hydry, wyrasta mu setna i pierwsza, nad tamte piękniejsza, bo nie posiadana.

— O, Zeusie! — westchnął tytan: — Przez wzgląd na moje czyny, pofolguj mi, i tak jako wprzód uwolniłeś mię od hydry, żywotnej jak dziewka, tak

i teraz wyrwij mię z opętania dziewczęcości, żywotnej, jak hydra.

Ulitował się Niebowładny, przemienił Herkulesa w Orfeja i rzekł:

— Bądź piewcą setnych melodyi, odradzających się, jak hydra. Bądź czarodziejem, odradzaj się w pieśniach i dawaj je pod obuch życiu. I w ten tylko sposób uwolnisz się od męki pożądania, dlatego, że sam będziesz pożądany.

I szedł Herakles Orfej w świat i czarował pieśniami. A skoro życie spożyło, zabiło mu obuchem pieśń setną, wysnuwał z serca pieśń setną i pierwszą.

RÓŻNE DROGI.

Na wierzchołku góry jest chłodno materyalnie, ale bliżej ku słońcu matematycznie, myślowo. Tam mieszka prawda. Ku prawdzie tej wiodą różne drogi, po których wspinają się poszukiwacze. Jedni z nich przystają i cieszą się krajobrazami, a niekiedy, aby lepiej się nimi nasycić, na pewnych średnich wysokościach osiadają. Inni, roztęsknieni za niziną, nie zdążywszy wejść, już się w dół staczają. Inni, zatopieni w swej myśli, ambicyą porwani, na oślep drapią się po stromiznie, aż im tchu zbraknie. Inni wchodzą świadomie i odmierzenie. Innych prawda olśniewa wizyą wpierw jeszcze, nim doszli. Innym intuicyjna pewność, że dojdą sami, pozwala na pomaganie słabszym, w drodze omdlałym lub zniechęconym trudnościami. Nakoniec są inni, którzy zwątpiwszy sami, gaszą zapał płonących, rzucają w nich kamieniami, grożąc, złorzecząc, szydząc i kusząc do cofnięcia się na dół, ku nim, złośliwym i niemocnym. Oni dali folgę swej żądzy w jakiejś przygodzie, a teraz,

ziewając, wołają do siebie dla towarzystwa, niby dla pomówienia o onej prawdzie wielkiej, a w rzeczy po to, aby nudy swej zarazę wszczepić w niezakażonych jeszcze, niezwątpiałych, co żądzy nie ulegli. Kto na obłudne wołania tamtych odpowie, ten i sam ginie. Ale są jednak i tacy nieczuli odmieńcy, którzy na wszelkie wołania towarzyskie odrzucają tę odpowiedź:

— Jest prawda maleńka dla rzeszy: jeść trzeba; jest prawda większa dla królów: trzeba królować; jest prawda wielka dla samotników: trzeba duszę zbawić; i jest prawda największa: objawienie duszom zbawionym. Ku tej prawdzie dążmy wszyscy, a w niej się, nawet nie po jednej drodze idąc, spotkamy.

MOTYL.

Fruwa piękny motyl. Tak jest piękny, tak nigdy nie widziany, że w zbieraczu motyli obudza się na jego widok najwyższy stan entomologicznego zachwytu — żądza. Żądza posięścia, żądza własności, żądza mienia.

Jakiego mienia?

Wszakże motyl przynęca wzrok nasz, pieści kolorem skrzydeł, daje wrażenie kwiatu, któryby oderwał się od łodygi i fruwał, pachnąc barwami. Czy nam to wystarcza?

Patrzeć z oddechem powstrzymanym, z lękiem spłoszenia tego cudu, który ponad marzenie i ponad rzeczywistość wykwitł? Czy to jest m i e n i e? Patrzeć i tchnąć się lękać? A nuż motyl ucieknie i posiędzie go kto inny? A my? W jaki sposób dać uczuć motylowi naszą ważność?

Otośmy wyciągnęli dłonie, schwytali motyla, zgnietli, starli pył ze skrzydełek, przekłóli — posiedli. Niechaj zna nas!

Czy jednak to stworzenie, które, uwięzione, sponiewierane, skłóte, umiera, czy to stworzenie to ten sam motyl, przez nas pożądany?

Chcieliśmy wolność motyla posiąść: posiedliśmy jego cierpienie.

Pragnęliśmy jego barw aksamitnych i nieskalanie pięknych, a trzymamy w palcach zniszczone, pościerane skrzydła.

Pożądaliśmy życia motylego, a mamy śmierć motylą.

Posiedliśmy, i jużeśmy spokojni. Bo innego spokoju, innego zaspokojenia, prócz zaspokojenia własnościowego pozwu, nie znamy.

Tak więc życie barwnej swobody; życie kwiatu, który ożył i fruwa; życie snu na jawie; życie piękna; życie ukochania bezinteresownego; życie radości niezgaszonej; życie niestartej, niezgwałconej zjawy marzeniowej: życie takie może się rozwijać tylko poza obrębem naszego wzroku, naszej wiedzy, naszego hipotecznego zapisu.

Ledwieśmy spostrzegli rzecz piękną, natychmiast powstaje w nas żądza państwowa, żądza opanowania, żądza przemocy, żądza gwałtu.

Gwałt mamy zadać sobie? Słuszniej, abyśmy zgwałcili rzecz piękną. Mamyż patrzeć na życie swobodne, patrzeć, oddech wstrzymując i powściągając dłoń gwałcicielską, aby z motylich skrzydeł pyłu nie zetrzeć?

Tej władzy panowania (nad sobą) nie posiadamy.

Nie wiemy, że posięście swobody jest jej uśmierceniem; że swoboda, aby żyć mogła, musi być swobodną; że kto gwałci wolność, ten płodzi niewolę; kto hipotekuje piękno, temu się ono przemienia w brzydotę; kto uśmierca życie, ten żyje dla śmierci.

Pewien uczony entomolog hodował u siebie liszki, i kiedy już z liszek miał się tworzyć motyl, w tym samym momencie, uczony truł gazem zabójczym rodzące się piękno. Zaledwie się ukształtowało i nim żyć zdążyło, już ginęło. Ale entomolog miał w kolekcyi nieskalaność barw motylich. Był to szczyt posięścia, szczyt panowania.

Ażeby pozwolić pięknu żyć swobodnie, na to potrzeba mieć taką siłę, jaką ma twórczość, która motyla stwarza.

Każde posięście jest niewolą. Wyrzec się niewoli znaczy tworzyć swobodę. Ale któż się chce wyrzec niewoli cudzej? Wyrzec się niewoli cudzej znaczyłoby zrzec się swojej własnej swobody — gwałcicielskiej.

MUZYKA.

Był człowiek, któregoby można nazwać geniuszem rozkosznego cierpienia. Wszystko, cokolwiek miał przed zmysłami, nie wydawało mu się dość godnem, ażeby się temu oddać i żyć tem, a rzeczy nieistniejących i możliwych się wyrzec i zamknąć oczy na przyszłość.

Nikt nie czuł tak rzeczy pięknych rozkoszy, jak on, ale jednocześnie nie chciał się tego uczucia pozbyć i zaspokoić je posięściem rzeczy niedoskonałych, bo istniejących.

Aby te rzeczy posiąść, należałoby mu znieczulić się na ich niedoskonałość, oślepnąć w swojem wszechwidzeniu.

Bezmiar tych walk wewnętrznych człowiek ów dał poznać ludziom za pośrednictwem melodyi. Stworzył muzykę.

W muzyce zamknął wszystkie możliwości piękna, wszystkie wizye cudne a przelotne i nieuchwytne, wszystkie pragnienia, których niepodobna uciszyć. W muzyce

tej wibrował ból tytaniczny, doprowadzony do stanu rozkoszy.

Audytoryum, słuchając tej muzyki, mówiło sobie: »Ach, jak ten twórca cierpiał, jak ja jestem szczęśliwe, że nic nie zmusza mnie do takiego cierpienia! Mam wzrok krótki, więc nie widzę dołów i rozpadlin życia; mam słuch tępy, więc nie rażą mnie jego dysonanse; mam węch nieczuły, więc znoszę nieczystość powietrza. Wszystko znoszę: jestem tragarzem życia. Tak, o tak, wiele musiał cierpieć ten człowiek z oczami ostrowidza, ze słuchem słyszącym, jak trawa rośnie... Tak, to nadzwyczajne uzdolnienie to źródło męczarni. O Boże, jakże jesteśmy ci wdzięczni, żeś inaczej nas stworzył: nie do rozkosznego cierpienia, jeno do cierpliwej rozkoszy!«

Tak mówiło audytoryum, kiedy się koncert skończył i kiedy czas było pójść na kolacyę.

ORZEŁ.

W wysokich górach mieszkał Orzeł, który tak bardzo lot swój wyćwiczył, że inny ptak żaden nie mógłby mu pod tym względem sprostać.

Wszystkie prześcignął i, tryumfalnie ważąc się nad doliną rozmyślał:

Oto hen tam w dole, przyrośnięty do upłazu leży bór, jak mech, jak liszaj nędzny, przyziemny. Ani na krok nie rusza się ze swego położenia. Jedyny ruch boru i to ruch w miejscu — to ruch z łaski wiatrowej. Albo gdy go zetną i spławią — po śmierci. Biedny bór! Borem zwierz idzie. Zwierz ma wolność poruszeń, ale jakiż to jeszcze ruch niezdarny, jakże jeszcze zależny ten zwierz od ziemi, o którą czterema łapami się czepia i którą pyskiem owęsza. Biedny zwierz!

Za zwierzem człowiek-myśliwiec się skrada. Ten już tylko dwiema nogami dotyka ziemi. Z dwóch łap przednich zrobił sobie ręce, wyciąga je ze strzelbą poziomo, by ubić czworonoga, a nawet i pod kątem ku

górze, ku niebu celuje, ku Orłowi. Ale śmierć do tych wyżyn niema dostępu. Biedny, przyziemny człowiek!

O ileż wyższy nad człowieka jest on, Orzeł. Zamiast dwóch łap-rąk ma niesłychanie lekkie, a tak niesłychanie mocne skrzydła. Obejmuje niemi przestrzeń miłośnie, potężnie i wzbija się ku niebu.

Tak rozmyślał Orzeł i zdawało mu się, że jest on sam nad calutką ziemią królem.

— I nie tylko nad ziemią — rozmyślał dalej — króluję. Więcej. Jestem królem całej przestrzeni. Mogę się oderwać całkiem od ziemi i ulecieć. Dokąd? W bezkres, w nieskończoność.

Orzeł rozwinął skrzydła jak najszerzej i poszybował.

Leciał, leciał... Już i ziemi pod sobą nie widzi. Jest przestrzeń i on — Orzeł — jedyna istota najwyższa i od ziemi najdalsza. Co za rozkosz! Co za upojenie! Kilka jeszcze machnięć skrzydłami i stanie się cud: Orzeł stanie się bóstwem.

Naraz ptak uczuł brak oddechu. Daremnie bije skrzydłami w rozrzedzone powietrze, daremnie lot napręża. Czuje kres jakiś, jakąś zaporę dalszych wzniesień i nadziemskich porywów. Objęła go lodowem tchnieniem samotność i tęsknota, nieskończenie ciężka, do ziemi ciągnąca tęsknota.

I zapragnął borów przyziemnych i zwierząt czworonożnych i dwunogiego człowieka. Kochane rzeczy!

Kochane stworzenia, dające Orłowi poczucie wyższości królewskiej. O jakże mi pożądana licha jaszczurka, lichy gad po skale pełzający — ziemski, arcyziemski!

Orzeł zwinął skrzydła i lotem kamienia zaczął spadać w dolinę.

Oto już chmury i mgły rozprute Orła tułowiem. Oto już bór świerkowy widać leżący, jak podłożona zielona płachta. Nizkolotnych ptaków chmary trzepoczą się w gęstwie. Ptactwo kochane, kochana pastwo orla! Kozice widać, owce... Jakaż rozkosz, jakież upojenie!

Orzeł już nad ziemią bliziutko, już jej prawie dotyka, już skrzydła rozpostarł, ni to do wstrzymania się od ostatecznego upadku, ni to do miłosnego ogarnięcia ziemi rodzinnej...

Ale na ziemi rodzinnej czekał na spadającego ptaka człowiek ze strzelbą i celował.

Orzeł zasłużył w oczach ludzkich na śmierć, ponieważ zdobył to, co ziemski, arcyziemski człowiek dopiero zdobyć pragnie: wolny lot w przestworzach.

TAM I NAPOWRÓT.

Fala morska, przez jedno mgnienie wzrokiem naszym ogarnięta, przedstawia się nam, jako płynne, ruchome, szmaragdowo-zielone i na wierzchu białe od pian wzgórze.

Obszar wód, będący szczytem, pyszni się, kwitnie, tryska upojony, szafuje chełpliwemi bryzgami, rozrzuca je wokoło i zdaje się, pierzasty, chcieć frunąć w błękit.

A spójrz na spód fali. Chyłkiem, wstydliwie i rozpacznie chyli się, zgina grzbiet w kabłąk, jak smagany niewolnik, upada i stacza się w odmęt.

To chwila. Za chwilę znowu spód stał się szczytem. — Patrzcie na biel moich pian! — woła: — Patrzcie, jak szumię, jak burzę się, jak pienię, jak pryskam, jak rosnę w górę.

To chwila. Za chwilę już strącony z wyżyn spód, tonąc, woła: — Odwróćcie ode mnie oczy, bom upadł, bo już zapadam się, staczam się w przepaść.

Rozpaczą bulgoce spód fali. Ale to chwila. Tryum-

fem szumi fali wierzchołek. Ale to chwila. W chwili następnej, oto już tryumf stoczył się w rozpacz, a rozpacz pieni się tryumfem.

— O jakże cię kocham! — bryzga pianą biała kochanka. — O jakże cię miłuję! — szumi w upojeniu kochanek. I oboje rozdygotani, wzburzeni, staczają się w odmęt — w nienawiść.

Ale to chwila. Po chwili oto znów tryska biała, pienista mgła zachwytu, i lśni możliwość pofrunięcia w błękit, i szumi pęd do uwolnienia się z więzów powrotu.

IL DIAVOLO

Dzieci wymawiają — dyabolo. Zabawka ta składa się z dwóch stożków, połączonych ostremi końcami, które tworzą oś, jak w klepsydrze. Klepsydrą bawi się czas, dyabolem — dzieci czasu (naszego). Do zabawki z dyabolem służy osadzony na dwóch patyczkach sznurek. Idzie o to, ażeby, chwyciwszy dyabolo za oś, po sznurku go taczać, »prowadzić na sznurku«, utrzymywać w równowadze i — rzecz najważniejsza — do góry go podrzucać i zręcznie z powrotem na sznurek chwytać. Czynność ta wymaga całkowitego oderwania uwagi od spraw innych i poświęcenia duszy wyłącznie tej jednej. Chwytając dyabolo, należy tylko o tem jednem zadaniu myśleć i na nic innego się nie gapić. Oto dziewczynka wyrzuciła dyabolo wysoko, wysoko, tak, że skryło się na chwilę w liściach kasztanowych. Ręce dziewczynki, w których trzyma sznurek, są rozpostarte, wyciągnięte ku niebu, z modlitewnem utęsknieniem oczekujące zlotu dyabola z pośród liści. Dziewczynka z oczyma wytężonemi ku górze, z przegiętą w tył głową, pochylona

dolną częścią korpusu, jakby zamierzała skok, naprzód, czeka. Ciało swoje całkowicie oddała przestrzeni, a duszę zawarła w jeden jedyny moment skupionej uwagi, sprzężonej, czyhającej, gotowej do uchwytu, niemal — zachwyconej. A dyabeł skoro już uznał, że dusza dziewczynki, jej oczy i ramiona są najpożądaniej, najuważniej i najnamiętniej ku górze, ku niemu podniesione, sfruwa, jak jastrząb, prostopadle na upatrzoną zdobycz i z rozkoszą daje się schwytać. Jest to upadek z nieba, ale upadek w ekstatyczną duszę dziewczynki. Upadek z nieba martwego, z przestrzeni pustej, w niebo żywe, pełne promienności życia. Dyabolo, słuszniej niż dyabolem, możnaby nazwać biesem.

B i e s pokrewne z wyrazem b i s, czyli zawiera w sobie dualistyczną spójnię pierwiastków, mianowicie pierwiastki dobrego i złego. Wspólny im jeszcze wyraz — biesagi, t. j. sakwy dwie, połączone w jedną, jakby zwartość syntetyczną dobra i zła. Dobrem w dyabolu, czyli w biesie, jest to, jeżeli się dyabła tego umie chwytać, »prowadzić na sznurku«, panować nad nim, które to panowanie stanowi źródło niewymownego dla dziewczynek wesela; złem w dyabolu, czyli w biesie, jest to, jeżeli tenże, mijając podstawiony na schwytanie go sznurek, spada na ziemię i tem chwytające go stworzonko niecierpliwi, pobudza do gniewu i przyprawia o utratę radości.

Il diavolo, dyabeł, bies znany był i dawniej, ale

władza nad nim jest udziałem dopiero czasów naszych. Tysięcy lat było potrzeba na to, aby człowiek, opanowawszy dualizmu pierwiastki, czyli dobro i zło, i spoiwszy je ostremi końcami, zrobił sobie z tego zabawkę — dyabolo. Niegdyś bies przerażał naszych dziadów i ojców: dziś igraszkę mają z niego dzieci.

Dzieci. Bo nie każdemu i dziś danem jest panować nad biesem. Starzy rutyniści; ortodoksi zmurszali i pedagogowie tępi; ojcowie i matki rodzin, aczkolwiek szanowni i dostojni, ale o zesztywniałych rękach i o starczej skłopotanej uwadze, niezdolnej do skupienia; działacze państwowi i politycy i przeróżni dygnitarze, choć do balansu i sznura i do kręcenia ogonem dyabelskim nawykli; ci wszyscy muszą być tej zabawce, polegającej na zupełnem opanowaniu biesa — obcy.

Biesami być sami jeszcze jakkolwiek mogą, ale już kunszt panowania nad biesem, kunszt syntetycznego władztwa nad dobrem i złem — nie dla nich. Owoce dobrego i złego spożywać mogą szczęśliwsze od nich — ich dzieci.

Biesem, czyli dobrem i złem, władają zręcznie, cudownie te stworzenia dziecięce, anielskie, zgrabne, giętkie, skoczne, radosne, wytrwałe, cierpliwe; stworzenia o oczach bystrych, jasnych, skupionych; stworzenia czyste, nie zbrudzone troską; stworzenia o ruchach szybkich i wytwornie zdecydowanych; istoty śmiałe, rzutkie, czarodziejskie i czarujące.

Il diavolo — bies, to życie wraz ze swojem niebem i piekłem, ze swemi symbolami dobrego i złego. Tem życiem włada żywioł dziecięco radosny, silny, potęga dziewicza, duchowa i czysta, moc tryumfalna, twórcza.

BAJKA O KOLUMBIE

W roku 1436 urodził się w Genui chłopiec, który pomimo, iż rodzice nauczali go, iż pierwszym obowiązkiem obywatela jest dbać o dobrobyt własny, żywił zupełnie inne przekonanie. Chłopiec ten był to Krzysztof Kolumb.

Zamiast poprzestać na świecie starym, rządzonym przez rodzicielskie hasło dobrobytu, marzył o bycie nowym, o możebności życia inaczej, o odkryciu świata nowego.

Rozumował bardzo logicznie: ponieważ świat mój, otaczający, rządzony przez dobrobyt, zestarzał się, bo jeno starczość może mieć podobną zasadę, więc musi istnieć *a contrario* świat nowy. Jeżeli uwierzyliśmy w istnienie czegoś, rzeczą niezmiernie łatwą jest rzecz tę odkryć tak, aby się stała oczywistością i dla innych ludzi. Świat nowy musi być koniecznie jaknajdalej od starego. Dość więc w tym najdalszym kierunku iść, czy płynąć, aby ten świat nowy odkryć. A więc — naprzód! W którąkolwiek stronę, byle naprzód, byle jak najdalej od starej zasady materyalnego dobrobytu.

Postanowiwszy to, Kolumb udał się o pomoc na swój własny dwór genueński. Atoli Genua było to miasto, w którem praca dla handlu stanowiła wszystko. Właśnie też jej w głowie świat nowy, skoro z dawniejszemi jeszcze światami, w rodzaju Wenecyi, przypadł jej ciężar walczyć do upadłego o przodownictwo komercyjne [1]. Jeżeli Kolumbowi śnią się nowe światy, to dowód, iż jest próżniak, darmozjad, marzyciel, poeta i nieużyteczny dla kraju obywatel. Odmawia mu się wszelkiej pomocy.

Tak zadekretowała municypalność genueńska. Niezrażony tem Kolumb udał się jeszcze raz do niej, prosząc i przedstawiając możebność i konieczność odkrycia świata nowego. Odpowiedziano mu z całą stanowczością:

— To niedorzeczne.

— To wy jesteście nie do rzeczy — odparł Kolumb: — a to, w co ja wierzę, to jest rzecz.

— Waryacka! Szalona! — wrzasnęli mężowie radni: — Siedziałbyś ot w domu, jadł chleb i chwalił Pana Boga.

— Sam Bóg jest genialnym szaleńcem — zawołał Kolumb: — Szaleńcy są najbliżej Boga. Chwalić Boga to znaczy do niego się zbliżać przez nieskończoność oceanów.

[1]) W walce tej, do upadłego, upadły rzeczywiście państwa oba. A właściwie upadły dlatego, że Kolumb odkrył inny świat ludziom.

— Heretyk! Bluźnierca!

— Herezya jest uzdrowieniem dla ortodoksyi. Moja herezya jest piękna.

— Ale nie pożyteczna.

— Jakto nie pożyteczna, jeżeli powiadam wam, że odkryję, że stworzę dla was świat nowy, świat piękny.

— Dla nas piękny jest świat stary. Zresztą nowe rzeczy choć piękne, są najczęściej nie pożyteczne.

— Naprzykład dzieci: choć piękna to rzecz, a jakiż z niej pożytek? Trzeba jeszcze łożyć na jej utrzymanie. Czy tak? A ja wam powiadam, że najwyższe piękno jest jedyną rzeczą pożyteczną na świecie. Inne rzeczy o tyle są pożyteczne, o ile dla piękna służą. I o tyleż są piękne, bo racyę ich bytu stanowi pożytek dla samego piękna. Ojcowie Genui, dajcie mi karawelę z załogą, a oddam wam za to świat nowy.

— Pożyczka bez zastawu? Niema głupich. Dość znamy handel i przemysł, aby nie brać za walory realne jakichś tam mrzonek, jakichś fantazyi, jakichś wymysłów o światach nowych, jakichś odszczepieństw rewolucyjnych, bluźnierstw i kacerstw. Dość tego, na Boga!

— Powołujecie się na Boga, a przecież sam Bóg powiedział: Cóż wam z tego, że zdobędziecie byt materyalny, jeżeli duszę utracicie. A dusza to właśnie jest wiara w istnienie czegoś poza tym dobrobytem ziemskim. Wszakże dobrobyt i dla złodzieja jest celem. Czemuż

złodzieja karzecie, a z siebie, wyznających to samo hasło, jesteście dumni? Wszakże widzicie, że poza dobrobytem ważniejszą rzeczą jest sposób pewien dojścia do niego — forma pewna. A cóż jest formą, jeżeli nie piękno. Rozważcie to i udzielcie mi pomocy dla zdobycia tej idei piękna.

— My jesteśmy za pożytkiem. Dość tego. Nie czas na chimery. Nie czas myśleć o różach, kiedy płoną lasy. A tu właśnie ogłoszona handlowa bitwa z Wenecyą. Rzekliśmy. Audyencya skończona. Jesteś pan złym obywatelem i basta.

Krzysztof Kolumb w samej rzeczy nie był na tyle dobrym obywatelem aby się wyrokowi municypalności genueńskiej poddać i, jak chce ojczyzna, służyć dobrobytowi handlowemu. Przeciwnie, posunął się do tego, że został handlowej swej ojczyzny zdrajcą. A mianowicie udał się do Hiszpanii i przyjął jej służbę. Panująca wówczas w roku 1492 Izabela Kastylska, była lekkomyślną i łatwowierną królową tak dalece, że dała Kolumbowi trzy okręty, aby mógł sobie ten swój wymarzony nowy świat odkryć. Jak na królowę, jest to postępek niezmiernie dziwny, ponieważ zazwyczaj osoby starsze nie dopuszczają, aby mogło wogóle istnieć cośkolwiek nowego i pożądanego oprócz nich, starych władzców i oprócz ich starego dobrobytu.

Bądź co bądź Kolumb wyruszył za ocean. Zanim jednak dotarł do początków nowego świata, do zbaw-

czej wyspy *San Salvador,* musiał ciężkie przeżywać chwile. Załogę jego okrętów stanowili żeglarze starego pokroju, dla których również, jak i dla ojców miasta, hasłem był dobrobyt.

— Jak można — wołali — puszczać się na morze tak daleko, że jeden, stary brzeg, przepadł nam z oczów, a drugiego, nowego brzega nie widać. I licho go wie, czy wogóle jest jaki świat nowy. To czyste zawracanie głowy. A zatem i my — zawracajmy do lądu!

Kolumb błagał i przekonywał.

— Pomyślcie — mówił — ludzie małego serca, że jeżeli będzie się jechało naprzód, to choćbyśmy nic nowego po drodze nie znaleźli, to i tak powrócimy do tego punktu, z któregośmy wyjechali. Na to zawsze czas. Nawet gdybyśmy nie odkryli w tej drodze żadnych materyalnych lądów, zdobędziemy prawdę, zyskamy przeświadczenie, że ziemia jest kulista, a nie płaska. Upewniwszy się, że nieskończony ocean, ta niemożebność, to niepodobieństwo — jest do przebycia, owładniemy nieskończonością, Bogiem. Naprzód, bracia!

Ale w ludziach starej struktury nie łatwo wzbudzić entuzyazm ku rzeczom nowym, niebywałym i pięknym, choć sprzecznym ze staremi systematami. K u l i s t o ś ć tym ludziom wydawała się nie do pojęcia. Zbyt rozwielmożnił się w nich p ł a s k i dobrobyt. I kto wie, czy, mimo przekonywających dowodów Kolumbowych, nie byliby zawrócili do starej Europy, gdyby nie kloc drzewa

przypchnięty falą, który ostatecznie przekonał ich o możliwości istnienia światów nowych. Kloc ich przekonał, nie żadna logika. Nie dowody rozumowe ani wiara była dla nich kierowniczką i drogowskazem, ale zwyczajny kawał drewna był dla nich dowodem oczywistym, bo widocznym i dotykalnym. Uwierzono Kolumbowi, widząc pień drzewa z nowego lądu. Na ląd ten niebawem wylądowano z okrzykiem: Ziemia! Ziemia!

— Ziemia! Ziemia! — krzyczeli. Urósł w niedowiarkach duch, ponieważ ujrzeli ziemię, ujrzeli ląd, niezawodnie taki, jak jest ten, który opuścili byli, ujrzeli świat rządzony prawdopodobnie przez toż samo stare hasło dobrobytu.

Ziemia! — więc jesteśmy spokojni. To tylko ziemia! Kogóż możemy tam zastać? Tych samych, z nie wielką jakąś odmianą starych poczciwych, myślących o rękodziełach, o przemyśle, o rolnictwie i o handlu ziemian. Jeżeli tak, sprawa skończona. Górą nasi! Niech żyje Kolumb! *Evviva il Colombo!* Kochajmy się!

To mówiąc, rzucali się sobie w objęcia i kochali się.

Kochali się, kochali, aż przyszedł Franciszek Pizarro i ogniem i mieczem zaszczepił w świecie nowym starą europejską ideę dobrobytu. Stworzył Amerykanów, z których my dziś, aby w nas ta stara idea nie osłabła, bierzemy przykład. Bardzo pięknie.

Ale w tym czynie Kolumbowym jest i druga strona piękna. Mianowicie, że do Ameryki zaczęło biedz wszystko

cokolwiek miało w sobie rozpęd do rzeczy nowych, odszczepieńczych, wolnościowych, bohaterskich. Nie dobrobyt materyalny był dla tych ludzi celem, jeno swobodna, niekrępowana niczem wytwórczość. Ameryka doszła do dobrobytu, krocząc po tej drodze twórczej, więc pięknej. Kolumb wynalazł Amerykę, za to Ameryka dała Europie ideę wynalazku, dała Franklina, Edissona — dała elektryczność. I to jest rzecz piękna. No i pożyteczna.

Odkrycie Kolumbowe, pomimo, że można je nazwać czynem pięknym i wysoce pożytecznym, pociągnęło za sobą jednak i niepożyteczne następstwa. Oto wszystkie dotychczasowe podręczniki geograficzne i wogóle szkolne, wszystkie atlasy, ignorujące świat nowy, musiały być zniszczone. Wszystko stare poszło do muzeów, jako pamiątka po starych, dobrych czasach. Wraz z temi podręcznikami i sama stara idea dobrobytu uległa reformie. Dobrobrobytem zaczęli odtąd ludzie uważać nietylko to, co jest, nietylko istniejący, ustalony i ochraniany przez tradycyę porządek, ale i ten nowy jakiś, jakiś inny, który być może, i który aby odkryć, dość jest — pomyśleć.

Stary świat przemyśliwa, czyli zajmuje się przemysłem, handlem i wogóle dobrobytem materyalnym. Świat nowy zajmuje się myślą. Ale tem nie mniej i ta myśl może być dobrobytem, jakimś oczywiście dobro bytem nowym, innego rzędu, innego rządu. Jeden tylko warunek, aby ta myśl była dobra.

Kraj ojczysty Kolumbowy — Genua skruszyła z czasem swoje przeżyte hasło materyalne i postawiła swemu zdrajcy pomnik. Uznała tem samem, że oprócz przemysłu istnieje coś bardziej godnego odznaczenia, choć o wiele prostszego — myśl.

Przedtem Genua, zajęta handlem i dobrobytem, wierzyła, że świat jest płaski. To płaskie życie było jednostronne, było to życie jednym tylko brzegiem. Drugiego brzega nie znała. Poprostu zajęta zbyt dobrobytem, nie sięgała aż tak daleko poza widnokrąg codzienny, naoczny. Kolumb, jako próżniak, poeta, a nie handlowiec, myślał o tym drugim brzegu. Brzeg ten nie mógł być dla niego zawieszony gdzieś, jako fikcya. Musiał być naprawdę, więc można go było odnaleźć. I odnalazł *San Salvador*. Wierzył. Odkrycie swoje zawdzięczał wierze w realność prawdy. Choć drugiego przeciwległego brzegu nie widział naocznie, ale go odkrył, bo wierzył w to, o czem go duch myślący przekonał. Fikcya dawniejszego, jednobrzeżnego, płaskiego życia, jak noc przed dniem tak musiała ustąpić i rozjaśnioną być przez nowo odkryte światło.

SPIS RZECZY.